

Krystyna Kolińska
Szatańska Księżniczka
Opowieść o Izabeli Czajce-Stachowicz

Krajowa Agencja Wydawnicza

Warszawa 1992

ISBN 83-03-03525-8

przepisała Marianna Żydek

Odlot Czajki

Tego grudniowego wieczoru - a był to dziesiąty dzień miesiąca - kolacyjne przyjęcie przewidziano, wyjątkowo, na cztery tylko osoby, wliczając w to samych gospodarzy.

Pani domu o dźwięcznym imieniu Izabella, powszechnie zwana Czajką, ubrana w ciemnoszarą suknię o wężykowatym rzuciku w kolorze lśniącego szmaragdu, rozstawiała na stole świece. Wysmukłe, w seledynowym kolorze kolumnienki stearyny rozjaśniały migotliwymi płomykami wnętrze nie za dużego, lecz bardzo ustawnego pokoju. Zdobiły go stare mebelki, niedzisiejsze srebra w staroświeckiej serwantce i nieco młodsze metryką obrazy na ścianach. Te dawne bowiem, choćby wymienić tylko "Dziewczynę w niebieskiej chustce" Eugeniusza Żaka czy płótno Chaima Soutine'a malarskie dzieło przedstawiające ponętą młodą kobietę w różowej bluzce (a była nią przed laty sama pani Izabella), zabrali okupacyjni rabusie. Teraz w miejsce tamtych obrazów zawiśli "Gachowie z Marsylii" Józefa Czapskiego oraz utopce, diabły i przedpotopowe gady wyłaniające się z kipiącego kłębowiska nie istniejącej flory, zrodzone w wyobraźni Teofila Ociepki. Obok muskularni, wspaniali chłopcy w splotach uścisków dziewcząt o czysto cielesnych wdziękach, chwalący zmysłową radość życia w akwarelach Mai Berezowskiej, a dalej prace Hel Enri, czyli starej pani Heleny Berlewi rodem z warszawskiej przedwojennej ulicy Tłomackie. Teraz mieszkając od lat nad Sekwaną, rodzicielka utalentowanego malarza, abstrakcjonisty z awangardowej warszawskiej grupy "Block" - Henryka Berlewi, snuła pod niebem Paryża zbyt jak na jej gust jednolicie bławatkowym swe barwne wspomnienia o krzewach w Łazienkach obsypanych różowym kwieciem, o bieli bzów w Ogrodzie Botanicznym, o żółtych kaczeńcach nad strumykami Mazowska, prześwietlając je słońcem, oplatając liśćmi dzikiego wina, otulając w delikatne mgiełki

dmuchawców. Pseudonim Hel Enri zrodził się z połączenia skrótów imion matki i syna, a jeśli wierzyć pani Izabelli, właśnie ona podrzuciła kiedyś panu Henri i pani Helenie ten pomysł, zyskując tym ich wdzięczność i kilka akwarelek.

Pod tymi wszystkimi obrazami, w mahoniowej serwantce i na półkach pełnych książek, piętrzyły się bibeloty z różnych parafii i ze wszystkich stron świata; pani Bela (już nie Bella, jako że po tej jednej upiększającej ją literki) ustawiła tam nie tylko miniaturki monumentalnych rzeźb Gucia Zamoyskiego który po warszawskim i paryskim okresie żywota wylądował w St. Clar de Riviere, ale i różne gliniane stwory ofiarowane jej przez tak zwane samorodne talenty. Kłóciły się one tutaj z rokokową pasterką, pistacjowym pastuszkiem grającym na flecie oraz z hebanową figurką egzotycznej tancerki, umieszczoną tu nie całkiem właściwie, zważywszy, że stała blisko statuetki świętego Antoniego, prawie dotykając ręką i wyzywającymi piersiami jego ramienia pod fałdzistą zakonną szatą. Ów drewniany święty został przywieziony aż z Sao Paulo, z niedawnej podróży pani Beli do Ameryki Południowej. I stał tu teraz na Mokotowie w mieszkaniu przy ulicy Karłowicza z poważnym, jakby nieco zatroskanym wyrazem twarzy, w ciasnym kręgu brazylijskich świec przypominających kształtem fallusy.

Oprócz tych różnych pamiątek z podróży bliskich i dalekich mogły jeszcze zwracać uwagę dwie fotografie w kolorze sepia, w srebrnych ramkach o cienkich z tyłu nóżkach. Stały one na małym sekretarzyku w stylu biedermeier, przy którym pani domu opisywała swą wiedeńsko-parysko-warszawską przeszłość i niedawne duże wyprawy do bardziej egzotycznych miast i krajów. Fotografie naklejone one na sztywnej tekturce miały tłoczone u dołu literki o fantazyjnym kroju, składające się na imię, nazwisko i adres właścicieli firm: Włodzimierza Kirchnera z ulicy Wierzbowej i Bolesława Mieszkowskiego - Nowy Świat. Na jednej z nich widniała leniwie wyciągnięta na szezlongu zarzuconym mnóstwem poduszek kilkunastoletnia dziewczyna o pełnych żaru i ciekawości świata oczach, o soczystych i jakby nieco nabrzmiałych wargach, trzymająca w dłoni książkę, ujęta teatralnym gestem smukłych palców. Znaczący seks'appealu ujrzeliby w tej podfruwającej w pensjonarskim mundurku niewątpliwą zapowiedź ponętnej kobiety (nadkobiety - jakby powiedział Witkacy), kuszącą obietnicę pełnej realizacji samczych pragnień. Z drugiej fotografii patrzył zza okularów starszy mężczyzna o szpakowatej czuprynie, tak bujnej i wysokiej, iż mogło się здаwać, że spadnie zaraz kapelusz borsalino, typu casa moderna, nałożony fantazyjnie na bok. Pod nieco mięsistym nosem widniała przyszyżona w łagodny klin, także nieco szpakowata, bródka. Nieskazitelnie czarną marynarkę, tak zwaną jaskółkę, i nieskazitelnie białą koszulę ozdobił szeroki krawat. Niespodziewanym akcentem rozweselającym uroczysty strój był duży pierzasty kwiat przypięty do klapy długiego anglezowanego zakietu, świadczący o niewątpliwej fantazji i pewnej ekstrawagancji fotografowanego. Obie te postacie ze starych fotografii łączyło bardzo bliskie pokrewieństwo; dziewczyna na szezlongu była bowiem córką eleganckiego pana. A więc córka i ojciec: Izabella Schwartz, wówczas wychowanka i uczennica warszawskiej pensji pani Werner (a może pani Kochanowskiej czy Wereckiej?) i Wilhelm Schwartz, bogaty kupiec i przemysłowiec. Jego talenty buchalteryjne i zdolności handlowe nie przeszkadzały niekontrolowanej hojności, jeśli chodziło o spełnianie pomysłów kapryśnej z córek, ukochanej latorośli, po której jeszcze przyszły na świat dwie dziewczynki: Ewa i Ela. Syn Fredek był z tej całej czwórki najstarszy.

...Patrząc teraz na fotografię ojca sprzed tylu dziesiątków lat, pani

Izabella nie mogła oprzeć się czułemu wspomnieniu. Któż rozumiał ją lepiej niż on? Któż z taką cierpliwością starał się pojąć i w końcu usprawiedliwić wszystkie te jej szalone zachcianki?... Tak bardzo zawsze pragnął jej szczęścia, choć czasami rozumiał je zupełnie inaczej niż ona. Kochał ją to pewne, ale i ona kochała go bardzo; wierniej niż swoich wszystkich kolejnych mężów: Aleksandra Hertza o pseudonimie Kierski, Jerzego Gelbarda - małżonka drugiego oraz trzeciego, aktualnego: Władysława Stachowicza, zwanego Czajnikiem. Z Czajnikiem żyje najdłużej, bo od przeszło dwudziestu pięciu lat. On nie nudzi się z nią - zaiste, mają wspólnych przyjaciół i teraz owego grudniowego wieczoru krzątają się razem po pokoju w oczekiwaniu gości.

Na sekretarzyku obok fotografii Wilhelma Schwartza stoi srebrny lichtarzyk. Pani Bela bierze go do ręki, przysuwa zapalniczkę trzymaną w drugiej dłoni i zapala osadzoną w nim świecę... Po czym dość szybko, jak na jej wiek i wagę, podąża w stronę okna i zwraca się jakby z wyrzutem do męża: - Czemu ich jeszcze nie ma?...

Może już idą?... Jak myślisz?...

- Co mam myśleć? - odpowiada Czajnik. Przecież jest jeszcze dużo czasu, a oni są, jak wiesz, zawsze punktualni.

- Czajniczku, proszę Cię, wyjdź im naprzeciw, wali taki śnieg, mogło zasypać numery domów, a nawet i domy...

- Czajka, co ty znów wymyślasz... Tyle razy już u nas byli, a co do śniegu, to nie wali, lecz lekko prószy, spójrz za okno...

W przeciwieństwie do żony, milczący i opanowany, pan Władysław próbował, acz nieskutecznie, opanować zniecierpliwienie pani Beli. Zamilkła, co prawda, na moment, ale bezustannie chodziła od drzwi do portfenetrowego okna i z powrotem, a przy każdym jej ruchu mienił się migotliwie szmaragd sukni i zdawały się cichutko pobrzękiwać kieliszki na pięknie zastawionym stole. Tak krążąc ponowiła za chwilę swe apele: - No, wyjrzyj na dwór! Wyjdź, Czajniczku! Nie, poczekaj, może będzie lepiej, jak zadzwonisz do Lewinów. Jak myślisz, może im się coś stało.... Włóż palto i jedź do nich...

- Czajka, opamiętaj się... Po co ten cały krzyk i niepotrzebny popłoch... Przecież jest dopiero trzydzieści pięć minut po szóstej, a zaprosiłaś ich na siódmą... Opamiętaj się - powtarzał z flegmą, przyzwyczajony od dawna do tego typu dialogów.

- Zaprosiłam na siódmą? O, Boże, co ze mnie za wariatka! Myślałam, że na szóstą.

Kręciła się wokoło stołu, raz po raz poprawiając ustawienie półmisek, talerzy i sosjerek, lśniących galareta, różowiejących szynką, bielejących sosem tatarskim pocętkowanym pokrajanymi grzybkami. W migotach świec i lśnieniach porcelanowej zastawy poruszała się dość ciężko, choć jej nogi mogły jeszcze wciąż zdumiewać smukłością bez mała dziewczęcych łydek. Dziewczyna z fotografii, postarzała teraz o lat kilkadziesiąt, była obecnie obfitej, by nie rzec - potężnej tuszy.

Gdzież podziały się te czasy, gdy jej niespokojne, gibkie ciało było zdolne wzbudzać nieprzystojne myśli i grzeszne poządliwości nie tylko u

swobodnych artystów, ale i u filozofów, ascetycznych ideologów, ludzi, którzy przysięgali, że wszystkie swe siły oddadzą walce o sprawiedliwość społeczną i wyzwolenie mas pracujących. Gdzie te chwile, gdy w latach dwudziestych towarzyszyła jej krokom na paryskim bruku "skrzydlata lekkość", a potem w Warszawie otaczała legenda wciąż jeszcze "nie zdewaluowanej" "Belli z Montparnasse'u", brylującej w "Ziemiańskiej" w towarzystwie Franza Fiszera, grubasa o czarnej, z seledynowym połyskiem długiej brodzie?

Kiedy to było, gdy Feliks Topolski skonstruował żaglówkę, według jego zapewnień tak wspaniałą i niezawodną, że bez obawy wsiadła do niej, w Kazimierzu, wraz z Marią Kuncewiczową, aby po chwili znaleźć się pod wiślaną wodą?... Z jak wielkiej oddali rysuje się ten wieczór, gdy jej nieprawdopodobnie długie nogi w pantofelkach na wysokich igiełkach obcasów, w szalonym rytmie stepujące po stole (choć już dawno ich właścicielka miała za sobą pensjonarskie lata), budziły uznanie nie tylko mężczyzn, ale i kobiet. Autorka "Cudzoziemki" i "Dyblinowskiego", opisz tę scenę po latach, gdy obie staną się już leciwymi niewiastami.

Ileż to już lat minęło, gdy w kolejnych kawiarniach przy kolejnych stolikach zasiadali skamandrycy, w "Udziałowej", "Pod Picadorem", w IPS-ie, w "Zodiaku" przy Traugutta, w "Ziemiańskiej", gdzie zrazu przy "okrągłym stole" w głębi parterowej, ogólnie dostępnej sali, a potem przy "stoliku na półpiętrze", rozbrzmiewał stentorowy głos brodacza Franza Fiszera i gdzie kiedyś zatrzymał się - pani Bela pamięta tę scenę, jakby stało się to dziś - przy jej stoliku dawny dobry znajomy - Marek Żuławski. Wracał akurat ze swojej wystawy w IPS-ie i chciał wypić z nią kawę. Siedziała wtedy z Hala Korngold i powiedziała do Marka: - Przedstaw się tej nie tylko świetnej dziewczynie, ale i świetnej artystce.

Ta dziewczyna "o niebieskich oczach, ciemnobrazowych włosach i profilu Nefretete" została w przyszłości jego żoną.

Jeszcze teraz, czasami, wydaje się Czajce, że czuje ten niepowtarzalny aromat kawy, zapach wanilii, dymu z fajki Franza Fiszera w "Ziemiańskiej"... I woń róż i goździków kupowanych w "Złocieniu" na Mazowieckiej... I jarzy się w pamięci, jak ten płomyk świecy zapalony koło fotografii ojca, łukowa lampa, wyglądająca z daleka jak księżyc zawieszony nad krzakami bzu i jaśminu, w pobliżu domu przy ulicy Willowej, gdzie czekał na jej przyjście piękny, o włosach tak granatowych jak to nocne niebo, Edward M. (...), niezapomniany "Dzik"... Płomień w kaflowym piecu pachniał wtedy świerkiem i żywicą...

- Cóż tak nagle zamilkłaś? - zaniepokoił się Czajnik - siedzisz już od kilku minut w fotelu i patrzysz nieruchomo na świecę. Jeszcze niedawno gadałaś bez przerwy, kręciłaś się bezustannie po pokoju, a teraz, gdy już rzeczywiście za chwile pojawią się goście, zaczynasz marzyć o niebieskich migdałach, myśleć nie wiadomo o czym... Co ci się stało?

Ocknęła się.

Ma rację - przyznała w duchu - nie czas myśleć o swoich nieobecnych przyjaciotach, kochankach, wspominać księżyc, zapachy kwiatów, podliczać chwile, kiedy się było szczęśliwą, niepoczytalnie zakochaną, nie zważając na nic, choć miało się wówczas, gdy pojawił się Dzik w jej życiu, prawowitego, drugiego już z kolei, męża; znanego i cenionego w całej Warszawie architekta. Rzeczywiście, nie czas podliczać tych mężów i

kochanków, gdy za chwilę mają przyjść goście. Wkrótce zasiądzie z Lewinami do stołu, do potraw, które przygotowała razem z nieocenioną gosposią, zaprzyjaźnioną z domem i mieszkającą tu także przy Karłowicza - panią Marią.

Powspomina sobie z Leopoldem dawne dobre czasy. I znów będzie jakże kusząca okazja poopowiadania tylu rzeczy, historii, może już znanych, może po wielokroć powtarzanych, ale wciąż wzbogacanych i ubarwianych nowymi szczegółami tak wielce, że już nie będzie wiadome, co jest prawdą, a co zmyśleniem, mistyfikacją i blagą... Tego nie będzie wiedzieć nawet i ona sama; opowiadając uwierzy, że to wszystko zdarzyło się rzeczywiście.

No, jeszcze trzeba poprawić ustawienie świeczników, jeszcze potasować karty przygotowane do ulubionej gry - kanasty, jeszcze przesunąć półmisek z karpim nieco w lewo. Patrzyła nieruchomo przez chwilę na ustrojona krążkami marchwi rybę w galarecie i nagle wykrzyknęła: - Czajnik, chodź tu prędko! Popatrz na tego karpia! On jeszcze żyje! Otwiera pysk, jakby chciał mnie połknąć. Czajniczku, podejdz, proszę cię, i sam zobacz, jak mruga ślepiem...

- Zostaw tego karpia, wariatko! Ciągłe coś ruszasz, wymyślasz niestworzone rzeczy i gadasz od rzeczy... - Pan Władysław w eleganckiej muszce - granatowa w białe grochy - pod brodą, spojrział na zegarek i w tym samym momencie rozległ się dzwonek u drzwi.

- No, jesteście, kochani, Lewinku najmilszy... Synku kochany... Chodź, chodź szybko, zobacz, co zrobiliśmy razem z Marysią na waszą cześć - to mówiąc ścisnęła radośnie gościa, nie bacząc, że nie zdążył jeszcze uchylić swego habiga o sztywnym, lekko podgiętym rondzie oraz zdjąć palta z czarnym karakułowym kołnierzem, przyprószonym płatkami śniegu.

Pani Marysia wyjrzała z kuchenki:

- Dobry wieczór Państwu, to ja już pójdę do siebie. Smacznego Państwu życzę. Dobranoc...

I dodała jeszcze półgłosem na boku, zwracając się do pani domu:

- A tę indyczkę, co ma być na gorąco, wstawiłam już do piekarnika na mały płomień.

- Lewinku, słyszysz, będzie indyczka z nadzieniem. Czy czujesz już ten zapach? A te przyprawy... Tymianek, cebula, cynamon... No i zgadnij, co jeszcze...

- Czajka, opamiętaj się, daj im się rozebrać - powtarzał monotonna raz po raz Czajnik, tonem spokojnym, nieco znużonym. - Przestań gadać, uspokój się!...

Zasiedli wreszcie do stołu. Przyjemnie było patrzeć, jak pan Leopold, przyjaciel pani domu jeszcze sprzed wojny, ze znużeniem próbował wszystkich po kolei - na razie na zimno - potraw.

- Czajka - rzekł w końcu z uznaniem graniczącym z zachwytem - dzisiaj przeszłaś samą siebie. Zawsze są wspaniałe u ciebie przyjęcia, dobre jedzenie, no ale dziś... Sam cymes... I ta ryba, i ten indyk... Co to za okazja? Przyznaj się! Powiedz!

- Jaka okazja, po co zaraz okazja? Żadna okazja! Ot, dziesiąty grudnia, imieniny Daniela...

- Jakiego znów Daniela? Co ty pleciesz? - wtrącił się do rozmowy pan Władysław.

- Żadnego Daniela... - odparła. - Nie znam żadnego Daniela, wiem tylko, że był taki biblijny, w jaskini lwów. Lew - Leo - Leopold... Co za niespodziewany zbieg okoliczności - roześmiała się. - Lew, Leo przychodzi na imieniny Daniela. A może - dodała po krótkiej chwili - chcę powspominać z tobą, Lewinku, jak to u Wróbla Zbyszek Uniłowski i Konstanty Ildelfons próbowali uczyć mnie kwadryganckich piosenek o Białym Słoniem, o Oczach dziewcząt z Colombo. Albo jak przed wojną Gombrowicz przy prowadził do mnie biednego wtedy, jak mysz, Artura Sandauera z Sambora, aby za dobry wikt porządkował na półkach książki... Albo, jak już po tej wojnie, towarzyszyłam samemu Eluwardowi i miałam być tłumaczką jego wierszy; właściwie ten Paul Eluard to się nazywał Eugeniusz Grindel i jego wiersze były piekielnie trudne, bo był to surrealista, dopiero później stał się taki upolityczniony. Pamiętam, miał spotkanie w kopalni "Zabrze-Wschód" i spędzono tam do hali bardzo zmęczonych po szychcie przeszło pięć tysięcy chłopów. To też te strofy o drutach telegraficznych, oplatających jak węże jego wnętrze, o wyższej rzeczywistości i duchowych punktach, przekładałam po swojemu, bo żał mi było tych górników. Byli tacy zmęczeni, ledwo zdążyli wyszorować ręce po robocie, więc chciałam ich trochę rozweselić. Eluard swoje, a ja swoje... Zrobiła się potem draka, organizatorzy spotkania wpadli w popłoch, w takie przerażenie - było to przecież za Stalina w latach pięćdziesiątych - że z kolei zrobiło mi się żal tych ludzików. Boże, jacy oni byli przestraszeni! - Nie bójcie się - mówiłam - i wymyśliłam na poczekaniu jakiegoś bardzo ważnego kuzyna w Warszawie, czy przyjaciela na wysokim stołku. To oni się zaraz uspokoili i jeszcze mi dziękowali, że tak pięknie mówiłam i oryginalnie tłumaczyłam te wiersze Francuza...

Nie pozwalała, jak zwykle, dojść do głosu ani Czajnikowi, ani Lewinowi. Przyzwyczajeni, słuchali, delektując się nie tyle jej wspominkami, ile jedzeniem. A ona ciągnęła dalej z ożywieniem: - A jeśli już mowa o Śląsku, pamiętacie Teofila Ociepkę? To ja jako jedna z pierwszych dojrzałam w nim talent. Kiedyś zabrałam Ociepkę nad morze. Chodziłam z nim po molo, spacerowałam po plaży, zawsze w białej bluzce z marynarskim kołnierzem i ze złotą kotwicą na berecie. Ociepka zwracał się do mnie zawsze przez: Kapitanko! - to od kapitana Czajki, jak wiecie... Ludzie na wybrzeżu myśleli, że ja jestem dowódcą statku i była z tego wszystkiego dobra zabawa... Mówisz, Lewinku, że już nieraz to opowiadałam? Możliwe, ale nie przypominam sobie - sięgnęła po kieliszek i rozejrzała się po stole. - Czajniczku, puste są kieliszki... Nalej nam burgunda... Widzę, że skąpo i ze zbytnim umiarem - dorzuciła z przyganą - serwujesz to dobre wino - co mówiąc, wskazała na drugą butelkę opatrzoną kolorową etykietką z francuskim napisem. - Wyjątkowo, jak nigdy mam dzisiaj ochotę na bordeaux.

Wyjątkowo, wyjątkowo - mruczał pan Władysław. - Zapomniałaś, co ci niedawno mówił lekarz? Jak niepokoił się twoim sercem? Jak powtarzał, że wino też ci szkodzi?...

No, już dobrze, dobrze. Rzeczywiście, mówił o winie, ale nie o szampanie - zerknęła w stronę balkonowych drzwi. - To znaczy, że szampan pić mogę.

Pan Władysław obserwował z wyraźnym zaniepokojeniem beztrudnie ożywienie

żony.

Czajka, to już czwarty kieliszek, jesteś po zawale, doktor zabronił ci nawet kropli alkoholu...

- Nie mówiąc o papierosie - wpadła mu w słowo, sięgając po leżące na stole pudełko z gitanami. - Czajniczku - dodała przymilnie - czuję się dzisiaj wyjątkowo szampańsku. Nie psuj mi nastroju, pozwól otworzyć szampana.

Skierowała się w stronę szklanego portfenetr prowadzącego do miniaturowego ogródka i ze skrzyneczki pod murkiem wydobyla lekko pokryta szronem butelkę.

- Stoi tu i stoi od dawna. Czajnik, wyobraźcie sobie, mówi, że otworzy ją dopiero na sylwestra. Po co czekać, pytam. Nie wiadomo, co będzie na sylwestra. Niech szampanik francuski, przysłany przez Fredka, mojego jedyne go braciszka, wystrzeli dzisiaj. Pamiętasz, Lewinku, albo co brzmi poważnie: "mesje Lewę", to moje sprzed wielu lat pierwsze przyjęcie, właśnie tu na Mokotowie, na tej mojej nie otynkowanej jeszcze wtedy, a tak dziś ślicznej ulicy Karłowicza?

Nie czekając na odpowiedź, snuła dalej opowieść:

- Wtedy też był szampan, radziecki. I była też czysta wyborowa, i karp też był, nie w galarecie co prawda, ale po żydowsku. I piwo... I pączki od Bliklego w prezencie. To było, pamiętacie, oblewanie mego powrotu ze Śląska do mojego miasta, do Warszawy, a zarazem i oblewanie mojego nowego mieszkania. Ileż tu wtedy przyszło ludzi, pamiętasz, mesje Lewę? Nie zmieściliby się wszyscy w tych parterowych pokoikach, więc uroczystość odbyła się w dużym barakowym pomieszczeniu, służącym za przechowalnię łopat. Zjawili się i pisarze, i malarze, i rodzina wiejskiego kowala, który mnie ukrywał w czasie okupacji, i budowlańcy też byli... Cała Warszawa, istny, prawdziwy sojusz robotniczo-inteligencko-chłopski. Szalałam wtedy z radości jak wariatka, że tyle, i to tak różnych ludzi jest koło mnie, że mam znów swój stały kątek w Warszawie, "ciasny, lecz własny", że zamieszkałam tu, na tym WSM-owskim osiedlu z moim Czajnikiem, też cudem ocalałym z wojny, i że będę miała w pobliżu tak miłych sąsiadów, pisarzy i poetów, jak Stasia i Zosię Kowalewskich, Olka Rymkiewicza, Witolda Zalewskiego z żoną Krysią, Jankę Brzostowską... Janka też kiedyś była, tak jak ja, szczupła i zgrabna i też malował ją Witkacy. Jej, na szczęście, udało się uchronić te portrety i może teraz udowodniać gościom, że była piękna. I goście, choć z trudem, muszą w to uwierzyć... Oj, czas jest bardziej okrutny niż ludzie...

Zamilkła, aby po chwili zagłębić się w jeszcze odleglejsze wspomnienie, kojarzące się z sprawą mieszkaniową.

- Jak dostałam ten przydział z WSM, to zaraz chciałam podrzeć któreś tam już z rzędu moje bezskuteczne pismo zatytułowane do "Obywatela Prezydenta miasta stołecznego Warszawy Tołwińskiego". Mam tu gdzieś w szufladzie ten papier. Czajnik kazał mi zostawić na pamiątkę, co prawda nie wiem na jaką: chyba obojętności władz, bo w końcu to Związek Literatów załatwił wtedy dla wielu pisarzy te spółdzielcze mieszkania na Mokotowie.

Zaczęła grzebać w szufladzie sekretarzyka, aby po chwili z triumfem wydobyć kartkę podaniowego papieru, na którym niebieskim atramentem kreśliła, jeszcze mieszkając w Katowicach, swą prośbę. Nie bacząc na

protesty mocno już zniecierpliwionego Czajnika, zaczęła czytać podanie (Oryginał tego podania, nigdzie nie publikowany znajduje się w zbiorach prywatnych. Zachowana została oryginalna pisownia.):

"Obywatelu Prezydencie! Ja niżej podpisana Stefania Czajka, przed wojną nosząca nazwisko Izabella Gelbard (żona zamordowanego na Majdanku architekta Jerzego Gelbarda) czuję się pokrzywdzona decyzją V-Prezydenta miasta stołecznego Warszawy, którą to decyzję przesłał mi ob. Paweł Gajewski, przed wojną adwokat, któremu mój mąż budował willę. Ob. Gajewski jest głównym właścicielem domu przy ul. Górnośląskiej 7. Mąż mój nabył 5% udziału chcąc zabezpieczyć moją starość. Będąc w Warszawie pod koniec 1948 roku (ciągle na nowo podejmuję wysiłki powrotu do mojego ukochanego miasta) widziałam się z ob. Gajewskim, który oświadczył mi, że postanowił ofiarować omawiany powyżej dom na rzecz państwa. Obywatel Gajewski zajmuje wybitne stanowisko sekretarza gabinetu w Minist. Skarbu, a ja jestem więcej niż skromną jednostką w Z. Zawod. Literatów i z trudem wielkim wiązę koniec z końcem. W roku 1947 oddałam sprawę reprivatyzacji moich 5% przy Górnośląskiej 7 adwokatowi Krasuskiemu ul. Piusa 21/26 wpłacając mu a conto kosztów 3.000 złotych, co i tak dla mnie stanowiło dużą sumę. Największym moim marzeniem od końca wojny jest powrócić do Warszawy i zamieszkać choćby w małym pokoju, to też czuję się ciężko pokrzywdzona aktem odebrania mi mojej minimalnej własności".

- Czajka, przestań, już mi to czytałaś z dwadzieścia razy - nalegał Czajnik zaraz będzie i o mnie, i o Rysiu Andrzejczyku, i o tym, że zajmujesz się nim jak matka, bo jest to sierota po Weronice Andrzejczuk, która "podczas najstraszliwszych prześladowań ukrywała cię przez pewien czas, a potem zginęła w czasie powstania warszawskiego". Widzisz, nawet mogę z pamięci cytować całe zdanie z tego już dawno nieaktualnego podania.

Ale Lewinom jeszcze tego nie czytałam, więc mi nie przeszkadzaj! No, ostatecznie, opuszczę to o Rysiu i o tych swoich dziejach wojennych i powojennych, o leśnej partyzantce, gdzie się znalazłam pod koniec wojny i o zdemobilizowaniu. Potem, już jako porucznik Czajka nie - byłam już wtedy chyba kapitanem, "zostałam przydzielona do Wojewódzkiej Komendy M.O. w Katowicach". Ale posłuchajcie, co dalej napisałam: "Po wyjściu w 1946 roku z milicji, ciągle tam w Katowicach myślałam i myślałam o moim mieście, ale nie mogłam powrócić do Warszawy. Bo nie miałam mieszkania, chociaż się o nie starałam i traciłam ostatnie grosze na wyjazdy, ale niestety nawet usilne prośby u ob. Zygmunta Kłopotowskiego w Prez. Rady Ministrów nie osiągnęły żadnego skutku, choć i dawne nasze mieszkanie przy ulicy Siennej 57 ocalało i zajęli je dzicy lokatorzy. Ludzie, często nie warszawiacy otrzymują teraz zaraz mieszkania w Warszawie, natomiast ja urodzona i wychowana i żyta wprost biologicznie z moim ukochanym miastem, nie mam do niego powrotu. I nie mam pieniędzy na kupienie mieszkania... I nawet..."

- Po co to wszystko przypominać! - przerwał tym razem Lewin - najważniejsze, że po kilku latach od daty tego podania, które jak widzę - i tu pan Leopold odebrał z rąk czytającej żółknięty już nieco papier - pisałaś 11 marca 1949 roku, wprowadziłaś się do miłego mieszkanka, tu na Karłowicza. - O - zerknął jeszcze na dół strony - widzę, że próbowałaś jeszcze wzruszyć Tołwińskiego przypomnieniem swojej roboty u metalowców. No i nie byłabyś sobą, gdybyś przy okazji nie załączyła do tego podania fotografii z tamtych lat trzydziestych, a może i dwudziestych...

"Załączam do listu, Obywatelu Prezydencie Tołwiński moją fotografię. Może Obywatel Prezydent przypomni sobie moją skromną osobę, że już w latach

1920-1923 walczyliśmy po tej samej»stronie barykady; będąc podówczas bibliotekarką w Klubie Metalowców Leszno 53 z obecną prezydentową Piotrowską, naonczas Tolą Hryniewiecką, miałam możliwość niejednokrotnie podziwiać Jego prawdziwie demokratyczne ujęcie spraw. Z głębokim przekonaniem że i tym razem po ludzku i sprawiedliwie wysłucha mej prośby, załączam wyrazy prawdziwego szacunku. Z socjalistycznym pozdrowieniem.

Stefania Czajka

dawniej Izabella Gelbard".

- I tak nic z tego nie wynikło i gdyby nie warszawscy literaci, z którymi bardziej się wtedy liczone niż dzisiaj, jeszcze długo mieszkałabym w Katowicach przy ulicy Świętej Jadwigi 11. Zostałam członkiem spółdzielni, w której i oni mieli swój okazały udział, bo do Związku Literatów przyjęli mnie jeszcze znacznie wcześniej, i to bez żadnych nacisków, już w Katowicach. Miałam bowiem na swoim koncie książkę wydaną u Hoesicka pod tytułem: Moja podróż. Szlakiem Południa, gdzie podpisałam się swoim ówczesnym imieniem, podzielonym na dwoje, a więc Iza Bell. Drukowałam też liczne recenzje, prace krytyczne; pamiętasz, Leopoldzie, w 1932 roku w piśmie "Droga", przejechałam się ostro po "Narkotykach" Stasia Witkiewicza. A tuż po wojnie pęczniały w tekach maszynopisy, które jak na przykład opowieść autobiograficzna z okupacji "Ocalił mnie kowal", nie mogły na razie znaleźć wydawcy. I wierszy też miałam dużo, pisane były jeszcze w warszawskim, potem w otwockim getcie, a jeszcze później w wiejskich chałupach, gdzie znajdowałam schronienie. Błagałam w nich świętą Tereskę, świętego Antoniego o przysłanie mi snów kolorowych, o "ocalenie od zdrady, od Niemców i od nudnych ludzi i od węża fałszu ludzkiego"...

- Czajka, zlituj się nad gośćmi, wypłoszysz ich swymi mistycznymi wspominkami. Nie dopuszczasz do głosu Leopolda, nie poczekałaś nawet na jego odpowiedź, czy pamięta pierwsze przyjęcie z okazji naszego osiedlenia się na Mokotowie...

Lewin pamiętał ten wieczór, te ogromne transparenty, te pozawieszane tekturki ze strzałkami o wymalowanych grubą krechą napisach: Do Czajki! do Czajki!, prowadzące do bankietowej sali skleconej prowizorycznie z desek.

... Powoli zbliżała się północ... Pan Leopold próbował wraz z małżonką pożegnać gospodarzy, lecz przychodziło im to z trudem.

- Zostańcie jeszcze, kochani, jeszcze nie odchodźcie - pani Bela chwytała gości za ręce. - Zagrajmy może w kanastę!... - Za oknami prószył śnieg i wokół panowała cisza. - Popatrzcie - zawołała z nagłą, otwierając drzwi na zasypany kwadracik ogródka - to jest jak "nieznana materia z innej planety" jak mówił Jędrus Łohoyski, stojąc wczesnozimowym popołudniem przed Katedrą na Starym Mieście.

Jaki znowu Jędrus?...

- Nie pamiętacie Jędrusia i Heli Bertz z "Pożegnaniu jesieni"?

- Ty masz pamięć - stwierdził z uznaniem mesje Lewę i dodał ze śmiechem - ale i ja pamiętam pewne cytaty z tej książki Witkacego, w której przemienił cię Belę Hertz w Helę Bertz. "Pokuta... Dobroć - być dobrą bez żadnych do tego danych". ...I jeszcze: "Świat był tak piękny, jak pepity Łohowskiego".

- Ja to tam mówiłam, ja - Hela przerwała mu szybko, ucieszona tą pamięciową rozgrywką.

- No nie wiem, czy będziesz tak uradowana, jak wydobędę z pamięci jeszcze inne myśli Witkacowskiego bohatera, Atanazego, który widział w Heli "świętą Teresę zmieszana pół na pół z żydowską sadystką, mordującą w kokainowym podnieceniu białogwardyjskich oficerów".

Roześmiała się.

- Cały Witkacy! Lubił swoimi kokainowymi podnieczeniami obdarzać innych ludzi i swoich powieściowych bohaterów, przypisywać im piekielne cechy, lubił deformować rzeczywistość, demonizować, uwielbiał "dzikie kontrasty". Wściekałam się nieraz na niego za te różne głośno wypowiedane epitety, za te apokaliptyczne wizje przyszłości, ale nie ma się co dziwić... po tym wszystkim, co przeżył po rewolucji w Rosji.

Dopalały się powoli płomyki świec w lichtarzach, po ścianach, po obrazach poruszały się chwiejnie ich wyolbrzymione cienie. Czas zapalić elektryczne światło. Rozbłysnęły małe, matowe żarówki żyrandola. Pan Leopold ogarnięty nagle przemożną chęcią odpoczynku o określonej, stale na ogół przestrzeganej przez niego godzinie, dość stanowczo wstał od stołu.

Ale od Czajki nie można było wyjść, ot, tak po prostu i nie być pożegnanym w jakiś niezwykły sposób. Więc i tym razem, gdy już stali wszyscy w małym przedpokoju, gdy mesje Lewę trzymał w ręku swego habiga, gdy małe Czangusie, drzemające dotychczas w drugim pokoiku na puszystych poduszkach, obudziły się nagle i zaczęły obszczekiwać gości, pani Bela powiedziała z tajemniczym uśmiechem: - Jeszcze jedna mała niespodzianka. Poczekajcie chwilę... To będzie coś na glicerynie, mydle i spirytusie... - Zwariowała - pomyślał w popłochu Lewin. - Kto będzie jadł takie świństwo?... Z mydłem?... Z gliceryną?...

Czajka zniknęła za drzwiami kuchni. - Co ona znów wymyśliła, ta wariatka? - flegmatycznie niepokoił się Czajnik. Wróciła po chwili z małą miseczką i ze słomką w ustach. Jej ciemne, wciąż jeszcze zaskakująco młode, nieco skośne oczy w kształcie migdałów jarzyły się iskierkami. Nabrała w usta powietrza - policzki wyglądały teraz jak dwie wypchane poduszeczki - i nagle wystrzeliły w górę jedna po drugiej migocące kule, lśniące, tęczkowe bańki. Mieniając się fioletem, seledynem, srebrem kołysały się łagodnie w powietrzu, odprowadzane wzrokiem Czajki, aby po chwili rozprysnąć się gdzieś, w drodze pod sufit. Milczała i wszyscy z nią, patrzący na to widowisko.

Może przez moment wydało się jej, że czas cofnął się o kilkadziesiąt lat. I że jest małą dziewczynką w dużym domu (cały parter przy ulicy Nowogrodzkiej 36 w Warszawie) i że z cioteczynym dziadkiem Szymonem Bockiem wydmuchuje niewiarygodnie piękne kolorowe kule. A dziadek Bock z Sierpca cieszy się i podrzuca mydlano-spirytusowe piłeczki na jedwabnej poduszce, wziętej ukradkiem z tapczanu i nazywa je imionami z biblijnych opowieści i z dawnych romansów: Judytą, Miriam, Roksana, Dafnis, Dolores...

Dziwny to był, inny całkiem niż reszta ustabilizowanej rodziny ten dziadek z Sierpca. Na starość nosiło go po świecie i wstyd tylko przynosił bogatej rodzinie, bo lubił wędrować boso gościńcami, a gdy drogi były zbyt kamieniste - zakładał kamaszki, zdzierając dokumentnie zelówki na pieszych

wędrówkach. Lubił też jeździć chłopskimi furkami, śledziem zagryzać obwarzanki w przydrożnych zajazdach i podśpiewywać wesoło. Szczęśliwy czuł się wtedy i wolny. Był to pełen fantazji i pełen dobroci człowiek, nieco narwany. Wnuczka, zwana przez niego Belunią, nie wiedziała jeszcze, że w przyszłości te same cechy ujrzą w niej ludzie i nie wiedziała też, że wtedy wydmuchując z nim kolorowe bańki rozpryskujące się srebrnymi kropelkami na jego długiej białej brodzie, widzi dziadka Szymona po raz ostatni. Obiecywał przecież, że zabierze ją wkrótce w podróż dookoła kraju - od Warszawy do Kalisza, od Kalisza do Włocławka, gdzie kiedyś mieszkała w małym domku babka Malwina. A potem mieli jechać do Mławy, gdzie gorszyła się wielce grzesznym światem inna babunia, bardzo bogobojna, mająca wszystko wszystkim za złe. A jeszcze potem mieli odwiedzić Sosnowiec, skąd wywodził się syn Eliasza z Włocławka. Ów syn Eliasza nosił dumne, jak z Goethego imię: Herman i w młodości przejął zgrozą i niechęcią całą poważną rodzinę, żeniąc się z kokietką Helcią, rodem z Warszawy.

- I wreszcie, Beluniu - mówił dziadek zasłuchanej wnuczce - zabiorę cię pod koniec podróży do Zgierza, gdzie twój tatuś Wilek oświadczył nam, że z wielkiej miłości żeni się z dziewczyną z Francji. To była twoja mamusia i ty później urodziłaś się z tej miłości.

Bywa czasem, że przez krótką jak mgnienie oka chwilę można ujrzeć całe swe życie i usłyszeć głosy nieobecnych, choć w rzeczywistości stoją wokół w ciasnym korytarzyku inne osoby. Więc gdy tak stała, trzymając w rękę miseczkę mydlin (według recepty dziadka Szymona z Sierpca) i patrząc na lot lśniących kulek, może wydało jej się nagle, że znów jest małą dziewczynką?...

*

Na drugi dzień, wcześniej rano, odezwał się telefon w mieszkaniu państwa Lewinów. Zbudzony z głębokiego snu pan Leopold uniósł słuchawkę i w tym samym momencie usłyszał głos Jana Marii Gisgesa: - Umarła Czajka! Dziś w nocy, na serce! - Po przekazaniu tej nieprawdopodobnej wiadomości Gisges usłyszał zaspasane mruknięcie po drugiej stronie drutu: - Ty wierzysz? To na pewno jeszcze jeden pomysł Czajki! Jeszcze jedna jej mistyfikacja...

Pewnie zaraz odezwie się i spyta jak gdyby nigdy nic: Dlaczego, Lewinku, tak długo muszę teraz czekać na paszport do Argentyny? Tobie uda się mi pomóc, przyśpieszyć. Tam już na mnie od dawna czekają... I potwierdzi przy tym swą wczorajszą obietnicę: Przywiozę wam stamtąd zielono-czerwoną papugę, czekoladę Korę i dużo, dużo dobrej kawy...

... Było to jedenastego grudnia 1969 roku i trzeba było w końcu uwierzyć, że już nigdy nie odezwie się jej głos. Odpłynęła bez paszportu na drugą stronę Wielkiej Rzeki.

Izabella i jej wcielenia

W jakiej przywołać ją postaci? W jakim ukazać wcieleniu? Czy zacząć od lat szkolnych z początków naszego stulecia, gdy prowadzona na ulicę Foksal pod bramę pensji pani Wereckiej wyrwała się opiekunce, gubiąc po drodze książki i wstażki wplecione w ciemnorude kosmyki? Czy zaprezentować ją w dziewiczym buduaru wśród adamaszkowo-pluszowych mebelków, w mieszkaniu ojca przy ulicy Nowogrodzkie, gdzie dorosłej pannie, ubranej w jedwabiste peniuary towarzyszyły pudle i biało-czarna kotka Paulina? Czy przypomnieć tamte dni, gdy jako towarzyszka Iza, w skromnej bluzce z mierzwanym białym kołnierzykiem, próbowała porządkować książki, pełnić dyżury w Bibliotece Metalowców, chodzić na czele pierwszomajowego pochodu, wymachując czerwoną chorągiewką?...

A może niech wystąpi ubrana jeszcze inaczej, w głębokich dekoltach wieczorowych sukien, gdy przesycona do mdłości "bibułowo-agitacyjną strawą" rzuca metalowców, ich bibliotekę i z właściwym sobie nieopanowanym apetytem, rozgorączkowaniem i gotowością do "świętej prostytucji duszy" (która to cecha znamionuje ponoć prawdziwych poetów i artystów) upaja się towarzystwem Witkacego i jego satelitów jak narkotykiem. Odurza ją niezwykła aura zabaw, seansów, intelektualnych prestigitatorskich sztuczek. Później ujrzyć ją można na tle lat trzydziestych, po powrocie z Paryża, jako mocno już dojrzałą kobietę, ale wciąż jeszcze budzącą zainteresowanie; jej "nogi cudownej piękności i białości aż niebieskawej" porywają spojrzenia nie tylko młodych mężczyzn, ale i Jego Królewskiej Mości Grubasa Wspaniałego, siedemdziesięcioletniego Franza Fiszera; on był jej "wielką miłością", acz całkowicie aseksualną, wielką przyjaźnią w tamtym okresie życia. Dla niego mogła poświęcić wiele; gdy powalony wylewem leżał w Szpitalu Dzieciątka Jezus, przychodziła codziennie, czytywała mu ulubione "Sonety krymskie". A potem, gdy umarł, ubierała do trumny (wpinając w butonierkę purpurowy goździk), choć tak bardzo bała się i nie znosiła atmosfery śmierci. Była dobrą kobietą i dobrym kompanem, bardziej wierna w przyjaźni niż w miłosnych związkach. Interesujących ją ludzi, których spotykała na swojej drodze, obdarzała hojnie nie tylko nie kontrolowaną wielomównością, ale i życzliwą spontanicznością, chęcią pomocy i konkretnym poratunkiem. Obce jej były ostre oceny, podziały, uczucia nienawiści czy zawiści. Nie chciała poddawać się wymogom różnych gier, nie chciała rozumieć i nie przyjmowała ich do wiadomości.

Grupy literackie, jakieś tam stowarzyszenia o innych światopoglądach? - Można by dostać fioła - mówiła - gdyby ciągle zastanawiać się, czy nie obraża się późni awangardyści albo wcześni futuryści, gdy aktualnie przysiadzie się w "Ziemiańskiej" do skamandryckiego stolika. Szkoda głowy na medytacje, czy nie wezmą jej za złe, że pozdrowiła głośno znajomych poetów z grupy Trzech Salw. Po co męczyć się myślami: spojrzą czy nie spojrzą z dezaprobatą - Iwaskiewicz, Lechoń czy Tuwim, gdy zacznie opowiadać o wspólnych z Broniewskim, Sebyłą, Szenwaldem czy Aleksandrem Maliszewskim obiadkach, o spotkaniach z kwadrygantami, nie dość że lewicującymi, ale jeszcze o tak pustych kieszeniach, że nieraz trzeba było stawiać im "kolejkę" pod śledzia. Beztroska, nie poddawała się tym niepisany prawom, pragnąc jedynie cieszyć się zachłannie pełnią artystycznego, a raczej towarzyskiego życia, stwarzać nieprawdopodobne sytuacje, zwracać na siebie uwagę wszystkich, i to w sposób niekiedy

ekstrawagancki. Kto wie, czy nie zmieniłaby nieco tego hałaśliwego trybu życia, gdyby miała dziecko. Decydując się świadomie na potomka dopiero w drugim małżeństwie z Jerzym Gelbardem, nie przypuszczała, że córeczka nie przeżyje nawet roku życia; rzadko później mówiła o tej tragedii. - Widać nie pisany był mi dom z pieluchami, z kaszką manną, ze "słodką pociechą", z ustalonym regulaminem dnia... I dobrze... Nie nadawałabym się na Królową Matkę - kwitowała ten dramatyczny fakt ni to kpiarsko, ni poważnie.

Jej królestwem, jej właściwym domem stał się dom "Pod Messalką" ze sławnymi - Simonem i Steckim, "Oaza", "Sztuka i Moda", czyli SiM, "Pod Bukietem", "Ziemiańska" - Mała i Duża. Gdy pojawiała się w Małej Ziemiańskiej przy Mazowieckiej 12, sunąc tanecznym krokiem, ciągnąc za sobą welon zapachu ulubionych perfum Mitsuko, zazwyczaj nie zatrzymywała się w sali parterowej, lecz szła dalej na piętro. Po drodze na półpięterku, na tak zwanej "górcie", musiała minąć stolik skamandryckich bogów, wysoki Parnas, choć prowadziło tam kilka zaledwie stopni. Ale bogowie - Słonimski, Tuwim, Wierzyński, Lechoń w odwiecznym, wyszarzałym żakiecie, obojętnie przemykali po niej wzrokiem, nie przerywając rozmowy przy okrągłym stoliku; co najwyżej Wieniawa, z nieodstępnym papierosem w palcach, cały w lśniących szamerunkach, akselbantach, odprowadzał ją długo spojrzeniem.

Natomiast sytuacja zmieniała się, gdy przy stoliku oprócz grupki tych Wielkich zasiadali bywalcy czy półbywalcy "Ziemiańskiej" innych artystycznych profesji - malarze, rysownicy - choćby wymienić tylko Feliksa Topolskiego, Romana Kramsztyka czy Zarubę, a także gawędziarze, anegdociarze z krzaczastobrodym Franzem Fiszerem na czele, perlące się śmiechem dwie siostry Kossakówny, Magdalena i Maria - Madzia i Lilka, Hemar, Stanisław Baliński, Boy-Żeleński o chłopięcym, mutacyjnym jakby tonie głosu. Autor "Słówek", nieco nieśmiały, nieco smutny, zamyślony, roztargniony, zmieniał się diametralnie, promieniał, tryskał dowcipem, gdy zaczęła przychodzić "na górkę" młodsza od niego o ćwierć wieku Irena Krzywicka.

Bella widząc tak duże grono znajomych, śmiało wchodziła na półpięterko, tam kierowała się na prawo prosto do stolika, wciskała w ciasny krąg, witając wszystkich entuzjastycznie, głośno, z wylewną serdecznością. Lubiła przysiąść się i do innych stolików, w innych lokalach. Z Konstantym Ildefonsem na przykład czy ze Zbyszkiem Uniłowskim, dawnym pikolo z restauracyjnego bufetu ("ach, te jego cudne oczy o granatowym blasku"), spotykała się "Pod Setką", w "Zodiaku" czy u pana Alijewa - "U Turka". Zbyszek ujrzawszy ją kiedyś w cętkowanej złościście sukni, ciasno jak skóra węża opinającej smukłość figury, wykrzyknął: Wyglądasz jak pantera, leoparczica!

Uwiecznił potem Izabelę jako pannę Leopard we "Wspólnym pokoju", ukazując zarówno ją, jak i to lokum, użyte przez matkę Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego kwadryganckim cyganom, w mocno krzywym zwierciadle. Groteskowo nakreślił nie tylko pannę Leopard, z jej seksualnymi sztuczkami, ale i innych gości tego mieszkania przy ulicy Nowiniarskiej, zmieniając tylko nazwiska; Szczawieja na przykład czyniąc Szczapiejem, a Słobodnika - Gowornikiem... Zdeformował karykaturalnie także i samych lokatorów: Salińskiego - "Dziadzię", Dobrowolskiego, występującego tu jako Zygmunt Stukonis, a nawet i siebie jako Lucjana Salisa, ubiegającego się o rozkosze cielesne związane z osobą panny Leopard.

Bella nie obraziła się na autora za swój portret, namalowany częściowo także i na tle jej własnego pokoju, gdzie rozrzucone na podłodze obok szafy

suknie, palta, konkurowały bezładem z piętrzącymi się na biurczku i na etażerze puderniczkami, piórami, zapisanymi arkuszami papieru, na pół otwartymi książkami, a także z jednym pantoflem, podniecającymi podwiązkami i pajęczynką pończoch - na łóżku, pokrytym koronkową kapą w kolorze dziewiczej bieli.

Zabawnie jest widzieć taką siebie w oczach tego młodzieniaszka - myślała z pewnego rodzaju dumą. Oprócz bałaganu dostrzegał on także doskonałą budowę jej ciała, "parę świetnych łydek, twarz o niezwykle szlachetnych rysach i cudnych oczach". Koneser!... I co za bzdury wygaduje ten Stasio Rysio Dobrowolski po ukazaniu się "Wspólnego pokoju" w 1932 roku, szepcząc poufnie nie wtajemniczonym, że panna Leopard jest wcieleniem "córką pewnego znakomitego krytyka, może Jana Lorentowicza"...

Irena Lorentowicz - uosobienie dobrego wychowania, bon tonu, "hajlajfowych" środowisk - literackim pierwowzorem panny Leopard! Też pomyśl!... Znakomity krzyk! No, to określenie może odnosić się ostatecznie i do papy Schwartza; krytykuje bowiem teraz, prawie bez przerwy, towarzystwo Belli, kompanów, różniących się nieco od jej poprzednich znajomych z "Kawiarni Artystów", czyli z "Cafe IPS" głośno lamentując:

- Dłaczego ciągniesz, jak kotka do mleka, do tych jakichś "Porfirionów Osiełków"?, tak mi się bowiem po wariacku przedstawił jeden z nich, jakby kpiąc sobie ze mnie. Za mało ci jeszcze było tych ekstrawagancji z Witkiewiczem? I później ze skamandrytami? Gadałaś wtedy tylko o nich, odmieniałaś ich we wszystkich przypadkach. A teraz znów cała deklinacja: kwadryganci, kwadrygantom, kwadrygantów. I jeszcze dodatkowo ten Gombrowicz, co przyprawia ludziom gębę. Przyprawi i tobie - zobaczysz... Moja córka i tacy ludzie! I takie knajpy! Ktoś widział cię nawet "U Joska" na Gnojnej. Co mówi na to wszystko mój zięć?...

- Po pierwsze, tatusiu - przerywała jego niegroźne biadania - jestem już dorosła, po drugie Jerzy zajęty jest nie tylko architekturą, ale i nową flama, lubię nawet tę panią Stefanię; zostawiliśmy sobie, jak wiesz, w tych sprawach wolną rękę i to nie przeszkadza nam być serdecznymi przyjaciółmi... A po trzecie ci "jacyś" to artyści, pisarze, poeci. Ten od "Porfiriona Osiełka" potrafi nawet od ręki tworzyć wzruszające wiersze. Gdy go wczoraj przypadkowo spotkałam na ulicy i zapytałam, gdzie idzie, zamyślił się i po chwili tak mi odpowiedział:

Włożę spodnie, czarne, cmentarne

i pójdę w siną dal...

I nic nie zostanie tu po mnie

jeno ten cichy żal

[...] I gdzieś tam w knajpie za miastem

nie zapłacony rachunek

- Że zostanie ten nie zapłacony rachunek, to pewne - mruknął Wilhelm

Schwartz i nagle obydwójce głośno się roześmieli.

- Tatusiu, czy to ważne z kim chodzi się po Warszawie, jeśli to są ludzie ciekawi, niezwykcy? - mówiła, całując go w jeden z siwych bokobrodów. - "U Joska" na Gnojnej czy "U Turka" jest zabawnie, więc czy ja muszę chodzić tylko na Królewską 13 do IPS-u, czy do "Zodiaku" na Traugutta 6?...

Po skamandrytach, królował w "Zodiaku" Gombrowicz gromadząc wokół siebie interesujące osoby, w większości męskie towarzystwo; nierzadko można było tam ujrzeć Andrzejewskiego, Miłosza, Światopełka Karpińskiego. Bella lubiła tę postskamandrycką aurę. Nikt nie mógł równać się z Witoldem, niezrównanym towarzyszem wszelkiego rodzaju mistyfikacyjnych gier, mistrzem automistyfikacji, w której to sztuce była pojętną i nader chętną uczennicą. Ujrzała go kiedyś w Alejach Ujazdowskich, gdy siedł w pobliżu parku z Witkiewiczem i jakimś niewysokim człowiekiem, trochę niesamowitym przez nieproporcjonalnie dużą w stosunku do wzrostu głowę i wyraz ciemnych oczu.

Jakiś nowy "muszkieter" w gwardii Gombrowicza - pomyślała. Pośpieszyła naprzeciw z gotowością poznania go i włączenia się do spaceru i do ożywionej rozmowy. Ale nagle spojrzenie Gombrowicza i prawie niedostrzegalny, jakby odpędzający natrętną muchę ruch jego ręki unieruchomił ją i wtłoczył z powrotem w usta powitalny okrzyk. - Dobrze, że się opamiętałaś, Belu - pochwalił ją potem Witold. - Nic bardziej obcego i głupiego, niż twoje uczestnictwo w naszej rozmowie. To niezwykły człowiek, "fanatyk sztuki, jej niewolnik"; nazywa się Bruno Schulz.

Po przeszło dwudziestu pięciu latach Gombrowicz wspomni w "Dziennikach": w "smętnym życiu literackim niemało świństwa doznałem, ale też spotykałem ludzi, co mnie obdarowywali ni stąd, ni zowąd, z hojnością padyszacha - nikt jednak nie był bardziej hojny od Bruna. Nigdy, ani przedtem, ani potem, nie kapałem się w tak krystalicznej radości z powodu mego artystycznego dokonania". I doda jeszcze: "Jakaż była moja reakcja na wielkoduszność Schulza? Lubiłem go... tak". Ale natura nigdy wówczas nie pozwoliła mu "podejść do niego inaczej jak z niedowierzaniem"; z niedowierzaniem także i do jego sztuki.

Nie wiadomo, czy Bella kiedykolwiek dłużej rozmawiała z Schulzem, czy próbowała poznać go bliżej. Wydaje się, że typ wspaniałej, głębokiej inteligencji autora "Sanatorium pod Klepsydrą", materiał jego życia i jego twórczości, wewnętrzne alchemie, artystyczne przewrotności, perwersje, musiały być zbyt zagmatwane dla prostej w gruncie rzeczy jej natury, zbyt trudne w złożoności, nieprzydatne dla niej jako źródło do wytwarzania musujących pianek rozważań, żartów, literackich gier i zabaw.

Lubiła zawsze towarzystwo, które ją bawiło albo z którym można było się bawić. Obracała się więc wśród różnych ludzi: młodych i starych, eleganckich i tych w nieco zużytych ubraniach, snobów i nie snobów, byleby coś się wokół niej działo, byleby, mieć widzów czy aktorów wariackich sytuacji, intryg - nie w płaskim zresztą pojęciu tego słowa. Uwielbiała nieprawdopodobne mistyfikacje, historie zmyślone przez siebie i przez innych, pachnące niedwuznacznie grubą mitomanią.

Granica: prawda i zmyślenie, serio i nie serio, była dla Izabelli bardzo płynna, właściwie nie istniejąca. Nic więc dziwnego, że wołała towarzystwo Witkacego niż Broniewskiego czy Edwarda Szymańskiego, że lgnęła bardziej do Gombrowicza niż na przykład do proletariackich poetów, lewicujących działaczy, wymagających od kobiet ascetycznych wyrzeczeń i rewolucyjnej

ofiarności, zbyt poważnie - jej zdaniem - biorących życie, zbyt czarno widzących przyszłość, zbyt ostro sprzeciwiających się otaczającej ich społecznej rzeczywistości. Cóż mogło ją, w upajającej zmysły nierealnej atmosferze, w stworzonym przez nią świecie, to wszystko obchodzić? Obce też były jej psychicznej konstrukcji walki literackie, słowa publicznie wykrzykiwane, obraźliwe, napastliwe, ataki wciąż ponawiane z obu stron barykady, dzielącej ludzi o różnych światopoglądach, wyznających różne ewangelie, kroczących w innych kierunkach.

Po cóż tak sobie wzajemnie dokuczacie? - pytała z naiwnym wdziękiem, jakby nigdy nic nie słyszała o dawnych sporach i napaściach w dwudziestych latach, o literackim pamflocie Słonimskiego na Adolfa Nowaczyńskiego pod tytułem "Rudy, do budy", i o rewanzu za to - rzeczywistym napadzie bojówki na skamandrycką redakcję. Teraz też była świadkiem ostrych drwin, docinków, gniewów. Gdy skamandrycy wołali do przeciwników: "Zramolali bogoojczyźniani grafomani! Do Kulparkowa!", ci od Nowaczyńskiego i Rabskiego odparowywali zjadliwie: "Śpiewankowi kataryniarze! Skamandruszki! Skamandryle", ponuro dopowiadając jeszcze: "Szwindlarze, masoni, plugawiacy ideę narodową!"

Pani Izabella nie lubiła takich "zabaw", nie włączała się w batalie, nie wyżywała w słownych potyczkach. Obca jej sercu była brzydka zaciekleść. Serce - uważała - jest przeznaczone do kochania, do miłosnych wzruszeń, do radości. Traktowano ją tedy na ogół z sympatią, patrząc z pobłażliwością, gdy przysiadła się do "wrogiego" nawet stolika. Ot, barwna, bzycząca niegroźnie muszka, pstry ptaszek, przyfruwający do literackich i nieliterackich stolików, kolorowy punkcik, specyficznie ożywiający kawiarnianą mapę Warszawy.

Takich gwiazdek, muz, takich Izabell było i jest zawsze wiele we wszystkich stolicach świata i one tworzyły i tworzą legendy. Ciekawe, że nikt z owych lat dwudziestych, trzydziestych, żaden z pisarzy i poetów, opisując tamte czasy, tamtych ludzi i tamte stoliki, których była nieodłącznym elementem, nie poświęcił Belli trochę miejsca w swoich książkach, nie ujawnił przyjacielskich związków; jakby się obawiał, że znajomość z nią, jej niepowaga, beztroska i filozofia życia. specyficzne maniere mogą ośmieszyć go w oczach czytelników, umniejszyć wagę wspomnień. A przecież ci sami poeci, pisarze pisywali do niej listy, widywali się z nią - wtedy i później - już po tej wojnie, pieczętując tym przyjazną zażyłość. W kilku przypadkach wpłynęła ta korespondencja po śmierci Czajki i niektóre z ocalałych, nie publikowanych do dziś listów Iwaszkiewicza, Gałczyńskiego, Gombrowicza czy Gustawa Zamoyskiego mogą powiedzieć nam niemało nie tylko o adresatce, ale i o nadawcach.

...Być adresatką listów od takich ludzi - to duża przyjemność! Być bohaterką powieści, inspiracją i podniętą do ulepienia przez artystę takiej postaci jak Hela Bertz - to w pełni nasycone pragnienie stania się głośną, usatysfakcjonowanie ambicji, że weszło się na zawsze do literatury, choćby kosztem towarzyskiego skandalu. Próbowano oburzać się na autora, polemizować, ale było to tylko grą, pretekstem do głośnych replik, chciała bowiem ujrzeć w druku także i swoje elaboraty. W początkach lat trzydziestych widzimy więc bohaterkę "Pożegnania jesieni" w recenzenckiej roli, jak ostrzy swe pióro, pragnąc stanąć w szranki z Witkiewiczem i dorównać mu intelektem i drapieżnością. Ta recenzja z "Narkotyków" miała być słodką zemstą za Helę "szatańską księżniczkę, córkę Lucyfera" z morfinowo-kokainowych światów. Ową zemstę w drukowanej postaci ujrzeć można

było w 1932 roku w piśmie "Droga". Wzbudziła ona jeszcze jeden szyderczy chichot Witkacego swą pretensjonalnością, nieudolnymi dziecinnymi próbami bycia morderczą w uzadleniach. Te uwagi "o wdzięcznie stylizowanym rozmiękczeniu mózgu", o "uczuciach diabła, który uwiódł na bezdroża sto dziewczic i tyleż dam dojrzałych", o "sile młodego juhasa, o średnim wzroście tura"... Oj, Belu - Helu! Te analizy literackie, recenzje, krytyki to nie Twoje pole, na którym możesz się swobodnie, zgodnie ze swoją naturą - wyhasać.

Jej królestwem, gdzie zapanuje, jednych gorsząc, drugich śmiejąc, stanie się autobiograficzna twórczość. I to już niedługo, bo w 1937 roku, gdy zanieśie pierwszą książkę do Hoesicka i wydrukuje pod prostym tytułem: "Moja podróż. Szlakiem Południa". Opiszę w niej rejs "Batorym", w bryzgach fal, w słońcu i w mgłach, pod niebem nocą skrzającym się gwiazdami, w której to romantycznej scenerii ujrzy na pokładzie mocą wyobraźni pięknego żeglarza.

Niech autorka "Szlakiem Południa" wynurzy się jeszcze raz z tamtych mgieł, niech popłynie znów do dalekich krajów, zanim zostanie oddzielona od wolnych przestrzeni murami warszawskiego getta. Niech wepnie różową kamelię w rdzawy kasztan włosów, owinie wieczorem swoje niespokojne ciało jedwabistym fioletem sukni i niech zatańczy! A w południe niech usiądzie na pokładzie, na leżaku, skromnie przyodziana w granatową sukienkę w niewinne białe groszki, do ręki weźmie książkę, a nawet dwie, udając, że je czyta, choć spoza ich okładek patrzy na przystojnego współtowarzysza podróży o nader męskiej, niepospolitej urodzie i pospolitym nieco imieniu: Antek. Niech spotka tam na polskim statku budowanym w Montfalcone ognistooką panią Nelly, z domu Grzędzińska, w amarantowej sukni, z tonującym jej żywiołowość mężem, Andrzejem Strugiem, o włosach białych jak grzywy fal. Niech zachwyci się dystynkcją państwa Stypińskich: w tym stadle małżeńskim widziało się tylko ją: Irenę Eichler o egzotycznej urodzie i niezwykłym wyrazie pięknych, jakby nieco skośnych oczu. Niech oszołomi strumieniami swego bajania smukłą sarnioką malarzkę - Monikę, córkę wielkiego Żeromskiego, oraz Fiedlera wpatrzonego, jak czujny myśliwy, nie tyle w nią, ile w daleką linię horyzontu.

Mieni się suknia Moniki, płomienna jak maki na jej obrazach, lśni tajemniczo w świetle księżycy srebro frędzli, zdobiących szatę pani Ireny, a "książę szwoleżerów" - Wieniawa Długoszowski o jasnokasztanowych włosach gładko zaczesanych do tyłu i o wyrazistym orlim profilu wznosi kielich z perlistym szampanem... Lekkie kołysanie, parne noce, plusk fal, zapachy i kolory egzotycznych ładów, palmy, "niepokój w krwi i w sercu", oczekiwanie na coś wspaniałego, co może zdarzyć się niespodziewanie w nadciągającej godzinie, choćby na razie miało się to okazać wyśmienitym jedzeniem w rodzaju saumon fumé, perdreaux rôtis sur canapé z sałatką z trufli, jabłkami i selerem, lśniącą niewyobrażalnie smakowitym sosem, plateaux niezrównanych serów i deserem parfait de glaces.

Ta pierwsza morska wyprawa zrodziła u pani Izabelli jeszcze jedno namiętne pragnienie: podróżować! Wojażować do zamorskich krajów, do miast, których już sama nazwa może przyprawić o rozkoszny zawrót głowy... Pierwszy bowiem wojaż sprzed dwóch lat, statkiem jugosłowiańskim, znacznie skromniejszym, o nazwie "Caragiorge", nie był tak wspaniały i działający na wyobraźnię, choć i wtedy dotarłszy z Raguzy do Wenecji, Izabella doznała olśnienia na widok signora o imieniu Francesco, "pięknego jak koń arabski i gibkiego jak trzcina"; o tym przeżyciu kwieciście informowała znajomych, czytając im swe sonety na temat włoskiego obiektu zachwytu, "pięknego i

gibkiego" Franciszka.

*

Jest już lato 1939 roku. Ostatnie dni sierpnia zastały Izabellę Gelbardową w Warszawie. Zawsze lepiej i bezpieczniej być w domu gdy sytuacja polityczna wydaje się napięta, choć sama Bella jest raczej rozluźniona po słonecznych dniach spędzonych w miłym towarzystwie nad Bałtykiem. Nie odczuwa więc lęku i paniki, choć słyszy przez godzinę wyjące na próbę alarmową syreny, choć widzi, jak gromadzi się wory z piaskiem i jak w Parku Ujazdowskim ochotnicy wykopują łopatami zygzakowatą linię rowów przeciwlotniczych.

- Wojny chyba nie będzie - mówili jedni. - Będzie, ale szybko się skończy - zapewniali drudzy. Pokonamy razem z Francją i Anglią tego malarzynie Hitlera...

W ostatnie sierpniowe wieczory chadzano do Teatru Narodowego na krotocwilne "Wesele Fonsia", przygotowywano na 2 września farsę "Serce w rozterce, czyli ślusarz widmo" w Teatrze Letnim, a w Teatrze Polskim śmiano się z dyktatora Butlera w sztuce Bernarda Shawa "Genewa", ucharakteryzowanego na Hitlera, w której to roli występował sam Józef Węgrzyn.

31 sierpnia, późny wieczór... "Wokół kulistych lamp elektrycznych, w restauracji Hotelu Europejskiego, nocą krążyły ómy i wpadały do kieliszków, gwałtownie łopocząc skrzydłami. Letni taras, zazwyczaj pełen kolorów i eleganckich osób, teraz był pusty i gościł tylko skromne grono dziennikarzy" - zapamiętał tę zbliżającą się północ, piątek 1 września, jeden z zagranicznych korespondentów Alceo Valcini. - "W tym ostatnim dniu sierpnia - wspominał - nie było najmniejszego powiewu wiatru, jakby i on trwał w oczekiwaniu"...

1 września pani Izabella Gelbardowa usłyszała w radiu: "Uwaga, uwaga... nadchodzi... ko - ma trzy"... I jeszcze: "Ogłaszam alarm dla miasta Warszawy". Po południu ujrzała na murze domu odezwę prezydenta: "Nocy dzisiejszej odwieczny wróg nasz rozpoczął działania zaczepne wobec Państwa Polskiego, co stwierdzam wobec Boga i historii"... A w dwa dni później, w niedzielę, wyszła w południe na miasto i stanęła w wiwatującym przed ambasadą brytyjską tłumie, przy ulicy Nowy Świat 18. Podniosły i radosny jednocześnie nastrój, wciąż powtarzane słowa: Anglia jest z nami, wypowiedziała wojnę Niemcom!

Pomyślała tedy beztrąsko: Wkrótce wróci wszystko do normy. Na razie należy iść do domu, napisać kilka listów - do Paryża i do Santiago, do ojca w Montevideo, a potem jechać jeszcze do kolektury pani Jadwigi Sodólskiej przy ulicy Kopernika. Trzeba kupić tam jedną piątą losu numer 1010 A, który jej się wyśnił jako szczęśliwy; ciągnięcie ma być już 7 września. Pani Ossowiecka, której zwierzyła się ze snu, wydawała się bardzo zdziwiona i powiedziała, że Stefan kupił aż trzy części tego samego losu. A wieczorem ma obejrzeć jeszcze polityczną rewię w "Ali Babie" na Karowej pod tytułem: "Pakty i fakty". Faktem jest, że tego dnia, mimo wiadomości o bombardowaniach, opanowało ją radosne gorączkowe podniecenie. Wiwatowała

głośno z innymi, nie tylko przed Ambasadą Brytyjską, ale i nieco później przed Francuską, przy ulicy Frascati.

Dopiero dni następne uświadomiły Belli powagę i grozę sytuacji; te bombowce nad Warszawą, transporty rannych, fale uciekinierów, kolejki rosące przed sklepami, dramatyczne wezwania do budowy barykad i do wymarszu na Wschód wszystkich zdolnych do noszenia broni mężczyzn celem mobilizacji, pewien - także i w związku z tym - ewakuacyjny chaos... "Bezlądna ewakuacja bez odpowiednich środków na nieokreśloną tułaczkę o głodzie i chłdzie jest bezcelowa i szkodliwa" - próbował ostrzegać komunikat szefa sztabu DOK 1.

- Nie ruszę się nigdzie z mojego miasta! - postanowiła, choć namawiano ją do opuszczenia stolicy oferując miejsce w samochodzie. - Wojna przecież niedługo się skończy - mówiła z przekonaniem. - Gdzie, gdy wróci, będzie mnie szukał ojciec?... Nie, nie wyjadę z Warszawy!

...W rok później, w początkach listopada, znalazła się za murami getta, najpierw warszawskiego potem otwockiego. Na ciemnym, za luźnym rękawie jej palta widnieje opaska z żydowską gwiazdą Dawida. Taneczny, swobodny krok zastąpiony zostaje niepewnym, gotowym do nagłej ucieczki, nierytmicznym stąpieniem. Ślepy strach, ale i zarazem żarliwe, nie osłabione pragnienie życia; to ono każe dawnej "Belli z Montparnasse'u" i z "Ziemiańskiej" wierzyć, że zostanie ocalona, że przeskoczy te mury getta albo ucieknie z transportu, gdy będą ją wieźć na śmierć.

Jest słaba, brudna i głodna, ciało jej "żółte, jakoś spopieliałe, wygląda jak wykopalisko spod lawy", ale wierzy skulona pod kolczastym zasiękiem, że przyjdzie ktoś i wybawi ją od losu, który spotkał przed godziną matkę Juliana Tuwima. I rzeczywiście, spełnia się cud wiary. Oto już wkrótce zmienia się zaszczuty wyraz oczu. Na głowie ma wiejską chustkę w kwiaty, pracuje w polu nucąc: "Biała lelija, biało rozkwita", je zacierki na mleku, jest wdzięczna Bogu i Człowiekowi - córce kowala za ocalenie, modli się żarliwie, śląc strzeliste antyfony, także i mową wiążaną do wszystkich świętych, a szczególnie do świętej Tereski i świętego Antoniego.

Zamiast dzieł sztuki z jej warszawskiego przedwojennego salonu otaczają ją w kowalowej chałupie oleodrukowane wizerunki świętych. Stroi teraz w "białej izbie" kolorową bibułą obraz krwawiącego Serca Jezusowego, a potem z kawałkiem papieru, śliniąc kopiowy ołówek, siada na pniu na podwórzu przed domem, otoczona kolistym rzędem przyjaznych białych brzózek i pisze:

Kiedy rano wstanę, to na powitanie

W śliczne kwiaty obraz ustroję na ścianie

Z papieru lilije, a z bibułki róże...

Nazywa się już nie Izabella Gelbard, lecz Stefania Czajka, co zostaje udokumentowane metryką z parafii, a potem kenkartą w gminie, że "Stefania Czajka, córka Nepomuceny Czajki z Miastkowa, ochrzczona w parafii Mińsk Mazowiecki" jest siostrą, choć z innego ojca, samego kowala.

Mijają dni, znaczone wciąż innymi nazwami wsi, kończy się wojna. I zaczyna się nowe wcielenie, nowy etap życia, wciąż tej samej Czajki. Te śmiejące się oczy, ten mundur i te dwie czy cztery gwiazdki na epoletach też do niej należą: do porucznika, a może i kapitana Czajki.

Mówiono o niej - przedwojennej, że jest "jedną z najniezwykłych postaci Warszawy z okresu dwudziestolecia". To określenie można rozciągnąć i poza te czasowe ramy - na lata powojenne - gdy wzbogaciła się o jedno imię i o dwa nowe nazwiska, prezentując się czytelnikom na tytułowych kartach książek jako: "Stefania Czajka (albo po prostu: Czajka). Izabela Stachowicz". I rzeczywiście była wciąż "jedną z najniezwykłych postaci Warszawy", i to w czasach tak całkiem innych. Dla wielu, ale nie dla niej, było sztuką - prawie niemożliwością, pozostać wtedy sobą, z całym ładunkiem emocji, zarówno w życiu, jak i w pisaniu.

Na wpół groteskowa, nie brana poważnie, z kartami życiorysu, które można było na siłę wlepić do księgi z rejestrem osób zasłużonych już w przeszłości dla idei socjalistycznej, balansowała na woltyżerskiej linie, błaznując i nie zdając sobie zapewne sprawy z ponurych, głuchych i ciemnych czeluści, pochłaniających wskazane i skazane ofiary. Gdy zetknęła się czasem z czymś nieszczęściem, osadzeniem w areszcie czy w "kotle", starała się pomóc nic tyle rzeczywistymi wpływami, ile wariackimi pomysłami. Mogła je niekiedy realizować opierając się na krzykliwej pewności siebie. Jedno zdanie z listu Józefa Czapskiego z Paryża mówi o tym niedwuznacznie.

"Kochana Czajko! - pisał autor. - Tobie zawdzięczam naprawdę to - pomimo nieszczęść - szczęśliwe spotkanie z naszym rodzeństwem".

W pewnych lżejszych wypadkach udawało jej się spowodować czyjeś zwolnienie z więzienia przez powoływanie się na wysokie znajomości; zazwyczaj wymyślała je na poczekaniu, budząc strach w funkcjonariuszach niższej rangi i "czynu". Kiedyś o takiej "wybraniającej" wyprawie z Czajką do Częstochowy opowiadała mi towarzysząca jej wtedy pani Zofia Brezowa: Nie wiadomo było, czy bać się, czy się śmiać!... Czasem pomagał w pomyślnym załatwieniu nie tylko mundur, w który się przyoblekała, ale i jej nieprawdopodobny talent preparowania różnych wersji, popartych "odciążającymi" papierami w rodzaju świadectw lekarskich o dziedzicznym na przykład wariactwie danego więźnia o jego niepoczytalności itp.

"Żyje na zasadzie wariackich papierów i kontuzjowania w głowę" (naturalnie, wymyślonego!). "Jest błaznem posiedzeń partyjnych, pod maską enfant terrible i starej naiwnej weredyczki "mówi ponoć ważnym osobom impertynencje", uprawia "autoreklamę poprzez autoironię", odznacza się "hałaśliwym humorem i niepowściągliwym językiem". Wydaje książkę o emigrantach "Lecę w świat", "jakiej nikomu by nie puszczono nawet w tak humorystycznym tekście", i odwiedza w Urugwaju rodzeństwo, "które potem strasznie opieprza"...

To uwagi z "Dzienników" Marii Dąbrowskiej, która z Anną Kowalską odwiedziła ją kiedyś w 1960 roku na Karłowicza, wysłuchiwała tam wielu historyjek, anegdot, kwitując złośliwą oceną opowiadaczkę: "Rozkrzyczana starucha". Dodała jednak gwoźliwej sprawiedliwości, że te opowiadanki mogą "bawić jak dobry kabaret, pod warunkiem, że się ją widzi i słyszy raz na kilka lat". Należy więc raczej czytać książki Czajki, i to do późna w noc, bo te wszystkie jej powieści to "bardzo zabawna lektura i bardzo żydowska" - stwierdza ostatecznie pani Maria.

Jednych więc bawi, drugich gorszy; rozśmiesza i irytuje, budzi sympatię, pobłażliwość, to znów niechętnie, zjadliwe uwagi. Na jej małowymiarowych "salonach" przy Karłowicza spotykają się wielcy ze świata literatury, kultury i decydenci "od literatury" i "od kultury", a często także mniej znani, ale bardzo pittoresque, patrzący z nabożnym nierozróżnieniem na stałych gości. I ze zdumieniem, gdy na przykład jeden z nich - warszawski malarz i rysownik, zanim wejdzie "na pokoje", ukazuje swą twarz w dzikim grymasie za szybą drzwi do ogródka, zerkając, czy przyszedli już Zagórscy, Juliusz Żuławski, profesor Kott z żoną, Zygmunt Mycielski, Lewinowie.

Nieokiełznana jej fantazja kazała wymyślać trasy egzotycznych wojaży i proponować przyjaciołom wspólne podróże w dobrej wierze, że zostaną urzeczywistnione, choć z góry można było uznać ich realizację za niemożliwą w tych czterdziestych i pięćdziesiątych latach. Niektórzy ludzie dali się porwać jej słowom, bo, choć na krótko, odrealniała codzienność, ubarwiała rzeczywistość. "Kochana Czajko - to fragment z listu pani Zofii Morstinowej. - Przepraszam, że tak piszę, ale tak nazywa Panią cała Polska, zawsze życzliwie i z sympatią, za pogodę, wesołość, dobry humor, których u nas niewiele"...

..Kochana! barwna! szumiąca Belo! - to wykrzykniki słane z kolei z Krakowa przez Natalię Gałczyńską. - Tak chciałabym wyjechać z Tobą do Santiago!". Konstanty Ildefons też poddawał się entuzjazmowi, akceptując podróżnicze "projekta" Czajki wspólnej wyprawy do egzotycznych krajów i akcentując przy tym: "Jestem poliglota, a języki angielski, rosyjski, francuski i niemiecki znam naprawdę w sposób niezwykły". Ale znając Belę miał jednak pewne wątpliwości, więc podkreślił zielonym atramentem słowa: "Odpisz mi zaraz, na ile serio jest sprawa Santiago, ponieważ z radością zaczęlibyśmy przygotowywać się do podróży".

Podróże te pozostały na zawsze w sferze kolorowych marzeń Konstantego i "srebrnej Natalii"; dopiero po kilkunastu latach udało się samej Czajce wyfrunąć za ocean. Miała już wówczas sporo lat (zdradzała to prawdziwa chyba metryka z datą 10.IV.1893) i podobnie sporo energii, fantazji, chęci nieprawdopodobnych przygód.

Podróże stały się teraz pasją jej prawie już siedemdziesięcioletniego życia. Lecę w świat - wołała tytułem książki. - Płynę! Odfruwam! Szybuję! - oznajmiała czytelnikom swych licznych reportaży. Lecę, jadę do Ameryki Południowej, do Buenos Aires, Sao Paulo, Montevideo, aby oglądać nie tylko "górze w kształcie kapelusza", katedry, Palacio Salvo czy budynki giełdy, ale i twarze tych nie widzianych od przeszło dwudziestu lat.

... W Buenos Aires czeka Olaf Svensen; to poetyckie imię i nazwisko wymyślił mu Gałczyński. W rzeczywistości delikatny, szczupły student polonistyki i kompozytor zarazem, nazywał się Jakub Feldman.

Olaf - to wspomnienie przedwojennej Warszawy, jego gry na pianinie, śpiewu kwadrygantów.

Ma wielkim okręcie

wszyscy palą opium

Maleńkie fajeczki

w których smutki topią

Biały słoń, biały słoń

Szaj - man - joj

Guncy - aj - joj...

Próbowała tam w Buenos Aires wskrzeszać wraz z posiwiiałym Olafem melodie ongiś przez niego komponowane, ożywiać słowa, które zgasły, zamarły na ustach, gdy przysła wojna...

W nieruchomym złotym oceanie

Płyną łodzie białe i różowe.

Kwitną kwiaty piękne niesłychanie

I atole koralowe

(...) Dzioby statków prują oceany

Kair, Santos, Rio, Tokio, Bombaj...

- ich wspólny śpiew nie mógł już brzmieć tak, jak wtedy. Tylu bliskich z tamtych lat pożegnali na zawsze, a sami stali się już starzy i inni. Nie żył już Gałczyński, Uniłowski, Sebyła zabity w Katyniu... I cała rodzina Olafa, łącznie z jego żoną - Marysią z Turowerów, zamordowana w warszawskim getcie... Na obczyźnie są groby bliskich - ojca, matki... I wszystko jest już tutaj obce i dalekie. Nawet ci dawni przyjaciele i rodzeństwo: Fredek, Ewa i pełna uroku siostrzenica Jeanine. Brat i siostra dobrzy są dla niej, gościnni i serdeczni, ale żyją w tak innych "wysokich regionach", że Czajka czuje się, jak ptak zamknięty w "snobistycznej wieży z kości słoniowej". Wyfrunąć stąd; choć wie, że wieczorem, gdy przyjdzie zmierzch, znów odnajdą się w całonocnej rozmowie i znikną bariery wzniesione przez czas i tak różne środowiska, światy, w których przyszło im żyć.

Czy gdy opuści Montevideo, odnajdzie się z dawno nie widzianym, tak kiedyś kochanym, nigdy nie zapomnianym Dzikim?! Musi się przekonać, pojechać do Sao Paulo, zawieźć tam dużą butelkę z różanym likierem, zapakowaną jeszcze w Warszawie w jednej z dziesięciu walizek; Dzik lubił saczyć z kieliszka, wytwornie, jakby od niechcenia, ten trunek.

Sao Paulo - lśniaca szkłem i bogactwem willa przy Gaspar Laurence... I on sam, dawny obiekt jej "niedorzecznej, szalonej miłości" stał teraz przed nią z mocno posiwiiała czupryną, która kiedyś miała barwę granatową. Czy to możliwe, że wtedy przed laty czuła się przy nim nie tylko fizycznie, ale i metafizycznie szczęśliwa, i że wzlatując ku niebiosom poetyckimi rymowankami dziękowała Stwórcy za spotkanie Dzika na swej życiowej drodze i...

... za ukojenie smutku i tęsknoty

W ten ranek cichy, słoneczny i złoty...

Modlę się, Panie, do Ciebie...

Dziś próżno wskrzeszać te podniosłe nastroje i czuć zmysłową radość w rozmowie z dawnym kochankiem. O czym on lubi mówić teraz, w tej pięknej swojej willi zwać się "Mariana" i o czym myśli... I co kocha nade wszystko? Już przy pierwszych jego słowach można odpowiedzieć sobie na pytania. Nieco zamyślony, abstrakcjonizujący, wydaje się cierpieć, nie wiadomo zresztą z jakiego powodu, bo przecież ma wokół siebie bliskich ludzi - siostrę Małgorzatę, szwagra - malarza, z którymi godzinami można rozmawiać o sztuce, a przede wszystkim orchidee - przedmioty swej największej miłości i troski. Traktuje je z taką czułością i tak namiętnie rozprawia o ich urodzie, barwach, kształtach, jakby były to ciała młodych kochanek.

Gdzież podział się ten czar, gdy poznała go już jako pani Gelbardowa? Czar, którym emanował w mieszance z "przejmującym nieodparciem męskim zapachem"?... Gdzie poszybował mroźny wiatr tamujący oddechy w czasie szalonej jazdy saniami, gdy śnieg bił ostrymi grudkami w rozpalone twarze?...

Ach, Dziku, jak błyskawicznie przegalopował ten czas, zmieniając po drodze nie tylko kolor naszych włosów. Edwardzie, obywatelu innej części świata; sam też inny, daleki (nawet na różany likier spojrzaleś obojętnie i bez zrozumienia), gawędzi się teraz z tobą beznamiętnie o kwiatach, o specjalnościach brazylijskiej kuchni, o drinkach na upał. Wtedy tam w Warszawie samym tylko spojrzeniem umiałeś wywoływać rozkoszne dreszcze i przeszywające mnie na wskroś, jakby elektryczne prądy myślała ze smutkiem - byleś doświadczonym elektrotechnikiem z zawodu (a także i tłumaczem jakiejś książki), ale to nie miało z tym nic wspólnego! Myślałam o Tobie, mój nie poślubiony mężu, przez te wszystkie lata...

Późną nocą, sama, leżąc już w miękkim łóżu, w pokoju z oknami wychodzącymi na pachnący kwiatami ogród, nieco rozczarowana, podsumowywała wrażenia poprzedniego dnia. Na szczęście następne rozmowy wyszły poza temat orchidei i abstrakcyjnych sztuk. Poczuli się znów na jednej fali, która uniosła ich do Warszawy tej sprzed wojny i do ludzi z tamtych lat. Powoli odnajdywała Dzika, w roli co prawda innej: już tylko powiernika, starego przyjaciela. Była bardziej ożywiona niż wczoraj i cieszyła się, że Dzik słucha jej z uwagą, wypytuje o wspólnych znajomych, o ich losy, czy żyją, co teraz robią...

- Słyszałem, że twojemu pierwszemu mężowi Aleksandrowi Hertzowi udało się szczęśliwie, wraz ze swą drugą żoną, po wybuchu wojny, via Paryż i Barcelona - przyjechać do Nowego Jorku; podobno prowadzi tam, czy prowadził z Jantą Połczyńskim naukowy antykwariat. Podobno pisze coś, publikuje...

Te spokojne, informacyjne dane o człowieku z nieodwracalnie pożegnanej - zdawałoby się Czajce na zawsze - przeszłości wywołały w niej niespodziewana dla rozmówcy reakcję. Gwałtowny potok słów przerwał spokojny dialog, niosąc z sobą jej żale nad pierwszym mężem, jakby to wszystko zdarzyło się dopiero

wczoraj, a nie przed kilku dziesiątkami lat, gdy zdecydowała się ponucić Aleksandra Hertza, raniąc jego męską dumę, niepomna bólu i krzywdy zlekceważonego.

Edward M. próbował uspokoić nagłą falę samobiczujących wyznań: - Belu, ucisz się, opanuj, on od wielu lat jest szczęśliwy ze swoją drugą żoną. Pamiętasz Alicję Maranównę, pianistkę? Pobrali się jeszcze przed wojną, w Warszawie; jest to, jak słyszałem, wyjątkowo udane małżeństwo. Po co to wszystko dziś jeszcze wspominasz?...

Ale ona jakby nie słyszała perswazji.

- Nie byłam warta Olka, nie byłam warta mieć za męża tego mądrego filozofa, socjologa i w ogóle człowieka o wielkim sercu i rozumie - powtarzała, łkając. - Byłam za młoda, byłam za głupia, aby umieć przy nim przestać "szaleć irracjonalnie", żyć inaczej, bardziej podniośle. - Kajała się jeszcze długo z żarliwością, przypominając Dzikowi dawną, cudownie irytującą, rozegzaltowaną Belle.

Ogień i woda, czyli Izabella i Aleksander

Biła się w piersi szczerze, lecz gdyby nawet wrócił tamten czas, żaden cud nie mógłby sprawić, by trwała przy tym niezwykłym człowieku i by czuła się szczęśliwa, w zgodzie ze swoją naturą.

Zamiast więc walki dwóch przeciwstawnych sobie żywiołów, zamiast prób zagarnięcia jednego przez drugi lepiej zawrzeć pokój, rozdzielając się raz na zawsze. Ale o tym miała przekonać się dopiero po ślubie z Aleksandrem, a na razie ze świętą egzaltacją przekonywała ojca i samą siebie, że tylko z Olkiem jej puste dotychczas życie wypełni się wspaniałą treścią. - A więc precz z czcą gadaniną na przyjęciach w mieszczańskich salonach, precz z kupieckim bogactwem! Iść i walczyć razem z towarzyszami - robotnikami przeciw wszelkim nieprawościom tego świata, przebywać wśród nich, wyrzec się strojów - to jest prawdziwa, niedostępna burżujom rozkosz! Co to za niepojęte, nieznanne dotychczas ogarnia ją pragnienie, bez mała żądza, przedsmak pełnej samorealizacji. Co za dziwne odczuwa podniecenie, gdy tak unosi się na falach świętego oburzenia i szlachetnych idei, gdy syci nową strawą nudne bytowanie według mieszczańskich konwenansów. Widziała siebie z czerwonym sztandarem w ręku, w pochodzie krok w krok, ręka w rękę, pierś w pierś, w nadobłocznym transie, gotową na wszystko w imię walki z krzywdą społeczną, w imię przyszłego zwycięstwa proletariatu. A na razie uczyniła pierwszy krok w stronę tego nowego życia, pojawiając się gładko uczesana, w białej skromnej bluzeczce, ascetycznie zapiętej pod szyją, z bezinteresowną propozycją prowadzenia metalowcom w ich klubie - biblioteki. I tam w tym klubie, nie w żadnych kawiarniach czy nocnych lokalach, poznała Olka. samego "towarzysza Hertza, najinteligentniejszego z inteligentnych członków Koła Filozoficznego, sekretarza dzielnicy Wola". Jeszcze przed pierwszym

ich spotkaniem słyszała wiele o tym młodzieńcu, studencie Uniwersytetu Warszawskiego, który działał w Kółku Filozoficznym, gromadzącym takich wartościowych ludzi, kolegów, jak Maryla Niedźwiedzka, w przyszłości żona Stanisława Ossowskiego, jak sam Stanisław Ossowski, Janina Butkiewicz, Rafał Bluth... Mówiono też o Olku, że jeszcze jako uczeń VII klasy gimnazjum im. Mikołaja Reja napisał do młodzieżowego pisma "Ruń" interesujące studium o powstałym wtedy w Warszawie Teatrze Polskim, że w rok później był już członkiem Centralnego Komitetu Związku Młodzieży Postępowo-Niepodległościowej, związanej z Frakcją Rewolucyjną PPS, że stykał się na spotkaniach ze studentem tak zwanych Kursów Zielińskiego (WSH) - Stefanem Starzyńskim i że od kilku lat, dokładnie od listopada 1915 roku, przebywał na Pawiaku. To mogło rozżarzyć wyobraźnię młodej dziewczyny otworzyć okno na nieznany świat, pachnący niebezpieczną przygodą.

Po krótkiej znajomości i długim sprzeciwie ojca, nastąpiło małżeństwo Belli - "Małżeństwo po raz pierwszy", taki bowiem tytuł nada swej późniejszej, wspomnieniowej książce, poświęconej perypetiom tego związku.

Nie można było sobie wyobrazić większych przeciwieństw - i to nie na zasadzie przyciągania - niż Izabella de domo Schwartz i Aleksander Hertz. Młody, solidny i odpowiedzialny człowiek w binoklach, o delikatnych, drobnych dłoniach, poważnym spojrzeniu ciemnobrazowych oczu, o lekko różowej jak u dziewczyny cerze, skryształizowanym poglądzie na życie, umyśle ścisłego filozofa, zafascynowanym niezwykłym zjawiskiem w jego życiu: Bellą: próbował cierpliwie tłumaczyć temu zjawisku teorię Darwina, namawiać na czytanie ideologicznych broszur, zachwycać się "Manifestem komunistycznym" - cytować całe fragmenty "Głodu mocarz" Bacha. Czyż mógł na długo przykuć tym do siebie tę szaloną dziewczynę. Myląc go okrzykami aprobaty, wybuchami entuzjazmu, wywoływanego doraźnymi emocjami, w istocie kierowała się kapryсами, dyktowanymi fantazją, egoistycznie chłonąc uroki życia, bez oglądania się, czy kogoś potracą w swoim marszu ku przygodom.

Niepokojący sygnał można było zauważyć jeszcze przed ślubem; będąc już narzeczoną, uciekła z siostrą, do Nałęczowa, skąd co prawda słała do Olka listy, że kocha, że tęskni.

Zapewniając o miłości wierzy nawet początkowo w to, co pisze, ale po pewnym czasie przestaje się już sama oszukiwać i stwierdza, że narzeczeński obiekt, o który zajadłe walczyła z ojcem, zobojętniał tak dalece, że myśl o małżeństwie napawa ją niechęcią. Właściwie po co było tak zajadłe przeciwstawiać się ojcu? Chyba tylko po to, aby postawić na swoim i wyjść wbrew jego woli za mąż za tego nieskazitelnego, zbyt nawet nieskazitelnego, człowieka. Zdaje sobie bowiem sprawę, że jest nieskazitelny, odpowiedzialny, nie uznający zdrady; taki wartościowy i taki mądry... Ale co jest mądrością - zadaje sobie pytanie - i natychmiast na nie odpowiada: cieszyć się w pełni życiem, zgodnie ze swoim temperamentem... Instynkt życia - to jest we mnie najsilniejsze, to jest moja mądrość.

Po powrocie z nałęczowskiej wyprawy wydawało się, że wszystko wróci do normy. Widocznie to oddalenie i te błazeństwa z udawaniem "doktorki" w pensjonacie "sanatorio" pana Kamionera, te wariackie zabawy oddalały myśli od czekającego ją małżeństwa. Teraz spędza znów całe godziny na rozmowach z Olkiem: o marksizmie romantycznym - Stanisława Brzozowskiego, i o ślubie, o monistycznym myśleniu Hegla i o podróży poślubnej, o Manifeście komunistycznym Marksa i o miodowym miesiącu w Zakopanem; i w ogóle na całe życie, aż do śmierci, o nierozzerwalnym związku małżeńskim. Już i ojciec pogodził się z tym faktem, zaakceptował Olka, zapraszając go na poważną

przedtem rozmowę i na kolację ("pieczone kaczki i gruszki w szodonie").

Ślub da wam rabin oświadczył stanowczo Wilhelm Schwartz - to mój jedyny warunek. - Czy Olek zgodzi się? - myślała z zaciekawieniem.

Zgodził się bez sprzeciwu, ku pewnemu nawet jej zdziwieniu, ale wytłumaczył to później dość przekonująco: Bellusiu, tacy ludzie jak my dawno już wyrosliśmy z ciasnych murów Kościoła, nie ma więc żadnego znaczenia, czy w rubrykach wpiszą nam wyznanie rzymsko-katolickie czy mojżeszowe.

- Tak, Olek ma chyba rację, mówiąc, że wierzyć mogą tylko ciemni i zacofani ludzie, ale nagle zaczęły rodzić się w Belli wątpliwości - mój ojciec nie jest przecież ani ciemny, ani zacofany, a często powtarza, gładząc w zamyśleniu brodę: "Ważne jest tylko, córeczko, aby człowiek wierzył w Boga, wszystko jedno, czy będzie to Bóg żydowski czy chrześcijański". Chyba też i ja wierzę, bo "w jaki sposób mogłaby powstać pierwsza iskra życia"? A poza tym, choć jestem materialistką, to jednak zdarza mi się czasami widywać w wyobraźni "pana Boga z brodą, z błyskawicą w ręku, otwarte niebiosy, białą gołębicę"...

A w ogóle to wszystko płacze się we mnie i kotłuje - macha ręką ze zniecierpliwieniem. Właściwie nie mam ochoty pakować się w to małżeństwo i rezygnować z czapki o amarantowym otoku, w której chadzam na uniwersytet. A już zupełny zamęt powstaje w głowie, gdy nie znajduję jedności także i w szeregach lewicującej młodzieży, gdy na zebraniach jedni krzyczą: "brawo", drudzy w odpowiedzi wołają: "precz! hańba! zdrada idei socjalizmu!"; jeszcze inni postulują zerwanie z rewizjonizmem, z "krytycznym krytycyzmem" i zespolenie się w jednolitym froncie, a pozostali wznoszą okrzyki: "Niech żyje dyscyplina"!

Kto ma rację? Czy głosować za pełną wolnością, za przystąpieniem do natychmiastowej walki, czy raczej protestować przeciw tym hasłom? - patrzy pytająco na twarze to Broniewskiego, to Damięckiego, i innych jeszcze doświadczonych działaczy.

- Towarzyszko Izo - zwracano się do niej tam zawsze tylko tym pierwszym członem imienia; Bella to dobre na burżuazyjne salony - mówiono surowo. - Dlaczego wczoraj krzyczyłaście, powiewając jakimś dziwnym, niebieskim kapeluszem: "precz"!, gdy trzeba było wołać: "racja!", popierać słuszny na danym etapie działania wniosek?

- No, dobrze nie wiem, ale ten towarzysz... - jąkała się, speszona.

- Towarzysz ten, czy towarzysz tamten... To nas nie obchodzi, odpowiedzcie, dlaczego wy się sprzeciwialiście?...

- Wy... My... To jest - ja... ja, nie umiem wytłumaczyć dialektycznie, ale może przedstawi racje towarzysz Wacek... albo jeszcze lepiej - towarzyszka Ania.

Myślmy, towarzyszko Izo, że dla dobra sprawy i was samych, musicie milczeć na zebraniach i pracować dla nas już tylko w bibliotece. Tam nie potrzeba dialektycznego rozumowania, umiejętności pojmowania pewnych spraw, rozróżniania odcieni jednej zasadniczo materii. Naturalnie w przyszłości, gdy już w pełni dojrzejecie, nie wykluczamy waszego czynnego uczestnictwa w naszej robocie, w zebraniach, w naradach. Wierzmy, że nie będzie to nawet

zbyt długi proces... Podobno już wkrótce ma was poślubić towarzysz "Andrzej Kierski"; on skutecznie uporządkuje wam wszystko w głowie.

Olek rzeczywiście uczyni mnie bardziej odpowiedzialną za słowa, bardziej zrównoważoną - przytwierdziła w myśli, lecz bez specjalnego entuzjazmu - na pewno pogłębiła mą świadomość ideologiczną i już nigdy nie zblamuję się jakimś nieodpowiednim wyskokiem na zebraniach... Na te zebrania, na te dyskusje - nagle ożywiła się - będę ubierać się skromnie z akcentem na kolor czerwony. Przychodzi czas poświęcenia się wyższym sprawom, odrzucenia wszelkiej drobnomieszczańskiej próżności. Ten kapelusz z pracowni pani Zydrańskiej, nazywany przez Olka dziwacznym, schowam raz na zawsze do szafy; co prawda jest on w pasowe pasy, ale nie do przyjęcia jest rzeczywiście ta jego niebieskość nie mówiąc już o złocistym ogromnym guziku na czubku. Ale co będzie, gdy ktoś z dawnego mego otoczenia wywoła mnie, proponując uczestnictwo w jakiejś zwariowanej eskapadzie? Ja, tak skora zawsze do idiotyzmów, ulegnę zapewne wezwaniu takiego na przykład wesołego, o wielkim poczuciu humoru kolegi z prawa - Bronisia, ubiorę się w to kowerkotowe palto, które przysłała mi mamusia z Paryża, i w ten kapelusz i łażąc z Bronkiem po ulicach Warszawy będę wymyślać razem z nim zabawne kombinacje kawałów do natychmiastowego urzeczywistnienia.

*

Ślub już za kilka dni... Dziesięć kuraków, tyleż samo gęsi i indyków, nie mówiąc już o karpiach i szczupakach odda swe życie dla dogodzenia podniebieniu gości. Ogromne torty zdobi się wężykami kremów, girlandami kandyzowanych owoców; na krótko przed podaniem ułoży się pośrodku wianuszek żywych niezapominajek, przetykanych stokrotkami...

I oto nadchodzi ten uroczysty dzień. Hebrajska modlitwa rabina we wspaniałej lisiurze na głowie towarzyszyła oblubieńcom biorącym ślub pod baldachimem. Zabłysnęła łąza w oku Wilhelma Schwartza, jego żony Felicji i poważnych jak i ich syn - rodziców Aleksandra, zalśniły złote obrączki i kieliszek wina w ręku nowożeńca.

Kieliszek podany był przez rabina i Olek upił jeden mały łyk. Potem rozległ się nagły brzęk szkła o podłogę i głośny szept teścia: teraz przydepnij, rozdepcz! Pan młody nastąpił silnie podeszwą ślubnego lakierka na skrzące się migotliwie w światłach świec kawałeczki. I niemal równocześnie dał się słyszeć okrzyk rabina: Mazełtow!, powtórzony przez jego małamedów, pośpiesznie zwijających baldachim. I oto Izabella Schwartzówna stała się panią Hertzową.

Potem wszyscy pojechali na przyjęcie na Nowogrodzką. Tu już było można czuć się znacznie swobodniej niż w ciemnym pomieszczeniu o zasłoniętych oknach u rabina, gdzie cała ceremonia odbyła się w dość szybkim tempie, jakby obawiano się, że panna młoda zaraz wybuchnie śmiechem. To wszystko razem było bowiem dla niej "czymś tak niedorzecznym", że jedynie błagalne spojrzenie Olka powstrzymywało ją od głośnego rozbawienia. Nie mogła tylko powstrzymać się od przesłania dłonią całusa teściowi. Poważny Leon Hertz (o pięknej karcie w życiorysie: uczestnictwo w powstaniu 63 roku i siedmioletnie wygnanie na Syberii), uśmiechnął się niepewnie w odpowiedzi na gest synowej; mogło to równocześnie oznaczać pewne zaniepokojenie: mój

syn nie będzie miał nudnego życia z tą kobietą!...

Wkrótce młoda para wyruszy w podróż poślubną via Kraków do Zakopanego. Po pełnym wrażeń weselnym przyjęciu w serce Belli wkrada się niepokój. - To już nigdy - myśli z nagłym smutkiem - nie będzie wypadało robić żadnych kawałów niedorzecznych żartów, śmiać się po wariacku razem z kumplami: Bronisiem, Piechowiczem, dwoma Stasiami.- Sachsem i Rottertem, gdy uda się jakaś mistyfikacja?... I ciągle już będzie przebywać tylko z Olkiem, żyć według głoszonych przez niego zasad? Już nigdy nie spotka się na seminarium z Karoliną Beylin, Renią Reicher, a na uniwersyteckim dziedzińcu z Broniewskim, Aleksandrem Watem?

Kto będzie przynosił i czytał głośno różne modne, futurystyczne utwory, w rodzaju zbiorku poezji Wata: "Ja z jednej i Ja z drugiej strony mego mopsożelaznego piecyka", który to sam już tytuł wzbudzał śmiech i zachwyt. Kiedy uda się znów usłyszeć tak zabawną opowieść, jaką rozśmieszył wszystkich Broniewski, czytając fragmenty listu jakiejś zwariowanej muzy artystów, panny Jadwigi W. z Lublina, która w taki oto sposób zachęcała poetę do uczestnictwa w "literackiej orgietce".

"Wyznaczam Panu rolę nieśmiałego chłopczyka ubranego w chlamidę zawieszoną na gołym ciele, z wiankiem na głowie i w sandałach także na gołych stopach - poeta próbował z aktorskim zacięciem naśladować egzaltowany ton głosu panny W. - Ja stawię się z bardzo subtelną przepaską na biodrach, uplecioną z korzonków egzotycznej rośliny, a towarzyszyć mi będą osoby w strojach także mocno zredukowanych: "Astral", czyli dziennikarz Wacek Gralewski w zawoju na głowie i Józio Czechowicz nieco obficie odziany, bo to dzieciuch jeszcze, bajeczny materiał na poetę".

Co to będzie, gdy świeżo upieczona męzatka zacznie porównywać Olka z kolegami z uniwerku, już nie tylko z Bronisiem, ze Stasiami, z Broniewskim, ale z Dobiesławem Damięckim, młodzieńcem o grzywiastej czuprynie i wspaniałych baczkach? Jak umieją oni łączyć w sobie miłość do poezji i do teatru ze służbą dla Ojczyzny, ułańską fantazję z pracą działaczy na terenie akademickim Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej. I jeszcze ta opromieniająca ich legenda dzielnych żołnierzy, ochotników z 1920 roku! Nieco blado wypada na ich tle młody małżonek, choć jest takim doskonałym materiałem na poważnego filozofa i na idealnego, pod wieloma względami, partnera na całe życie.

... Miesiąc miodowy mieli spędzić w górach, a pierwszą noc poślubną w wytornym hotelu w Krakowie. Jeśli wierzyć późniejszym zapewnieniom Izabelli, była jeszcze wówczas dziewicą, nieświadomą obowiązków małżeńskich, nie mającą pojęcia "jak się to robi..." Mogło tak być istotnie, jeśli przyjmiemy jako prawdziwą jedną z podawanych przez nią w dokumentach dat urodzenia; miałaby wtedy bowiem lat szesnaście. Natomiast jeśli potraktujemy poważnie widniejące w innych ankietach daty: 1896, nie mówiąc już o wersji trzeciej: 1893, to raczej przyjdzie powątpiewać w to, iż była virgo intacta. Ale w końcu nic nie jest właściwie pewne, więc uwierzmy w seksualne nieświadomienie i cnotę młodej męzatki.

Nie bądźmy zbyt drobiazgowi i dociekliwi: dziewica czy nie dziewica, urodzona w końcu dziewiętnastego stulecia czy na początku naszego wieku, kilkunastoletnie dojrzewające dziewczę czy dojrzała już całkiem kobieta - na każde z tych pytań Izabella jest w stanie odpowiedzieć, wybierając sobie potrzebną w danej chwili "prawdę". Faktem natomiast, prawdą pozostanie to, iż została poślubiona w maju, a może był to już czerwiec 1921 roku i że

była wówczas studentką warszawskiego uniwersytetu.

Jeszcze przed ślubem w Warszawie podczas "spacerów pod baldachimem z gwiazd rozpiętych nad głową" przysięgała sobie, że nie przestanie kochać tego "wspaniałego, mądrego, czystego, normalnego chłopca". I nie martwiła się, że w tej romantycznej scenerii pocałunki tego pełnego zalet narzeczonego o smutnych świetlistych oczach spoglądających zza binokli na razie nie burzyły krwi, nie rodziły niepokoju ciała, nie poruszały zmysłów. Zmartwienie przyszło dopiero później. Im bardziej Aleksander był czuły, łagodny, uważający (z całą delikatnością ostatecznie "wtajemniczył" Belle w tajniki pożycia małżeńskiego) tym mocniej ją drażnił.

Już wkrótce po ślubie narasta w niej "niechętna obojętność" do tego - jak sama ocenia - "szlachetnego i cierpiącego chłopca". Irytuje ją, gdy dba o miękki jasieczek pod jej głowę, gdy głaszcze nieśmiało jej rudawo-miedziane włosy, gdy proponuje: Beluniu, może zamiast tego krwistego befsztyka, który ci podobno szkodzi, zjesz omlecek z konfiturami?

Irytuje tak dalece i taki budzi sprzeciw, że pewnego dnia postanawia uciec z zakopiańskiego pensjonatu pani Dąbrowskiej, gdzie zatrzymali się po przyjeździe. Jeszcze nie wie, gdzie poniosą ją nogi, gdy przypadkiem spotka na swej drodze panią Kazimierę Żuławską. Odtąd jej miejscem na zakopiańskiej ziemi, do którego będzie biegła na skrzydłach stała się "Łada" - niezwykły dom pani Żuławskiej i jej trzech synów: Marka, Juliusza i Wawy-Wawrzyńca.

Jakżeż mógł wytrzymać konkurencję pensjonat brzydkiej i nudnej pani Dąbrowskiej z tą cudowną "Ładą", z jej starymi szafami bibliotecznymi, z pięknymi kilimami rozłożonymi na tapczanach?!... A samą spłowiła jak mysz panią Dąbrowską czyż można było w czymkolwiek porównywać z panią Żuławską, artystycznie zadbaną, o intensywnie błękitnych oczach? Coraz częściej Bella wymyka się ze wspólnego z mężem pokoju, mieszczącego umywalnię przesłoniętą wstydliwie parawanem w drobne kwiatuszki, szezlong pełen haftowanych poduszek i nocne stoliki z lampkami o abażurach zdobnych w dziergane wełna ptaszki i motyle. Jak drobnomieszczkańskie, wprost wstydliwie, wydaje się przy nowoczesnych tapczanach w "Ładzie" to małżeńskie łóżko, przykryte szydełkowaną kapą, spod której prześwieca różowy jak landrynka jedwab.

A sam Olek, o rękach tak drobnych jakby należały do całkiem jeszcze nie wyrosniętej panienki, czyż mógł równać się z olbrzymem - Jarosławem Iwaszkiewiczem poznanym u pani Kazimiery, nie mającym w sobie nic z mola książkowego, choć był człowiekiem pióra; dużo czytał, sam pisał, a nawet drukował w "Skamandrze" i dzięki warszawskiemu "Picadorowi" można było poznać jego "Oktostychy".

Był tak mocny i wysportowany i o tak silnych - w przeciwieństwie do Olka rekach, że zarzucił ją sobie kiedyś na ramiona i zniósł z gór "na barana" aż pod próg "Łady"; wracając bowiem ze wspólnej górskiej wycieczki zgubiła obcas u półbucika.

Scena ta utkwiała nie tylko w jej, ale i w Iwaszkiewiczowskiej pamięci. Po wielu, wielu latach, bo prawie po półwieczu, pan Jarosław wydobędzie ten obraz przy okazji jakiegoś jubileuszu Czajki i napisze do niej list (dotąd nie publikowany):

"Warszawa, 21.2.67

Droga Belu! Strasznie żałuję, że nie mogę osobiście ucałować Ciebie i życzyć Ci najlepszych, najlepszych rzeczy w dniu twojego jubileuszu. Dziwne jest to życie - tu Cię człowiek niósł na Halę Gąsienicową i byłeś lekka, a tu już twój jubileusz i jesteś ciężka - choć zawsze lekka w dowcipie, w temperamencie, w życzliwym stosunku do ludzi, kiedy nawet do najgroźniejszych zwykłaś mawiać "synku".

Wiele, wiele dobrego chciałbym sprowadzić na Twą głowę i ściskam Cię

Twój stary przyjaciel

Jarosław"

Oprócz Iwaszkiewicza poznała tam w "Ładzie" i wielu innych artystów; takiego na przykład Stanisława Ignacego Witkiewicza o magnetycznym wejrzeniu zielonych tęczy z intensywnie czarnymi punkcikami źrenic, czy Gucia Zamoyskiego o tak głośnym śmiechu, iż zdawało się, że drżą szyby. Staś mieszając alkoholowe koktajle nieodmiennie witał ją słowami: Na początku był śledź! Olek i Jarosław... Olek i Staś Witkiewicz... Olek i Gucio Zamoyski... Cóż ona, biedna, winna, że nie przewidziała przedtem istnienia takich ludzi, wielopłaszczyznowych, wielowymiarowych i tak upajających mistyfikacji, niezwykłych zabaw, zadziwiających swą "nadpomysłowością", wciągających jak narkotyk - jak te pejotle i kokainy Stasia. Jakżeż blade aż do nierealności i nie porywające stały się teraz intelektualne dywagacje Olka. Nie dla niej jest jego świat idei - stwierdza stanowczo oszukiwała siebie, teraz wie, że do życia potrzebne jej są, jak chleb, woda i powietrze - radość, śmiech, fantazja i tacy jak ci, niedawno poznani, ludzie. Nie dla niej to dulczenie nad książkami, papierzyskami, ta droga razem z Aleksandrem, z metalowcami, z towarzyszami ze Związku Socjalistycznego, na której widnieją przystanki z takimi nieatrakcyjnymi nazwami, jak: robota społeczna, robota polityczna... I robota patriotyczna także, bo w tym czasie "Andrzej Kierski" zaczynał coraz bardziej wciągać się w sprawę plebiscytu na Śląsku i troskał się o jego sukces.

... Te zakopiańskie dni mogłyby trwać jeszcze długo, gdyby nie przerwała ich - ku uldze Olka i rozpaczy Belli krótka depecha z Warszawy od papy Schwartz: "Wracać natychmiast do domu"! Była to odpowiedź na jej sygnał sprzed dwóch tygodni. Pomyśleć, że sama spowodowała to wezwanie, sprowokowała ten rozkazujący ton, wysyłając tuż po nocy poślubnej, przerażona nie znanym jej ponoć dotychczas "aktem rozkoszy", ekspres do Warszawy: Tatusiu, ratuj, chcę wracać!

Cóż było teraz robić? Spakować w milczeniu manatki, odetchnąć jeszcze raz tym cudownie rześkim jak kryształ górskim powietrzem, uścisnąć panią Kazimierę Żuławską i ruszyć wraz z mężem dorożką na dworzec.

- Jutro i ja wracam do Warszawy! - oświadczył Witkiewicz.

... Nazajutrz znalazła się w domu ojca przy Nowogrodzkiej i nie minął jeden dzień, gdy usłyszała dzwonek telefonu. Podniosła słuchawkę: - Bella?... - to był głos Stanisława Ignacego.

Przeżywała teraz permanentnie stan radosnego upojenia. To już nie była ta

sama Bella, która niedawno wybierała się w swą podróż poślubną. - "Jakże bardzo urzekał mnie - wyznawała - ten klimat irracjonalnego szaleństwa, udziwniania rzeczywistości, wyprawy z Witkacym po "skarby czystego bezsensu", gdy przedstawiał mnie swoim przyjaciołom: Oto geniusz płci, uosobienie mądrości królowej Saby, oto księżniczka piekieł zrodzona z ojca Belzebuba"...

Belzebubem stał się dla Witkacego Wilhelm Schwartz z rozwichrzoną czarną (farbowaną) brodą, sięgająca poły brokatowego szlafroka lśniącego amarantem, szmaragdem i czernią deseni w węże, płomienie i smoki. Witkacy próbował początkowo rozbroić "Belzebuba", strażnika spokoju i małżeństwa córki, klękając u jego stóp i wołając: Ekscelencjo, Panie zastępów wygnanych aniołów!... Wywoływało to jednak skutek wprost przeciwny; gwałtowny ruch ręki Ekscelencji skierowany w stronę wyjściowych drzwi zdawał się krzyczeć: Precz z moich oczu błażnie! Nie skutkowały też telefony i wezwania w bardziej wytwornym i poważnym stylu: Szanowny panie Bertz, przepraszam - panie Schwartz, moje uszanowanie, błagam, zaklinam pana, pan mnie przecież nie może tak lekceważyć, pan poprosi panią Bellę do telefonu... Stałą odpowiedzią był przedrzeźniający czterowiersz:

Belle... Belle... Belle

Zdechło już w niedziele

a jej przyjaciele

zdechną w te niedziele...

Bella czyhała więc na odpowiednią porę, kiedy taty nie było w domu, kiedy musiał na dzień albo i na dłużej wyruszyć w sprawach interesów. Wtedy na Nowogrodzkiej pojawiał się cały witkiewiczowski orszak z nim samym na czele... W podobłocznych jazdach, w podniebnych lotach skutecznie pomagali Witkacemu: ornitolog Janusz Domaniewski, zwany Dominikiem, Leon Raynel, Gucio Zamoyski, Roman Jasiński i nieco sepleniący Janusz Deborin - jedyny wśród tej cyganerii mundurowy, wyorderowany lotnik, a zarazem wojskowy lekarz.

"Stary Bertz", jak go w tym gronie nazywano, martwił się tą nową ekstrawagancją córki, ale nic na to nie mógł poradzić. Pocieszał więc tylko siebie i zięcia, że to całe "tałatajstwo", ci przeklęci artyści, pismaki zatracone, wkrótce znudzą się Belli i wszystko wróci do normy. Skończy się ta cała maskarada, te wariactwa i to wmawianie kucharce Julci, za przykładem Witkiewicza, że te jajka na boczku podawane na śniadanie to języki flaminga, a cielęce sznycelki - są łapami niedźwiedzia w sosie własnym. I Olek, blady teraz i smutny, ale nadzwyczajnie przy tym spokojny i cierpliwy, znów odzyska, tylko dla siebie, swą żonę.

- Na razie jednak, zięciu - radził Wilhelm Schwartz byłoby dobrze, abyście rozstali się na czas pewien. Zobaczysz, zatęskni za tobą, zaczną gnębić ją wyrzuty sumienia, że tak cię krzywdzi i niepokoi, bo jest to w gruncie rzeczy bardzo dobre dziecko. Dobrze się składa, że musisz jechać teraz do Wiednia, aby szukać tam materiałów do swojej pracy doktorskiej. Niepotrzebnie martwisz się, że nie zdążysz oddać jej profesorowi na czas...

Wszystkim się w ogóle niepotrzebnie martwisz, synu - dodał ze współczującym uśmiechem. - Zobaczysz, jeszcze nie zdążysz przeczytać w Wiedniu wszystkich potrzebnych ci książek, nie wypełnisz całego zeszytu notatkami, gdy pojawi się u ciebie skruszona Bella.

Pocieszał zięcia, choć sam miał wątpliwości, czy spełni się to życzenie. Był dopiero co po poważnej rozmowie z córką, po wypitym z nią, jak w każdej ich trudnej sytuacji, jednym głębszym, zakąszonym śledziem, tatarem i marynowanymi rydzykami. Oświadczyła wówczas: Kocham Olka, daje ci słowo, wrócę do niego, ale na razie zrób coś, żeby wyjechał, żebym mogła przez czas pewien być bez niego. Tręcili się kieliszkami: Siulim!... Lechaim!... i Bella dodała jeszcze obrazowo: Tatusiu, to jest najbardziej radosny rozdział z powieści mojego życia.

W tym rozdziale nie ma miejsca ani na męża, ani na Klub Metalowców, a nawet i na uczelnię. Ja teraz jestem naprawdę sobą, żyję - powtarzała choć wiem, że krzywdzę Olka, sprawiam mu przykrość.

Zawsze była bardziej szczerą z ojcem niż z matką i w wielu wypadkach umiała odważnie brać winę na siebie. - Może więc rzeczywiście - pocieszał się pan Wilhelm - wróci w końcu do męża, gdy się wyszumi, poszaleje niegroźnie w towarzystwie, w które nieopatrznie popadła; ta cała sytuacja nie może trwać wiecznie. Wkrótce rozsypią się po świecie ci - pożałuj Boże - artyści. Witkiewicz przebąkuje coś o Indiach, a hrabia Guccio wybiera się w tych dniach do Paryża. - Podśluchał kiedyś przypadkowo ich rozmowę, gdy ten bezecnik kusił Bellę: Słuchaj, moja piękna, jadę do Paryża! Rzuć wszystko i jedź ze mną!

Jakże był dumny z córki papa Schwartz, gdy ta odparła bez wahania: Gucciu, ja mam męża i dałam ojcu memu słowo, że pojedę do Olka do Wiednia; chyba już na to Boże Narodzenie.

Na razie do Wiednia pojechał sam Olek. I sam spędził święta i sam przywitał Nowy Rok 1922. Przy uliczce Schleifm??u??hl, w mieszkaniu opatrzonym numerem 15, w pokoju wymalowanym na ostry błękit, towarzyszyły mu tylko książki, zeszyty pełne notatek do przygotowywanej gorliwie rozprawy doktorskiej, a za drzwiami akompaniował jego samotności gderliwy głos gospodyni, starej panny Werner, upominającej sublokatora, że wypala za wiele światła.

Jeśli będzie pan ślęczał tak całymi godzinami, to podwyższę opłatę za komorne - mamrotała rozeźlona - albo w ogóle wymówię lokum; budzą mnie też te szelesty kartek przewracanych do późnych godzin nocnych.

*

Tymczasem w Warszawie Bella spędzała noce w lokalach, namiętnie całowała się z Januszem Deborinem przed bramą Ogrodu Pomologicznego - sadowniczej oazy między Nowogrodzką, Plater, Wspólną i Chałubińskiego - wracając z szalonych eskapad. ("Nie byłam nigdy moralna - powie ze szczerością i satysfakcją ekshibicjonisty to znaczy nigdy nie kojarzyłam moralnych wartości z moim życiem erotycznym"). Nie tylko bawiła się, siadywała z Deborinem na skrzyńce do śmieci pomalowanej na papuzi kolor przed bramą

ogrodu, rannym świtem wśród świergotu budzących się ptaków, "wietrzac" się po papierosowo-cygarowym dymie nocnych lokali, ale i czytywała namiętnie w swoim buduarkowym pokoju "Wyznania świętego Augustyna", "Naśladowanie Chrystusa" - Tomasza a Kempis, mistyczne rozważania świętej Teresy z Avila. Ujrzał kiedyś u niej te książki Witkacy, a kartkując je, zauważył, iż noszą na marginesach wiele uwag, wykrzykników i egzaltowanych znaków zapytania, kreślonych ręką Belli. To wszystko podsunęło jego imaginacji pewne pomysły, obrazy; wykorzysta je potem w "Pożegnaniu jesieni", ale zanim napisze tę powieść "z kluczem", zanim ukáže nie istniejącą w rzeczywistości postać księdza Hieronima Wypsztyka, wkradającego się do domu "starego Bertza" celem nawrócenia jego córki, zanim przemieni Bellę Hertz w Helę Bertz, a jej ojca w "Belzebuba", brodatego "Księcia Ciemności", będzie "antycypował" to dzieło, wygłaszając przed audytorium znajomych planowane tam kwestie, oderwane fragmenty, nie gotowe jeszcze do druku.

Z sadystyczną rozkoszą, demonicznym uśmiechem na wargach, słuchał, jak w odpowiedzi Bella próbuje go atakować.

- W tej mającej narodzić się powieści chcesz nazwać tatusia Lucyferem, a mnie szatańską księżniczką, która przyjmuje w swojej sypialni jakiegoś wymyślonego przez ciebie księdza Wypsztyka w podniesionej wysoko sutannie. Ty, ty... wynaturzeńcze! - nie mogła znaleźć słów, aby go poruszyć. - Ty niewyżyty erotomanie, mistyfikatorze o zboczonej wyobraźni, ty... - gwałtowna gestykulacja próbowała podeprzeć siłę ataku.

W zwężonych szparkach oczu Witkacego pełzały dziwne płomyki, czaiła się duma czarownika, któremu udało się ożywić wulkan, sprawić, iż odbywa się oto przed nim widowisko. Ton głosu reżysera spektaklu, w przeciwieństwie do wyrazu oczu, był ściszony i beznamiętny:

- Uspokój się, nie krzycz tak głośno, porozmawiajmy jak ludzie kulturalni
- powtarzał monotonna, perswadująco - i nie o takich sprawach peryferyjnych, lecz bardziej istotnych.

- Dobrze, spróbujmy, zanim twe plugawe opowieści zamienią się w druk. - Mówiąc to poprawiała nad czołem rozsypujące się włosy, które zburzyła przed chwilą gwałtownymi ruchami dłoni. Tłumiąc wzburzenie, próbowała przekonać Witkacego, iż jego widzenie postaci jest całkowicie niezgodne z obiektywizmem, z prawdą.

- Zarzucasz mi, Stasiu, że pachną mi narkotyki rozpoczęła - a wiesz przecież dobrze, że ani kokainy jak ty, ani innego świństwa nie zażywam. Sadystycznych uczuć także we mnie nie znajdziesz, nawet w szczątkowym kształcie. Zapewne więc - rzecz to znana z psychiatrii - te insynuacje dotyczą ciebie samego. Chcesz mnie drażnić, wiem, czynisz to zawsze z lubością, wymyślasz mi nawet od "żydowskiej sadystki". Niezłym, widać, stałam się dla ciebie "terenem dla twórczych mistyfikacji, alkoholowych oparów, pejotlowych, morfinowych, kokainowych światów"; widzisz tam tylko moje ciuło a nie duszę, seks - a nie... rozum. A przecież tak całkiem głupia nie jestem. W przeciwnym razie zachowywałabym się jak te idiotki upokarzane przez ciebie, a mimo to składające hołdy na twoim dworze.

- Beluniu, sama nieopatrznie chcesz obedrzyć się z tego, w co pragnę cię przystroić w mej powieści; tam Hela Bertz nie będzie wygrywana na jednym tonie. Wiem, że w gruncie rzeczy masz "smutne i zmęczone serce", że pragniesz się całą sobą przeistoczyć w świętą, co nie wyklucza, iż byłabyś zdolna mordować "w kokainowym podnieceniu białogwardyjskich oficerów". Wiem

też, że ożywia cię niekiedy chęć bycia dobrą, ale jest to podświadomie wymyślony przez siebie rodzaj pokuty. Robisz to wszystko zresztą "z całą dobrą wiarą", podobnie jak i te próby zgłębiania "tajemnic katolickich nabożeństw".

- I te mistycyzmy - ciągnął dalej - te brnięcia w metafizykę, te oszałamiania się i to nieporozumienie, którym to mianem określam małżeństwo z panem Hertzem, to wszystko jest samooszukiwaniem się. Bo ty - podniósł głos i aktorskim gestem wyciągnął w jej stronę rękę - księżniczko szatańska, w obłądnym skrzyżowaniu wzajemnie wykluczających się pragnień, nigdy nie zdołasz w swoim mózgu wyprodukować własnego "ja". Sama się tego domyślasz i cierpisz nad tym bardzo.

Zachnęła się gwałtownie: - Bzdury! - Jej reakcja była natychmiastowa, mogło więc zrodzić się przypuszczenie, że celujący trafił bezbłędnie w ten jedyny punkt, czuły splot.

- Dosyć, Stasiu, tego bebeszenia! - popłynął znów strumień paplaniny. - Właściwie nie mam do ciebie pretensji, że będę bohaterką twojej powieści, zrobi się podniecający skandal wokół mej osoby; ja to lubię, wiesz - mówiła szybko - ale stanie się świństwo, gdy nie oszczędzisz tam mojego tatusia. On był przecież dość grzeczny i wyrozumiały, choć nie znosił ani ciebie, ani Gucia.

- Pozwalam sobie, Beluniu, przypomnieć, iż często, widząc nas, mówił głośno: Córeczko, robię to tylko dla ciebie, wpuszczając tę hołotę do naszego domu... Nawet nam się te powtarzane wielokroć sceny podobały, bawiły nas niezmiernie jego miny, jego gesty.

- On mimo to, choć z trudem, znosił te wszystkie twoje błazeństwa niepospolite - mówiła tonem jeszcze na wół zaczepnym, aby za chwilę, nie mogąc już dłużej ciągnąć tego typu tyrady, roześmiać się na wspomnienie jednego z takich błazeństw. - Już stanowczo za długo trwa ta rozmowa nie w naszym stylu - stwierdziła - lepiej powspominajmy, jak to kiedyś, naśladowując intonację mego głosu, gardłowo bulgotałeś: "Chciałabym być kapłanką i oddawać się przechodniom jak dawne księżniczki hetyckie, nędznym żebrakom nawet". A tatuś wszedł wtedy do pokoju i zapytał: "Panie Witkiewicz, czy może pan mnie objaśnić, kogo pan przedstawia, kogo ma na myśli"?... Gdy odpowiedziałeś na to milczeniem, stosując przy tym jedną z twoich min, zwrócił się do mnie i rzekł: "Belusiu"...

Witkacy podjął wątek i oto usłyszała głos... swego rodziciela.

- ... Belusiu, zobaczysz Belusiu, on te wszystkie rozmowy z tobą wykorzysta, te gadane kawałki poklajstruje i znajdziesz się w jakiejś jego wariackiej powieści i na językach całej Warszawy; co ja mówię, cała Polska będzie się naigrawać z mojej córki. Ja na to nie pozwolę, tak jak nie chcę słuchać dłużej tych jego do mnie pytań: A gdzie się podziały te wspaniałe persy z salonu, które niedawno pan mi pokazywał, panie Schwartz?... Albo: co pan zrobił z tymi czerwonymi płytkami z marmuru w łazience?... podczas gdy nigdy żadnych persów u nas w salonie nie było, a w łazience płytki są koloru niebieskiego...

Sposób mówienia, gestykulacja Witkiewicza żywcem przypominały ojca; krzywiąc przy tym usta, nadawał swojej twarzy wygląd pofałdowanego bruzdami oblicza Wilhelma Schwartz.

- Belusiu, Belusiu - ciągnął swą parodię - on ze mnie się już teraz naigrawa, wczoraj pytał, czy nie przyjąłbym do służby lokaja w czerwonej liberii... a dla ciebie, Belusiu, proponował zamówić pokutniczy klęcznik z jarzębinowego drzewa, u uczniów Stryjeńskiego... I co ty na to, Belusiu, co ty na to, córeczko?...

Witkacy podniósł po kaznodziejsku palec do góry i nagle oboje wybuchnęli śmiechem - jak dawniej - w Zakopanem przy "witkacówce", popijanej ze szklaneczek.

tuti

Wyjazd do męża

3 3 75 0 2 108 1 4b 1 74 1

Wilhelm Schwartz doszedł ostatecznie do wniosku, że na razie nic nie jest w stanie oderwać córki od tej "menażerii, złożonej z pismaków, nieudanych poetów i jakiegoś oficerka", więc należy uzbroić się w cierpliwość i czekać, aż jakiś diabeł rozproszy ich wszystkich po świecie. Belunia uprzytomni sobie wtedy, że najwyższy czas jechać do męża do Wiednia. Toteż nie sprzeciwiał się już tak bardzo ich wizytom, próbując maskować niechęć przy powitaniu, choć czynił to sztucznie i nader nieumiejętnie. Nie brał naturalnie udziału w głośnych "sympozjach"; mimo zamkniętych drzwi dochodziły jednak do jego uszu jakieś dziwne głosy, to kobiece, to znów męskie, soprany, alty, basy... Ki diabeł?... przecież z kobiet jest tam tylko Belcia - niepokoił się. Dopiero później córka powiedziała mu, że Witkacy mistrzowsko umie przeistaczać się w różne postacie, przystosowując głos do wypowiedzianej akurat kwestii. Mimo to ojca Belli przejmował dreszcz, gdy nagle wysoki alt zmieniał się w demoniczny bas i chrapliwie groził: A ja ci, burżujskie nasienie, przepowiadam, że już niedługo wyfruniesz ze swojego "dziewiczego" buduaru i będziesz w "krajowej czerezwyczejce"; ja ci to przepowiadam, zapamiętaj, "przejdiesz w sferę absolutnych konieczności", tak jak tu zawieszał głos - absolutną koniecznością jest "koko" i szklana rurka z lśniącym proszkiem podsunięta pod nos...

Po wyjściu Witkacego i jego akolitów, gdy zostawali sami, a ojciec już nie tak głośno i ostentacyjnie jak przedtem wyrażał niezadowolenie, mrużąc bezosobowo, jakby do siebie: "to się podobać nie może, to musi się wreszcie skończyć!". Bella siadywała na poręczy ogromnego, przepaścistego fotela, czule obejmowała rodzica i przytulając twarz do jego policzka mówiła:

- Ja wiem, że oni cię drażnią, ja irytuję cię też mocno. Masz rację, mówiąc: oni są niepoczytalni, oni są wariaci. Twoja córka też zresztą jest trochę miszigene - ale to są, tatusiu, prawdziwi artyści. Staś pisze teraz książkę i tak sobie, zmieniając głos, cytuje z pamięci, dla zabawy, różne z niej kawałki... Ty sam, tatusiu, jesteś w gruncie rzeczy artystą - pocałowała go w oba policzki, zdobne w nieco fantazyjnie przystrzyżone bokobrody. - Gdybyś nie miał artystycznej duszy, nie nosiłbyś kwiatu w butonierce, nie słuchałbyś godzinami muzyki, nie kupowałbyś obrazów i

zgodziłbyś się z mamusią, że jeśli żyć i olśniewać ludzi, to tylko w Paryżu, a nie w Warszawie. Tak, tatusiu, chyba oboje jesteście inni niż mama rodem z Francji i reszta twoich dzieci, może z wyjątkiem Ewy. Oboje mamy bardziej od nich artystyczne dusze i dlatego woleliśmy zostać tu razem, we dwójkę, gdy oni wybrali sobie nadsekwańską stolicę.

Przekonała go, jak zwykle. Nigdy nie potrafił zbyt długo gniewać się na Bellunię. Niech się bawi, niech się cieszy, niech wariuje! To wszystko przejściowe fantazje. Pojedzie do męża i zacznie żyć poważnie, doceni to wszystko, co może ofiarować jej tak wartościowy, odpowiedzialny człowiek, jakim jest zięć... - próbował przekonać sam siebie. - A jaki ten Olek jest nadzwyczajnie ambitny; ani bardzo zamożny, ani ustabilizowany, uparł się, że sam potrafi utrzymać żonę, i że nie będą korzystali z pieniędzy ojca.

Ogień i woda! - ktoś tak powiedział o Belli i Olku, jeszcze zanim się pobrali. Ale przecież przeciwności przyciągają się, często tworzą stały atrakcyjny dla obu stron związek uspokajając swe wątpliwości. A wątpliwości rodziło się coraz więcej...

... Pewnego wieczoru ukazała się w lufciku, w przedwieczornym zmroku, czyjaś głowa w strzępiastych kosmykach włosów, czyniących diaboliczną ciemną aureolę na tle nieba, krwawiącego od zachodu słońca. To Witkacy wspiąwszy się pod jej oknem na zostawiony tam przez stróża drewniany wózek, pukał w szybę, a gdy podeszła, poinformował ją demonicznym szeptem: - Belu, niezwłocznie wyjeżdżam do Zakopanego. Jedź ze mną! Ale mogę, jeśli chcesz, zmienić plan i popłyniemy gdzie indziej... Apura, Ceylon... Meksyk... - Krzaczaste krechy brwi, przedzielone głęboką bruzdą, drgające powieki, oczy o nienaturalnie rozszerzonych źrenicach, na wpół rozchylone usta, z których wydobywał się znizony do przenikliwego szeptu głos, wszystko to w kadrze wysokiego lufcika czyniło niesamowite wrażenie. - Meksyk, Apura - powtarzał - notorycznie inne światło, inny koloryt gór, nieba, morza... rzeźby inne... ekspresja... sztuka notorycznie inna, prawdziwa, odsłaniająca jestestwo aż do bebeczków... Hetytko, dzika góralko małej Azji, rzuć wszystko, popłynij na inny ład...

- Wariacie, chodź, zrobię ci kawy...

- Wszyscy jesteście wariaci, chcąc uciec za każdą cenę od rzeczywistości - mruknął pod nosem, całkiem już innym tonem i nadspodziewanie zgrabnie zeskoczył ze stróżowskiego wózka.

A więc wszyscy, nie tylko Staś, myślą o odlocie z Warszawy, o różnych podróżach; i Broniś, zwany przez Witkacego księciem Prepuadrachem, i Guccio też pofrunie wkrótce do Paryża, zostawiając ją ze słodkim wspomnieniem namiętnych pocałunków.

Nigdy nie zapomni tego rozkosznego dreszczu, sunącego od czubka głowy aż po koniuszki palców u stóp, gdy czarne jego wasy uformowane przez dobrego fryzjera w zgrabną szczoteczkę łaskotały czubek jej nosa i płonące jak rozkwitły mak "wilcze ucho"; "wilcze", bo nieco spiczaste. Uświadomiła jej to kiedyś, jeszcze w dzieciństwie, kucharka Julcia Topolka, mówiąc: Belciu, jedno ucho masz wilcze, spiczaste, bo diabeł pstryknął w nie pazurem, gdy leżałaś w kołysce. To jego znak... I taki już będzie twój los i przeznaczenie, że co w życiu zawiązesz, to sama to potem potargasz w strzępy...

...Zostanie więc już wkrótce sama z tym swoim "wilczym uchem", bez

towarzystwa, bez przepysznych nocnych spacerów, jazd dorożką pod granatowa kopułą podniesionej budy ulicami Warszawy, przez Aleje Ujazdowskie aż do Belwederu, bez osobliwego widoku Gucia w kraciastych pumpach na wyścigowym rowerze, bez piekielnej inteligencji Witkacego, bez jego fenomenalnych ekstrawagancji?...

Czeka ją pustka, samotność, nuda. Zszarzeje nawet ta różowa o świcie Warszawa, wyblaknie egzotyka spotkań w różnych niespodziewanych miejscach, lokalach, które byłyby całkiem zwyczajne bez głośniejszej obecności jej przyjaciół. Któż będzie umiał tak jak Witkacy uwodzić nowatorskimi wywodami "O czystej formie na scenie" takich ludzi teatru jak Arnold Szyfman, który nie bacząc na możliwość finansowej plajty wystawi mu "Pragmatyków" w Teatrze Małym, tudzież "Nowe wyzwolenie" wraz z "Wariatem i zakonnica"?... I kto potrafi tak wspaniale jak Gucio opowiadać głośnym niczym dzwon głosem o kształtach i postaciach? Gdzie można będzie znaleźć drugiego tak cudownie jak on bezczelnego człowieka, który będąc daltonistą zachwyca się głośno czerwienią sukni, zielenią oczu, bladym różem jedwabnej pończoszki czy fioletem pantofelka damy, zyskując tym pochwały: Jakże pan niebanalnie, artystycznie umie przetworzyć w swej duszy i wyobraźni te kolory!

... Żal, wielki żal ogarnia serce Izabelli, że wkrótce, może już na zawsze, odjadą oni wszyscy z jej życia. A na razie odjechać musi ona sama, z Warszawy do Wiednia, przynaglana teraz już coraz częściej przez ojca: Olek czeka, dałaś słowo; już najwyższy czas wsiadać w pociąg i zacząć poważnie żyć, jak przystoi żonie, w niedalekiej przyszłości doktorowej, towarzysze uczonego zgłębiającego problemy rozbioru głównych pojęć filozofii historii Hegla.

Słowo się rzekło... W końcu chyba się wszystko ułoży? - zadawała sobie w myśli to pytanie.

- Na pewno wszystko dobrze się ułoży - powtarzał po wielokroć ojciec, jakby zgadując nie wypowiedziane głośno wątpliwości córki.

... W pociągu Warszawa - Wiedeń Wilhelm Schwartz rozkładał troskliwie pled w pustym jeszcze przedziale wagonu pierwszej klasy. Jaki to wielki dla niego smutek żegnać się i rozstawać z Bellą! Zostanie teraz zupełnie sam. Na peronie żegnało ją duże grono osób; towarzysze eskapad, szkolne przyjaciółki, znajomi z uniwersytetu; przyszła nawet Zosia Landy, ta pełna słodyczy i spokoju koleżanka Broni Weingold, Irki Kaliskiej, Zofii Steinberg i Konrada Górskiego - wszyscy z kółka gromadzącego się wokół księdza Kornilowicza.

Był i Aleksander Wat, i Janusz w pełnej oficerskiej gali, i Roman Jasiński, zjawiły się Janka Rajgrodzka i Karolina Beylinówna. I przyszedł też Władysław Broniewski, którego imię przekręcała nieświadomie na: Waclaw...

- Nie nazywam się Waclaw protestował - proszę sobie dobrze zapamiętać: Władysław... Władysław Broniewski, jeśli łaska - próbował przekrzyknąć nawoływania podróżnych, gwizd pociągu i wszystkie odgłosy typowe dla wszystkich peronów świata i odjeżdżających pociągów.

- Naturalnie, kolego Władysławie, jakżeż mogłam się tak przejęzyczyć - rwała słowa na sylaby, aby mógł ją lepiej poprzez ten zgiełk usłyszeć i zrozumieć. Gdy pociąg ruszył, wychyliła się tak mocno przez zsuniętą szybę wagonu, jakby chciała wyfrunąć. - Kolego Waclawie - wołała - proszę nie

zapomnieć o wzięciu podpisu, proszę nie zgubić indek... - Koniec wyrazu porwał wiatr i pęd powietrza. Broniewski roześmiał się i machnął ręką: niech będzie Waclaw! Pociąg ruszył, jeszcze było widać w oknie jej głowę, rozwiewające się miedziane włosy, strome piersi we wspaniale czerwonym dżemperze, gestykulujące ręce, poruszające się usta. Ale już nic nie można było usłyszeć.

Zatrzaszczając okno, ujrzała jeszcze na tle spłowiałej niebieskości nieba obie wzniesione ku górze dłonie ojca; żegnał ją? zaklinał? czy błogosławił?...

A potem wszyscy powoli zaczęli rozchodzić się z peronu Dworca Wiedeńskiego; każdy w swoją stronę, każdy w swoje życie. W powietrzu fruwały białe kłaczki śniegu, goniąc za niknącym pociągiem. A w pociągu, w ciepłym pluszowo-zielonym przedziale samotna podróżniczka wtuliwszy twarz w miękkie futerko rozplakała się dyskretnie i cichutko, jak mała dziewczynka za utraconą zabawką. Ale nie trwało to długo, z torebki wyciągnęła białe zamszowe rękawiczki i przytknąwszy je do oczu, wytarła nimi powieki... A potem, choć raczej nie wypadało czynić tego samotnej kobiecie, poszła do lśniącego czystością, bielą obrusów i lustrami z kryształowego szkła restauracyjnego wagonu. - Dzwonko śledzia i kieliszek czystej wódki! - zadysponowała, nie bacząc, że takie zamówienie w ustach eleganckiej damy mogło zdziwić kelnera. Alkohol pod ulubioną rybkę doskonale jej zrobił; gdy zerknęła do zwierciadła, poprawiając nieco już przekrzywiony fiołkowy kapelusik, ujrzała w owalu tafli swą twarz o bajecznie zaróżowionych policzkach, błyszczące ciemne oczy w kształcie migdałów... - Mogę podobać się tam w Wiedniu stwierdziła. A i Wiedeń spodoba mi się zapewne... To wszystko poprawiło jej humor tak dalece, że gdy dojeżdżała do naddunajskiej stolicy, była radośnie podniecona i prawie pewna, że nie uschnie tam z nudów, potrafi znaleźć sobie tysiące zajęć, z tańcami i lekcjami śpiewu włącznie. A uda się to tak umiejętnie i dobrze zorganizować, że nie naruszy w niczym małżeńskiej harmonii. Tym bardziej, że Olek jest taki dobry, tak ją rozumie i kocha tak samo, a może nawet bardziej niż te swoje książki i dysertację doktorską.

Potwierdziły się jej przypuszczenia co do miłości i dobroci Olka, zawiodły natomiast nadzieje na małżeńską harmonię.

"Rozsypane pierze"

Izabella Hertzowa swój pobyt nad Dunajem, ze wszystkimi zajęciami w domu i poza domem: wykładami, smażeniem ciulących kotletów, zwiedzaniem muzeów, chodzeniem do cukierni z piętrzącymi się tam piramidami ciastek w oszklonych bufetach, określiła jako "rozsypane pierze". Trudno było pozbierać to "pierze", ująć w jakąś określoną formę stałych obowiązków.

Miała bowiem obowiązki, ale i dużo wolnych od zajęć godzin; gapiła się

więc na wystawy sklepów z sukniami i kolorowymi dżemprami, przypominające witryny warszawskich magazynów, spacerowała po pałacowym parku w Sch...brunn, gdzie jeszcze nie tak dawno raczył mieszkać i pracować Najjaśniejszy Pan, wymykając się czasem małą furteczką na ulicę Gloriette. Tam bowiem apetyczna Katarzyna Schratt czekała na niego z kawą i nie mniej świeżymi jak ona sama rogalikami. W tych wędrówkach po Wiedniu Izabella podziwiała też marmurowe schody wiodące do Muzeum Najjaśniejszej Cesarzowej Marii Teresy, przechadzała się wokół jej pomnika, słuchała "modrodunajowych" walczyków granych w ogródkach, w "Secession-Cafe" czy "Mozart-Cafe", gdzie kelner tytułował każdego "Herr Profesor", gdzie pijało się przy marmurowych stolikach kawę z kopczykiem bitej śmietany, gdzie na bambusowych kijkach wisiały świeże gazety, na ścianach - reprodukcje starych historycznych malowideł w okazałych ramach, a pod ścianami można było oglądać starsze jeszcze od tych obrazów damy, podobnie paradne jak ich małżonkowie w odświętnych "jaskółkach" sięgających do połowy ud i spodniach w prążki.

- Nudne to teraz wszystko po Warszawie - myślała ze smutkiem - i nie do pomyślenia chyba jest tu dzisiaj taka zabawna historia, która zdarzyła się w dystyngowanym lokalu Sachera (ach, te torty "Sachera!"), gdy to arcyksiążę Otto, podchmielony na bardzo wesoło, wyszedł z tak zwanego gabinetu w wysokich butach, w hełmie dragońskim, z szablą przypasaną do boku. I nie byłoby w tym nic zdrożnego, gdyby oprócz tych akcesoriów miałjeszeze na sobie... ubranie; na domiar w takim "stroju" ujrzała go angielska ambasadorowa i zrobił się z tego wszystkiego głośny skandal... Anglicy zawsze za bardzo trzymają się form, konwenansów i czynią niepotrzebny szum z powodu ich nieprzestrzegania! - uśmiechnęła się Izabella, widząc oczami wyobraźni tę scenę sprzed lat. - A czy można dzisiaj wyobrazić sobie takiego drugiego Franza Josepha i takie ogłoszenie w "Neue Freie Presse": "Katti, wróć - wszystko w porządku - do twojego nieszczęśliwego opuszczonego Franzi", którym Cesarz wzywał do siebie zagniewaną o coś na niego Kasię Schratt. Chętnie byłoby się taką Kasią dla Frania w tamtych czasach!... A tak została wtopiona w całkiem inne, niezbyt zabawne i kolorowe tło, tęskniąc przy tym mocno za "jedynym, najukochańszym miastem nad Wisłą". Nie jest więc jej ani wesoło, ani lekko na sercu; stara się jak umie wypełnić rolę dobrej gospodyni ("choć w wychowaniu moim - jak stwierdza - za małą rolę odgrywało wychowanie praktyczne"), dobrej partnerki do rozmów przy posiłkach, umiejącej sprostać inteligencją i wiedzą intelektualnym dywagacjom Olka na temat klasyków socjologii, Żydów w polskiej kulturze, nie mówiąc już o Heglu, którego wyznawcą notabene Olek nigdy nie był, choć się nim żywo zajmował.

Listy Izabelli wysyłane do ojca, do przyjaciół i do kolegi z uniwersytetu, Władysława Broniewskiego, mówią o nie najlepszych nastrojach w czasie wiedeńskich pierwszych tygodni. Po opuszczeniu Warszawy czuła się tu samotnie i obco mimo obecności męża. "Już pięć dni jestem w Wiedniu - pisała do Broniewskiego 20 stycznia 1922 roku - ale wie Pan, ciągle mi jeszcze smutno. Tu tak strasznie dużo ulic, samochodów i zupełnie się zagubiłam (...). Nyważniejszą rzeczą to są tu wystawy, wie Pan, całymi godzinami stoję i na widok jedwabnych dżemprów serce mi pęka w kawałki. (...) Izabella Hertz-Kierska.

Niech Pan się pokłoni kolegom i seminarium filozoficznemu" - dodała w postscriptum.

Broniewski nie kazał jej zbyt długo czekać na odpowiedź. W liście wspominał, że udało mu się podsunąć jej indeks do podpisu profesorowi. Na

szczęście profesor nie zajrzał na stronę z fotografią i tak została potwierdzona obecność na wykładach studentki Izabelli Schwartz-Hertzowej. W podziękowaniu kolega Broniewski otrzymał pocztówkę, na której wykaligrafowała: Wielmożny Pan Wacław Broniewski. Warschau. Hipoteczna 3.

"Szanowny Kolego - pisała. - Bardzo dziękuję za list. Pan wcale nie wie pewno, jak co dzień czekam poczty i jak beczę, kiedy nic mi ona nie przynosi (...) Bardzo Panu dziękuję za indeks, wyobrażam sobie Łempickiego i Pana w owym momencie, kiedy Pan brał podpis dla mnie".

Następne dni i tygodnie nie przyniosły poprawy minorowych nastrojów. I znów musiała wypowiadać się poecie: "Miły, naprawdę miły kolego, muszę się Wam użalić, jest mi tu smutno, tęskno i jakby źle". Nie lubiła jednak zbyt długo grać na jednej żałośliwej nucie i wiedziała, że ludzie też nie przepadają za bezpłodnym biadoleniem. Więc do westchnień dorzucała wiele uwag na temat lektury utworów zamieszczonych w "Skamandrze", które to pismo przysyłał jej Broniewski. Podobał jej się na przykład wiersz Horzycy, krytyczniej i ostrzej oceniała Słonimskiego, zachwycała się natomiast Watem i jego "bogata, głęboką umysłowością". Pochłaniała także wówczas świeżo wydane książki i opisywała swe wrażenia po przeczytaniu "Dziejów Chrystusa" Papiniego w tłumaczeniu Wincentego Rzymowskiego czy "Pamiętników Pana Boga". Czasem popadała w metafizyczne uniesienia, nawiedzały ją mistyczne myśli, ogarniało uczucie, jakby unosiła się razem z łóżkiem w powietrzu.

W kwietniu tegoż roku oznajmiła uniwersyteckiemu koledze, że zostaje jeszcze sześć tygodni w Wiedniu, a potem razem z mężem pojedą do Warszawy; Olek bowiem ma w połowie czerwca stanąć przed Kotarbińskim do egzaminu, do obrony pracy doktorskiej.

Jedno zdanie w tym liście było tak inne w tonie niż poprzednie utyskiwania na nudę Wiednia, iż Broniewski mógł przypuszczać, że coś atrakcyjnego pojawiło się w życiu Belli:

"Jest mi markotno wyjeżdżać z Wiednia, tak go polubiłam" - pisała. Ale zanim się to coś stało, co spowodowało tę nieoczekiwaną zmianę, próbowała sama ratować pogodę ducha, rozpraszać nudę czającą się w "gem???u???tlich" wnętrzach kawiarni i cukierni o równo ustawionych krzesłach - stałych miejscach dla stałych gości, przychodzących w określonych godzinach. Przede wszystkim starała się nie porównywać!

Nie porównywać takiego na przykład warszawskiego domu przy Nowogrodzkiej z mieszkaniem jakiejś tam Frau, gdzie trzeba skakać po rozłożonych gazetach, aby nie pobrudzić podłogi i nie dotknąć stopą dywanu! Nie porównywać knajpki "Pod Setką" czy jedynej w swoim rodzaju cukierni Bliklego z tą beznadziejną cukiernią Drobnera, a "Ziemiańskiej" z Cafe na Mariahilfestrasse, zbyt obficie zdobnej sztukaterią, marmurami i ciężkoramiennymi lustrami, w których odbijały się postacie wyfraczonych oberkelnerów i kelnerów, podających znużonym parom małżeńskim albo matronom z córkami na wydaniu kawę ze śmietanką lub z likierem, keks z rodzynkami albo z orzechami, z niezmiennie aż do obrzydliwości jednakowym, zastygłym na ustach grzecznym uśmiechem! Nie porównywać też profesora filozofii, Heinricha Gomberza, nudnego małego człowieczka w binoklach, z żalną bródką, wystrzyżoną w ostry klin, z warszawskim uczonym "smukłym, ślicznym profesorem Tatarkiewiczem i jego przepięknymi wykładami z filozofii greckiej"! Gdzież takiemu Gomberzowi do Tatarkiewicza czy Zygmunta Łempickiego, który nawet nudne stare teksty niemieckie interpretuje porywająco i dzięki któremu można było pokochać Goethego. A

więc jeszcze raz: nie porównywać! Może wtedy będzie lżej zasypiać i już nie z tak ściśniętym sercem na myśl o Warszawie, a rano serdeczniej uśmiechać się do Olka. W tym celu należy pozbierać piórka "rozsypanego pierza", oznaczyć je po kolei nazwami zajęć i liczbami ich godzin.

Więc najpierw sprawy ciała, a ściślej żołądka: śniadanie, obiad, wieczorem - kolacja. Myśl o jedzeniu i jego przygotowywanie - smażenie, duszenie to też pozwala w bardziej różowych barwach widzieć świat. Groszek, młode marchewki, sznyclę cielęce, kotlety schabowe, pieczenie wołowe, zrazy, ozory w szarym sosie, skwierczenie słoninki na patelni, kartoflanka zaprawiona śmietaną albo krupnik, do którego dodaje się trochę fasoli (moczony przez całą noc w garnku), trzy suszone grzybki, befsztyki z kiszonym ogórkiem, a na deser duże bezy z kremem i czerwone paki peonii (te ostatnie tylko do oglądania) w wazonie na stole nakrytym białym obrusem...

Po takich tworzonych w kuchni "poematach" młody mąż odkłada na bok swe książki, papierzyska i po słowach pełnych zachwytu nad talentem kulinarnym żony zaczyna rozprawiać o głębokich problemach z sąsiadem z sublokatorskiej klitki, mieszczącej się vis a vis ich pokoju wyklejonego błękitną tapetą, na tle której symetrycznie wykwiwały białe lilie.

Po nasyceniu ciała - czas na sprawę ducha i kształcenie umysłu. Bella czyta więc młodą niemiecką poezję, chodzi na odczyty o literaturze niemieckiej XVII wieku, słucha wykładów Hansa Tietze (historia sztuki wieku XIV), głośno deklamuje utwory Frieda Schreyvogi, młodego poety, autora dopiero co wydanego tomiku "Fl????o????te am Aben", a w bibliotece uniwersyteckiej, siedząc w miarę spokojnie i prawie nieruchomo, wgryza się w dzieło profesora Antona Springera: Handhuch der Kunstgeschichte, ślęczy nad tomami o wczesnym odrodzeniu i późnym baroku.

Tekst kartkowała zazwyczaj pośpiesznie, skupiając się nieco dłużej nad reprodukcjami obrazów Fra Angelico czy Filippo Lippi i przyglądając się z zachwytem wymalowanym tam girlandom różyczek, postaciom Matki Boskiej w niebieskim płaszczu. - Jakie to śliczne, realistyczne, a zarazem mistyczne!... Po takich porcjach wiedzy mieszały jej się nazwiska twórców, style i epoki.

- Nie martw się tym, Belusiu - pocieszał ją mąż - jeśli nie ja, to szczegółowo wyjaśni ci to wszystko nasz uczynny sąsiad, mający znacznie więcej czasu. On ma niezwykle walory intelektualne, winnaś korzystać z okazji i wyprawiać się z nim na poznawcze wycieczki po Wiedniu, zwiedzać muzea, zabytkowe budynki i słuchać, co on mówi - zachwalał profesora, ponoć emigranta, uciekiniera, prześladowanego za radykalny socjalizm czy socjalistyczny radykalizm. Profesor przybył nie wiadomo właściwie skąd, ale owiewała go już tajemnicza legenda konspiratora, przydająca w oczach Belli blasku jego szpakowatej już nieco głowie, której to legendzie ze skromnym, jakby zażenowanym uśmiechem nie zaprzeczał.

Następnym więc punktem życiowego "programu na Wiedeń" był intelektualny kontakt z tym idealistą i z innymi ludźmi pokrewnymi mu duchem oraz naśladowanie ich czynów. W związku z tym podjęła próbę, która nie udała się, w konsekwencji powodując wyrzuty sumienia. Chciała się bowiem szczerze włączyć w pracę Lilki, spotkanej tu w Wiedniu dawnej koleżanki z z warszawskiej pensji. Owa Lilka, prawdziwa idealistka i społeczniczka, cały swój czas poświęcała upośledzonym umysłowo dzieciom.

- O, nie, wszystko, tylko nie to! - cofnęła się w popłochu Izabella na

propozycję pracy' w tym instytucie. - Nigdy nie lubiłam dzieci, nawet tych ładnych i zdrowych. - Pozostaje więc jeszcze działalność wśród socjalistycznej młodzieży. Z takim zamiarem zaczęła odbywać wielokilometrowe piesze wycieczki w każdą sobotę, z Olkiem i jego jakimiś dalekimi krewnymi, do kooperatywnych domków, baraków, gdzie mieszkali młodzi studenci, dzielący się z sobą wszystkim, nie tylko myślami, w marzeniach o utopijnym komunizmie.

Takie spotkania z młodymi "socjałami" kończyły się skromną wieczerzą w przydrożnej oberży, złożony z "Bauernesse" - potraw ze smażonych kartofli i jajek. A potem szło się na nocleg. W pokoju nad małżeńskim łóżem, o wysokich wypukłościach pierzyn, wisiał oleodruk z postacią Pana Jezusa w złocistej, idącej prosto z niebios smudze światła, a znad lustrzanej konsoli spoglądało popstrzone przez muchy dobrotliwe oblicze cesarza Franciszka Józefa. Patrzyła na głęboko śpiącego obok niej Olka... Nie porównywać! - przyszło jej z pomocą zbawienne hasło, gdy zerknęła na Franza Josepha, który był gotów zawsze czule i namiętne kochać się ze swą Kasią z ulicy Gloriette...

... I jeszcze jedno piórko z "rozsypanego pierza". Trzeba je mocno uchwycić, jest ono bowiem w odróżnieniu od tamtych barwne; jest samym tańcem. Bella przeznaczy więc kilka wieczorów, aby kilkakrotnie obejrzeć u Ronachera żonę Gucia Zamoyskiego, fascynującą tancerkę Ritę Sachetti, by dać się porwać entuzjazzmowi widzów, fali oklasków i po obejrzeniu spektakli zapragnąć unosić się w powietrzu w mistrzowskich ewolucjach, tak jak ona. Aby to osiągnąć, uda się do sali o lustrzanych ścianach, gdzie "pierwszy tancmistrz solowy w Operze Wiedeńskiej", pan Friedrich Fr???a???n?l pokaże jej w swoim "Tanz-Instytucie", jak się tańczy szymi, namiętne tango (na razie - solowe), romantycznego, prawdziwie wiedeńskiego walca.

Nie chciany romans

Przed budynkiem instytutu czeka na nią sąsiad, ceniony przez Aleksandra za swój intelekt, ideowość, niechęć do Hegla i znajomość sztuki. Ubrany jakoś bardziej elegancko niż zazwyczaj - brązowa marynarka w czarną pepitę - zapewne pragnie po drodze pokazać młodej pani Hertzowej kilka zabytków i wytłumaczyć w szczegółach różnice między gotykiem wczesnym i późnym. Ale Bella jest zmęczona po wyczerpujących tanecznych ewolucjach w salonie arcymistrza Franzla. Sąsiad proponuje jej tedy mały przystanek w kawiarni o stylowych stolikach i krzeselkach, gdzie zaproszona zje lody z owocami i bitą śmietaną, a zapraszający wypije kawę po wiedeńsku. Siedzi w wyprostowana i dumna; oto sam profesor, taki wielki znawca sztuki, i to znacznie starszy od niej i od Olka, zechciał pojawić się z nią w tak eleganckiej kawiarni. I o może imponować, ale i trochę onieśmielać, szczególnie gdy on wyciąga nagle rękę w stronę jej dłoni i całuje każdy paluszek po kolei. Bella pąsowieje, ale nie waży się cofnąć ręki; a może i sama nie chce cofać się przed zapowiedzią może jakiejś nowej przygody.

Sąsiad patrzy teraz tak jakoś dziwnie. - Spojrzenie słodkie jak miód - przelatuje jej przez głowę to banalne, ale trafne porównanie. - I tak jakoś lepi się do moich warg, do włosów, do szyi, uszu, jak klejąca się do miodu wędrująca mucha.

Uszy Belli płoną jak mak... Nieraz już w życiu zdarzało jej się bywać w takiej sytuacji i nigdy z tego powodu nie traciła głowy i nie zapominała języka, podpierając się często kpina studzącą miłosne zapały. Ale profesora nie można przecież porównywać z innymi zwykłymi kandydatami na amantów; przede wszystkim był od niej starszy poważniejszy, mądrzejszy, onieśmielał ją zawsze, nawet się czasami trochę bała, jak zareaguje ten uczony pan, gdy ona palnie jakieś głupstwo na temat Wenus z Milo czy fresków Giotta. Onieśmiela ją wielce i teraz, więc milczy, gdy jego wąsy zabawnie wykręczone w szpic wysoko ponad ustami, łaskoczą nadgarstek jej dłoni, potem zgięcie łokcia, gdzie przywiera łapczywie wilgotnymi ustami. Bella spuszcza oczy na pucharek z lodami; zachowuje się jak uczennica na egzaminie, nie umiejąca sprostać nieoczekiwanemu, kłopotliwemu pytaniu.

I nagle słyszy ciche nucenie. Podnosi wzrok, nauczyciel ma teraz na ustach, które wreszcie oderwał od jej przedramienia, pod spiralką wąsików, dziwny uśmiezek, jakiś taki, jakby krył nim obleśne myśli. Patrzy na nią, prosto w oczy, i cicho wyśpiewuje słowa piosenki; całkiem cicho, ale ona dobrze słyszy i rozumie zawartą w nich propozycję:

Ich kenne in Wien

ein Kleines Hotel

...Die Nacht is so kurtz... Komm zu mir...

Niespodziewanie dla samej siebie Bella zrywa się od stolika, rzuca łyżeczkę na marmurowy blat, rozpryskując wokół różowe kropelki roztopionych lodów i szybko, jakby w popłochu, żeby znów nie przyszło paraliżujące onieśmielenie, wydaje z siebie głos:

- To byłoby świństwo, nie - to już jest świństwo! - Wzburzona, mówi głośno i z naciskiem, po czym energicznym krokiem przecina salę i wybiega na ulicę.

Mówiąc: "świństwo", co właściwie miała na myśli? Tę piosenkę, nielojalność uczonego sąsiada do ufającego mu Olka czy może samą siebie, jakby w przwidywaniu, że skusi ją w końcu ta ekscytująca szansa, możliwość nowych doznań z doświadczonym konspiratorem; i to jak się okazało - konspiratorem nie tylko politycznym.

Gdy wróciła, Olek siedział nad tymi swoimi skryptami; na jej widok uśmiechnął się i powiedział: - Belluniu, popatrz, kupiłem dla ciebie niezapominajki i przygotowałem frytki ze słoninką i Frankfurter-W??u??rstchen...

... Tak, profesor bardzo traci pod prawie każdym względem w porównaniu z Olkiem, poza tym wcale się jej nie podoba; a w ogóle całkiem to bezsensowna

historia. Poczuela równocześnie wściekłość i rozczulenie, złość w sercu i łzy pod powiekami...

Starszy pan, eks-bojownik o szczęście dla ludzkości, przedzierzgnął się teraz w myśliwego, czatującego na Bellę wychodzącą z instytutu, idącą przez ulice, siedzącą na ławeczce w ogrodzie. Była już wiosna, śpiewały ptaki, gęste listowie drzew przesiewało lustreczka słonecznego blasku, rzucające iskierki na rudo połyskujące warkocze Belli, upięte z tyłu w jakieś koszyczkowe esy-floresy. Usiadł przy niej na ławce, w przyzwoitej odległości i mówił: Jeszcze dziś zostawię dla ciebie wszystko, nie uciekaj ode mnie, pozwól wyjaśnić to, co przepełnia me serce... Pomyliłem się, ty nie nadajesz się na tani romans, ty musisz być tylko wielką miłością, muza artystów, uczonych, wszystkim... Szaleję za tobą...

... Dlaczego to zrobiłam? Przecież ten neurastenik, o bardzo czarnych i bardzo długich wąsach, ścieniowanych na końcach w ostre buńczuczne igiełki, którymi, podobnie jak i szczeciniastą brodą, kłuł przy każdym pocałunku, nie przypominał w niczym nie tylko artysty, ale nawet wyższego ranga urzędnika. Bezsensowna i niezbyt nawet ciekawa historia, nie tak ekscytująca, jak można sobie było wyobrazić, słuchając jego wyznań. W co ja się znów wplątałam?!... Ohydnie zdradziłam Olka. Nie mogę ukrywać przed nim tego dłużej ("byłoby to moralnie niehigieniczne").

... Aleksander Hertz w milczeniu przyjął spowiedź niewiernej żony. Jedynie mocno pobladł, podszedł do okna, długo stał tam, a potem powiedział: - Zdecydujesz o wszystkim sama, a na razie pojedziemy do Warszawy! Ton jego głosu był imponująco spokojny i Bella po raz pierwszy poczuła do męża coś na kształt ogromnego podziwu.

Ich wyjazd poprzedziła depesza nadana do Wilhelma Schwartza, że na skutek nieprzewidzianych okoliczności wcześniej, niż planowali uprzednio, wyjeżdżają z Wiednia.

Znów - w Warszawie u "Wil", z miłosnym epizodem w Berlinie

Bagażowy, który dźwigał ich walizki, wyglądał jak pękata choinka, obwieszona różnego kształtu kolorowymi pakunkami. Na dworcu pojawił się ojciec, elegancko ubrany w popielatą flanelową marynarkę, którą ożywiał kremowy krawat w błękitne paseczki. Wyprzystojniał jakby, odmłodniał; to chyba przez to przyczerwienie wąsów, bródki i szpakowatej przedtem czupryny. Rozjaśnił się na widok córki. Rzucili się sobie w objęcia...

Już Nowogrodzka, już numer 36, już w oknie widać rozradowaną twarz Julci. W bramie na lewo zaraz ukaże się jej oczom miedziana, błyszcząca w mroku jak kawałek słońca tabliczka z napisem "Wilhelm Schwartz". Cóż to? Nie ma tej płytki, nie ma informacji, że Wilhelm Schwartz jest przemysłowcem?... Jej miejsce zajął ostrobłękitny prostokąt z emalii, obramowany czerwonymi

paseczkami, a pośrodku duże białe litery informowały, że tu mieszka: "Wil".

- Ostatnio lubuję się w takich kolorach - oświadczył, widząc zaskoczenie córki a poza tym ten "Wil" bez dalszego ciągu ma w sobie coś tajemniczego, kryje "najrozmaitsze możliwości", otwiera dalsze perspektywy, nie wypowiada zaraz wszystkiego do końca...

... Pachną kremowe róże, ustawione na powitanie w wazonach na biurczku w jej pokoju i na stoliku przy tapczanie w sypialni. Pachnie kawa, świeże kajzerki chrupią w zębach. Na razic jedzą jeszcze śniadanie w trójkę i ojciec nie domyśla się nawet, że to wymowne milczenie Olka, nerwowe przecieranie raz po raz szkiele binokli i oświadczenie Belli, że nie będzie spać w żadnej sypialni, lecz u siebie w pokoiku, oznaczają koniec tego związku. Wieczorem dowiedział się o wszystkim.

- Co mnie spotyka? I za co? - pytał retorycznie. - Moja córka faktyczna rozwódka, a to podejrzaný stan cywilny. Ja zaczynam się coraz bardziej martwić.

- Przysięgam, tatusiu - biła się w piersi - przysięgam ci, że słowa: "mężczyzna, miłość" zostały ostatecznie wykreślone z mego życia. Ach, co to za rozkosz wrócić do Warszawy, do domu, i nie mieć już nic do czynienia z żadnymi związkami małżeńskimi...

- Starzyzne kupuje, starzyzne sprzedaje... Handele, handele - z sąsiedniego podwórza dobiega ochryply głos starego Chaima... Pod trzepakiem stanął kataryniarz i skrzypiącą korbką wyciąga melodię walczyka. Na środku dziedzińca stanął jak na scenie chudy tenor w niegdyś eleganckim garniturze i kładąc rękę w okolicy serca śpiewa: "Spójrz, jak morze pięknie wzdycha... I szumiące grają fale"... Z otwartych okien spadają pod stopy artysty papiereki z miedziakami. Stróż Walenty siedząc na ławeczce wiąże mocnym łykiem rozlatującą się miotłę, a ujrawszy Helcię z czwartego piętra z rulonem dywanu na ramieniu woła: To panna Helcia nie wie, że o tej godzinie trzepać nie wolno?...

A więc Izabella jest już naprawdę w swoim ukochanym mieście, na swoim miejscu. Bo inne miejsca i miasta - to zawsze tylko przelotne cele podróży... I odtąd wszystko jakoś się ułoży... Czuje się taka szczęśliwa i wolna, choć jeszcze nie rozwiedziona.

Wszystko, co dotąd zrubiłam - biła się samokrytycznic w piersi, odziane w bajecznie kolorowy dżemper z Domu Braci Jabłkowskich nie miało ani żadnego sensu, ani żadnego stylu. Trzeba dla psychicznej higieny (lubiła to słowo!) ratować się w oczach własnych i ojca, robić wreszcie coś z głębokim sensem i w dobrym stylu...

Doktorat! Tak, musi zrobić doktorat! Przeniesie swe studenckie papiery z Uniwersytetu Warszawskiego (na razie nie zostanie przecież tutaj, gdzie raz po raz może natknąć się na Olka) do Berlina, gdzie zatrzymała się jej matka po nieformalnym rozejściu się z ojcem i gdzie przebywa ukochana siostrzyczka Ewa - studentka malarstwa.

Ten Berlin, w ówczesnym okresie galopującej inflacji, stanie się wówczas dla Belli miejscem:

- gdzie ucześnie na wykłady profesora Heildebrandta z wczesnego renesansu, gdzie jako jedyna Polka chce wyróżnić się wśród innych nacji -

Anglików, Norwegów, Węgrów, Rumunów, białych Rosjan, jednego Amerykanina i Chińczyka o imieniu Sao-Fang i o małych, żółtych rączkach;

- gdzie chodzi w odwiedzinach do wujka Hermana Kino przy ulicy Passauerstrasse 22, który w dzieciństwie we Włocławku uczył ją fechtunku, a teraz razem z ciocią Helą przyjmują obie siostry smacznymi kolacjami, martwiąc się, że ich córki - Cyla, a szczególnie Judyta, takie mądre, a mówią głupio, że "nie ma innej drogi do szczęścia ludzkości, jak tylko komunizm", i takie śliczne, a myślą tylko o wyrzeczeniach i poświęceniu się dla sprawy;

- gdzie przeżywa jak "niedorzeczny sen" z Witkacego wizytę u autentycznej, chudej jak tyka księżnej von B??u??llow (Bellę zarekomendował tam pośrednio rzeźbiarz z Warszawy Henryk Glicenstein), noszącej bambosze na nogach i - prawie że na rękach, teozofa rodem z Bełżca - Abła Ganza, malutkiego, jasnorzęsatego grubaska o palcach jak serdelki, za to, że wydobyl ją z depresji;

- gdzie tańczy na jakimś prywatnym przyjęciu z pewnym, niskiego wzrostu, jeszcze niestarym, ale już całkiem łysym właścicielem wysokopiętrowych kamienic w Warszawie i ma nieostrożność powiedzieć mu, że "świetnie się z nim tańczy" (w niedalekiej przyszłości będzie to miało, swoje echo w propozycji ojca, związanej z planami matrymonialnymi);

- gdzie nawiązuje nowy i względnie udany romans z węgierskim malarzem o lwiej czuprynie - Robertem Bereny, o czym po latach opowie ze szczegółami m.in. w książce: "Nigdy nie wyjdę za mąż", nie zapomniawszy nawet adresu mieszkania: Luitpoldstrasse 28, dokąd przyszła po raz pierwszy, ofiarowując mistrzowi pędzla siebie oraz bukiet papagajów, czyli fiołków alpejskich o strzępiastych płatkach w kolorze łososia.

... Gdyby tak zliczyć te wszystkie opisywane przez nią i opowiadane historie o romansach, miłosnych przygodach z ekshibicjonistycznie, rzecz można, podawanymi szczegółami, z niedyskretnym ujawnieniem imion, a często i nazwisk, gdyby przypomnieć jej wyliczanki: ilu to miała kochanków, i jej głośne do spotykanych znajomych odzywki w rodzaju: powiedz mi, synku, czy ja z tobą spałam, czy nie? - a więc gdyby to wszystko przywołać i we wszystko wierzyć, potwierdziłby się mit o wielkiej miłośnicy, muzie artystów - malarzy, poetów, pisarzy, całej tej cyganerii zarówno warszawskiej, jak i berlińskiej czy paryskiej.

Ta legenda Belli z "Ziemiańskiej", Belli z warszawskiego "Zodiaku", Belli z Montparnasse'u czy "irracjonalnie szaleńczej" Belli-Heli z "Pożegnania jesieni", rudowłosej, "o lubieżnym karku, o zmiennej, burzliwej naturze" była niestrudzenie podtrzymywana przez nią samą. Może najtrafniej umiał rozszyfrować ją Witkacy, przypisując bohaterce swej powieści - "kobiecie notorycznie łatwej", erotyzm sprowadzający się w istocie do eksponowania pięknych łydek i podniecania się "do pewnych nieprzekraczalnych granic". Jeden z bohaterów "Wspólnego pokoju" (krył się pod jego maską sam Uniłowski) domyślał się jedynie u panny Leopard (cech fizycznych i psychicznych użyczyła jej sama Bella) doskonałej budowy nagiego ciała; w rzeczywistości bowiem prawdziwie rozkoszną rozrywką było dla niej drażnienie samczych instynktów i niespełnianie męskich żądz.

Prawdopodobnie więc i w rzeczywistości więcej spraw męsko-damskich działo się w jej zwariowanej wyobraźni niż na konkretnym łożu rozkoszy. A jeśli już podejmowała miłosną grę, bardziej niż z seksualnej potrzeby, z

nienasyconego temperamentu czyniła to z chęci poznania czegoś nowego, niepozbowiania się wrażeń, które pozwalały "żarłocznie i bezmyślnie cieszyć się życiem". Nie wypadało bowiem kandydatce na wyzwoloną z konwenansów muzę artystów nie mieć, nie przyjąć tych ustalonych od dziesiątków lat cech i powinności, jakie dyktowała rola wielkiej kochanki.

A więc jak to właściwie wyglądało: czy była omdlewająca, perwersyjnie erotyczna jak panna Leopard, czy pełną dzikiej namietności kapryśną hurysą na łóżkach szejków, maharadzów, nałożnicą Matisse'ów i Modiglianich, metresa francuskich poetów i rosyjskich tancerzy, którzy rzucali dla niej młodych chłopców? Czy raczej - w gruncie rzeczy -frigidą, udającą mistrzowsko, że spała się w ogniu żądy... Dawałam aię nieść prądowi i falowałam we wszystkich kierunkach - mówiła nieraz - żyć chciałam, goniłam za wszystkim, co mogło mnie zabawić, upoić i ubarwić mój świat.

Czy znała samą siebie? W każdym razie w czasie owego przeszło dwuletniego pobytu w Berlinie, wyznając miłość Robertowi Berenemu i wierząc w to w danej chwili niezbitcie, wplatała się równocześnie w romans z awangardowym Hansem Richterem. Ów artysta, o szarych, fosforyzujących oczach kota, pragnął burzyć przestarzałe formy sztuki, tworzyć nową erę; w tym celu używał do swoich dzieł gwoździ, kluczyków od pudełek z sardynkami, samych pudełek, zardzewiałych korb od wyżymaczki i innych akcesoriów, a wystawę nazwał: "Kluczem do tajemnicy". On umiał skuteczniej znaleźć klucz do Belli - przyjaciółki tego starego tradycjonalisty Bereny'ego.

Ta jedna, jedyna z nim noc to był według jej odczucia "mus dziejowy, jedyny przeblysłk wszechbytu (...). Och, ta słodka słabość w krzyżu, ta bezkresna pustka w głowie", to jego błędzenie "inteligentnymi rękoma o długich palcach, zakończonych ślicznie wykrojonymi paznokciami wszerej i wzdłuż mojej anatomii...". A potem, po tym przeblysku, po dziejowym musie. już nazajutrz, nastąpiło, znów dla "higieny moralnej", pokutnicze kajanie się przed Robertem. "Gdyby człowiek wiedział, czego chce, to by..." - wzdychała smętnie i filozoficznie, nie kończąc zdania.

Po co te wątpliwości? Przecież wie! Usiądzie przy biurku i zacznie pisać list: "Tatusiu! Już tak dawno nie byłam w domu, tak dawno nie widziałam Warszawy (...), tak bardzo chcę znowu siedzieć na Twoich kolanach i być Habusią-Trabalą".

- Naciesz się Warszawą, ojcem, ale niech twoja nieobecność nie trwa zbyt długo! - przykazywał Robert Bereny, żegnając ją na dworcu...

I oto już Warszawa... - Witaj, córeczko, nareszcie opuściłaś to okropne miasto, gdzie wszyscy szwargocą po niemiecku. Witaj, moja Habusiu-Trabalo - papa Schwartz uniósł w powitalnym geście elegancką laseczkę o rączce z kości słoniowej.

Nazajutrz ojciec z córką poszli w południe do jego ulubionej kawiarni, do Lourse'a, gdzie liczni znajomi podchodzili do ich stolika, pytając: Wilhelmie, czy to twoja córka? - Tak, to moja córka Izabella, dopiero co przyjechała z Berlina, a teraz zostanie już w Warszawie...

Istotnie, miała taki zamiar, mimo że nie było tu Witkacego; zaszył się znów gdzieś w Zakopanem. Ale jest tutaj przecież jeszcze tylu innych ciekawych ludzi. Niektórych znała przedtem - Broniewskiego, Bruno Jasieńskiego, u którego monokl, chryzantema albo jakiś inny okazały kwiat w butonierce oraz rzucane przez niego od czasu do czasu wiersze w rodzaju:

Ja jestem małym lift-boyem

w domu paśowej księżniczki...

kłóciły się jaskrawo z wypowiedzianymi głośno kwestiami: - Miliony ludzi na świecie przymierają głodem... - lub: Belu, syta burżujko, jak możesz tkwić w tym drobnomieszczactwie, w tym błocie"...

Po zbliżeniu się w Berlinie poprzez noc z Hansem do awangardy, nie czuła się już teraz zacofaną w ocenie sztuki konserwatystką, której łatwo skompromitować się w kołach nowatorskich malarzy, a trudno zdobyć na własne sady. Toteż dość pewnie zachowywała się w poznanym świeżo towarzystwie Henryka Stażewskiego, Szczuki, Katarzyny Kobro, Teresy Żarnower i Henryka Berlewiego. Ten ostatni opanowany myślą urządzania wystaw w salonach samochodowych oraz wcielający w swe rysunki własną koncepcję "mechanofaktury", został wykpiiony przez Słonimskiego jako twórca "mechanobzdury".

Berlewi ostro potem zaatakował na sławnej "górcie" w "Ziemiańskiej" autora "Kronik Tygodniowych" w warszawskich "Wiadomościach Literackich", czym rozbawił wielce Bellę; poczuła się znów w swoim żywiole. I zapewne jeszcze długo nie myślałaby o opuszczeniu Warszawy, gdyby - po pierwsze - Guccio Zamoyski nie zaczął kusić urokami Paryża, rozpalać wyobraźnię wizją różowych mgiełek nad Sekwaną, kolorowymi tłumami przechodniów na najpiękniejszych w świecie - jak mówił - placach i bulwarach oraz obrazem jej samej jako gwiazdy Montparnasse'u. - Chcę oglądać cię w Luwrze i nad brzegami Sekwany, na wieży Eiffla i na Montparnassie - żarliwie namawiał na pół kpiarskim tonem. - Belu, cudna Belu, "przecież ty jesteś stworzona do Montparnasse'u. Musisz, musisz jechać do Paryża"!

I po drugie, gdyby ojciec nie zaczął przywoływać zatartego już sprzed roku wspomnienia jakiegoś berlińskiego, nie liczącego się przyjęcia, na którym mały, niższy od niej o pół głowy człowieczek świetnie prowadził ją w tańcu.

- I ty powiedziałaś mu wtedy, że przewyższa wszystkich innych danserów i że chciałabyś tak wirować przez całe życie. Ty wiesz, on to zapamiętał i odtąd nie może ciebie zapomnieć. Ty wiesz, jego ojciec, mój przyjaciel, jest prawie królem żelaza, a on sam posiada piękne kamienice w Warszawie. I ty wiesz - tu papa Schwartz dla większego efektu zawiesił głos, aby po chwili uroczystym tonem powoli dokończyć - ty wiesz, on się chce z tobą zenić... Ja się o ciebie coraz bardziej martwię, a jak wyjdiesz za mąż za niego, to ja się uspokoję, ja się przestanę o ciebie martwić...

Bardziej niż słowa zaskoczył ją fakt, że mówi to jej ojciec, tak przecież do niej podobny, kochający bardziej obrazy niż kamienice, ceniący więcej barwę życia niż monotonne, szare kolumnienki cyfr. Zapaliła papierosa i w milczeniu patrzyła na wiszący w gabinecie obraz z monachijskiej szkoły, na którym z boku kokoszka prowadziła pisklęta, a kot na daszku spoglądał łakomie na to smakowite stadko.

Korzystając z tego, że Bella mu nie przerywa, ciągnął dalej: - Do tej

pory nie chciałem ingerować, pozwalałem ci na wszystko, znosiłem to całe zwariowane towarzystwo, nawet nie czyniłem ci i nie czynię wyrzutów, że zmarnowałaś szansę, aby być na całe życie żoną tak dobrego i mądrego człowieka jak Aleksander Hertz. Stało się, trudno, ale teraz czas już się wreszcie ustatkować, mieć swój dom, dzieci...

Patrzyła wciąż na obraz: ... i prowadzić je jak ta kokoszka - pomyślała z niechęcią i otworzyła usta, aby coś powiedzieć, ale on nie przerywał monologu: - tylko ty mnie nie strasz, że się zabijesz. Co ci się może nie podobać w tej propozycji? On jest dobry, bogaty i tak jak ja nie będzie się sprzeciwiał twoim kaprysom, wariactwom. Zobaczysz, będziesz zadowolona. No, powtarzam pytanie, co ci się nie podoba w tej poważnej propozycji?

- On sam! - odparła zdecydowanie. - I te jego kamienice, i nos pocętkowany dziurkami jak plaża po deszczu, i wszystko. I sam w to nie wierzysz, abym mogła być z nim szczęśliwa.

- No, nie wierzę - odpowiedział po chwili, drapiąc się w brodę - ale odpowiedz mi na jedno pytanie: Co masz zamiar robić dalej?...

Wzywa mnie Paryż

Wiedziała już: Paryż; via Berlin - do Paryża! Nie wypada jednak odjechać tak nagle od Roberta i zostawić go bez pożegnania. Spotka się więc z nim w Berlinie, spędzi tam trochę czasu, przygotowuje siebie i jego na rozstanie.

Na dworzec odprowadzali ją Broniewski i Jasieński. Gdy pociąg z wolna zaczął się oddalać, zawolała z okna: Czekam na was w Paryżu! Jeszcze z daleka machali kapeluszami, a wiatr znad Wisły targał włoy, mierzwiąc je nad starannym przedziałkiem, w jasnej czuprynie Bruna.

... Ber???e???ny czekał na berlińskim peronie rozradowany, podniecony, jak sztubak. W pokoju, w pensjonacie na Luitpoldstrasse 28, zasypiając na ogromnym małżeńskim łożu w jego ramionach, marzyła o Paryżu. Na razie nie było atmosfery, aby mówić o rozstaniu.

Mijały dni i tygodnie, przyszła siąpiła jesień. W Tiergartenie kleiły się do pantofli maziste, szczerniały liście kasztanów. Już nie tylko w snach, ale i na jawie śniła o nadsekwańskiej stolicy. Berlin to nie Paryż, a i ten jeszcze nie tak dawno najważniejszy mężczyzna, który umiał budzić wyobraźnię i zmysły, to nie...; jeszcze nie wiedziała, jakie imię będzie miał ten następny, najważniejszy...

A może - kto wie - zatęskni do Roberta i wróci tu po kilku tygodniach! Ale na razie czas opuścić to niemieckie miasto. Berlin jest taki nudny, nie ma tutaj w pełni artystycznej aury, w Paryżu, tam jest ten klimat...

- Jadę na miesiąc, wiesz - jąkała się - tam jest klimat... odetchnę, to jest oddycha się innym powietrzem... ten klimat, rozumiesz...

Zrozumiał, wyczuła to w jego spojrzeniu, więc dodała jeszcze: - Jeśli chcesz, możemy pojechać... razem... - W tonie ostatnich jej słów dało się uchwycić wahanie, jakby lęk, że Robert się zgodzi. Odetchnęła z ulgą, gdy wykrzyknął:

- Donnerwetter! Psiakrew! Powtarzasz jak papużka: klimat, klimat, odetchnę, oddycha się... odetchniemy... Inny klimat! Co to za egzaltowane gadanie! Tu też jest klimat, w galeriach - Cezanne, Gauguin, twój ukochany Chagall... I tu, pozwalam sobie zauważyć, maluję ja, tu kupują moje obrazy, tu mam powodzenie, pieniądze. Nie jedź. Jest ci ze mną chyba dobrze? Co cię znów gna? Nowa miłość? Pragnienie nowych przeżyć? Przygód podniecających?

Odpowiedziała głupio, z patosem i nie mogło to zabrzmieć prawdziwie, choć - w tym momencie - było prawdą: - Wzywa mnie wielkim głosem Paryż!

*

Na dworcu witał ją Gucio Zamoyski, w swobodnym sportowym stroju: - No, jesteś nareszcie, wiedziałem, że w końcu przvjedziesz, choć Twoja podróż z Warszawy trwała znacznie dłużej niż moja tutaj rowerem.

A więc jest już w tym wymarzonej Paryżu z wieżą Eiffla, wyglądająca jak jakiś przedpotopowy stwór na ogromnych mamucich nogach, z wyspą świętego Ludwika, z łódeczkami na Sekwanie i wędkarzami na jej brzegach, z Montmartre'em, gdzie wiatr dawno już wywiał peleryny artystów, uniósł w inny czas ich aksamitne berety, kapelusze z fantazyjnymi wstęgami...

Gucio, trzymając bagaż w dłoni, patrzył na nią z rozradowaniem i głośno "rzał końskim śmiechem", jak to było w jego zwyczaju, gdy cieszył się albo przygotowywał jakąś wielką niespodziankę. Na razie pierwszą niespodzianką był "Hotel Unic", blisko Montparnasse'u, u bardzo prudej pani Martineau, która przez szybkę w pokoiku na parterze baczyła czujnie, aby żaden obcy mężczyzna nie przekroczył panieńskich i niepanieńskich pokoików jej lokatorek.

- Tu ci będzie dobrze i nie za drogo! - oświadczył Gucio. - Stąd powiodę cię - ciągnął dalej z komicznym patosem - w świat kolorów, murzyńskiego jazzu, o którym zapewne jeszcze nie słyszałaś. Tutaj poznasz młodych artystów, przybyłych z Krakowa i Warszawy, przed którymi dopiero otwiera się przyszłość, i ujrzysz tych, którym się już powiodło. Polubisz ich marszanda, handlowca o romantycznej duszy i czułym sercu - Zborowskiego, który, jeśli zechce, wyciągnie z szaf, zza pieca, z kątowny obraz Utrilla, Modiglianego, aby ci je pokazać. A jeśli będziesz umiała odpowiednio się zachować, to może dane ci będzie pociągnąć za długi pasek od dzwonka u drzwi Godebskich i znaleźć się tam, zaproszona, w ich salonie...

Słuchała, zrazu oszołomiona, ale wkrótce zasypała go pytaniami, na które sama sobie dawała zaraz odpowiedzi.

- Nie paplaj już tyle, i to tak bezładnie, odpocznij! Zostawiam cię teraz

samą, idź spać, a jutro pojedziemy do dzielnicy artystów; nie ma takiej na całym świecie, nawet w tej twojej Warszawie.

Ach, być gwiazdą Montparnasse'u!

August spojrział na nią ze zdumieniem, gdy po pierwszych okrzykach zachwytu nagle zamilkła. Montparnasse! Idąc ze swoim towarzyszem pośród gwaru uliczek, rzęsistych świateł lamp, wzajemnych nawoływań ludzi siedzących przy stolikach, krążących między nimi lub na wąskich chodniczkach bulwaru, jakby całkiem zapomniała o swoim zazwyczaj obrotym języku. Ludzie śmiali się, zagadywali do Augusta, zaczepiali spojrzeniami, niekiedy słowem, nieznaną jeszcze tutaj, piękną rudowłosą, kroczącą u boku rzeźbiarza. Mężczyźni byli w beretach, spod których wymykały się swobodnie długie, bardzo długie włosy; czarne, blond, szpakowate lub całkiem już siwe. August pociągnął ją nagle w kierunku jakiegoś lokalu.

Bella, oprzytomnij! Jesteśmy już u siebie! Jesteśmy w "Rotonde", oprzytomnij i uprzytomnij to sobie: w "Rotonde" na Montparnassie.

- A czemu nie na Montmartrze? - wykrztusiła. Słyszałam, że artyści gromadzą się zawsze na Montmartrze, tam jest przecież ich miejsce, ich siedlisko.

Zarżał głośniej; podobnie - przemknęło jej przez głowę niedorzeczne porównanie - rżały tak konie Zamoyskich w stajniach, na zapleczu ich warszawskiego domu przy ulicy Wiejskiej 7. Roześmiała się, co wzięło za widoczny znak jej powrotu do normalności. - Bellu, prowincjuszko, to nie wiesz, że Montmartre należy już do historii; do wielkiej zresztą historii, podobnie jak i nazwiska, które dopiero niedawno doczekały się sławy.

... W "Rotonde" otoczyli ich znajomi i przyjaciele Augusta, wstając od stolików, wskazując wolne miejsca. - To Gienio Zak, to Kramsztyk, to Kowarski, to... spójrz. poznajesz? - plątały się nazwiska, niektórych nie dosłyszała w panującym tu gwarze i wybuchającym raz po raz, w różnych stronach sali, śmiechu.

Kramsztyk, ach, to ten, który w Warszawie rysował Lechonia, nazywając swe dzieło: "Poeta". Poeta na obrazie trzymał książkę w ręku, ale nie patrzył na jej strony, w górę unosząc głowę o wychudłych nieco rysach twarzy... Bella pamięta go z warszawskich lat; zimą w ciemnym płaszczu i sztywnym meloniku, który za namową Grydzewskiego zamieniał niekiedy na czapkę, jaką nosili studenci - z białym denkiem i czerwonym otokiem. I pamięta też nieprawdopodobną pamięć Lechonia, upodobanie do własnej recytacji, które to talenta prezentował nieraz w "Ziemiańskiej", deklamując nie tylko własne wiersze, ale i swoich kolegów po piórze, sięgając nawet także do wielkich romantyków... Ileż obłoków wspomnień przypływa z Warszawy tutaj - do "Rotonde"!...

W tej paryskiej kawiarni spotykał się prawie cały artystyczny Kraków i Warszawa. Architekt Szymon Syrkus ze stolicy i "krakauer" Jacek Puget w brązowym zgrzebnym drelichu - całkiem "odrodny" syn wytwornego rzeźbiarza Ludwika - w nieodłącznym towarzystwie drobnej postaci w ogromnej pelerynie,

należącej do Tytusa Czyżewskiego. Tytus przebywał w Paryżu już od prawie trzech lat, miał skromną pracownię przy Impasse du Rouet i skromną zarobkową pracę w Bibliotece Polskiej.

Po drugiej stronie "Rotonde" jest Caf???e??? du D???o???me. To tutaj przychodził Majakowski z Lilią Brik, tu, w niedalekiej przyszłości dobrodusznie będzie kpił z Belli Erenburg, zwać ją od przekręcanych przez nią słów: Nawyczka, od "priwyczki", tu ponoć pisywał swego "Lejzorka Rojtszwańca" i nie przeszkadzało mu wtedy ani towarzystwo żony Lubow Michajłowny malarki, ani Elzy Triolet, siostry Lili. Bywało, że gdy do jego stolika przysiadali się jeszcze jacyś rosyjscy pisarze, czy o "wszechogarniającym" temperamentem młoda i ładna Xana Bogusławska razem z mężem Puninem z literackiego kabaretu "Żar ptica" w Moskwie, wówczas całą gromadą szli do "Wikinga", lokalu, którego specjalnością był flips, coś w rodzaju ajerkoniaku. I tu w "Cafe du Deme" Izabella pozna Jerzego Gelbarda, rodem z Częstochowy, warszawskiego architekta, który z kolei w Paryżu stawał się wzięty i modny. Ale zanim spotkali się i wymienili pierwszy uścisk dłoni, w nieco dziwacznej, spowodowanej przez Gucia sytuacji, Bella poznała w "Caf???e??? du D???o???me" wielu innych bywalców. I bywalczyń także; były to głównie początkujące modelki. Jeszcze po latach żywo tkwiły w pamięci rudowłosa Germaine i Kiki o równo przyciętej czarnej grzywce, o ustach jaskrawo wymalowanych w serduszko. W drzwiach kawiarni pojawiał się niekiedy Chaim Soutine z nieśmiałym, przeprasającym, niepewnym uśmiechem, z grubą kostropatą lachą w dłoni. Wiedziała, że przybył tu, do Paryża, z zapadłego miasteczka spod Mińska, z jakichś Śmiałowic czy Śniłowicz, gdzie ojciec - szewc łaciarz, nie szczczędząc mu pocięgła, upokorzeń, był przyczyną odrażających wspomnień i gdzie synowie tamtejszego rabina, łącz, bili go, że śmiał popełnić tak wielki grzech, malując oblicze ich ojca.

Ów Chaim o tułubowatej, jakby ulepionej przez niezdarne artystę z nieforemnych brył gliny - postaci, o dużych odstających uszach, zawsze w swojej zniszczonej "kacabajce", dawał się czasami zaprosić przez Bellę na piwo do dworcowego bufetu.

- Wy dobryj czelowiek! - mawiał po poczęstunku, wycierając nos w darowaną mu przez nią chusteczkę.

To był ten Chaim, który - gdy zyskał już wielką sławę i bogactwo - pragnął zapomnieć o wszystkim, co go dawniej upokarzało, zatrzeć poprzednie "spowiedzi", zabić w sobie głuche rozpacze wytwornym - za wytwornym! - stylem bycia.

Na kilka lat przed wybuchem wojny jeździ samochodem o siedzeniach obitych drogą. piękną skórą, lubi chadzać na "hajlajfowe" wernisaże i do burdeli, olśniewają go salony paryskie o ugięzonym stylu, snobizuje się "modern" meblami, ubraniem... A gdy Olga Sacharow i Hanna Orłow pragną zrobić sobie z nim wspólną fotografię w jego pracowni, ubiera się w elegancki garnitur, wbija w lakierki, prosi, aby panie były w strojnych w wizytowych sukniach, do atelier wtlacza otomanę i inne jeszcze akcesoria mieszczańskiego wystroju wnętrza.

Chce się tym wszystkim zasłonić, uciec od lat poniżenia i udręk, obsesji, mających swe korzenie w rodzinnym miasteczku. Więc drze, czasem i wyrzuca namalowane płótna, zbyt go odsłaniające. Pragnie oddzielić się od koszmarnych snów przeszłości; a potem w czasie ostatniej wojny - od grozy terażniejszości. Chory, z wrzodami jelit, świadom, że wielu malarzy żydowskiego pochodzenia wywieziono do obozów śmierci, ukrywający się pod

obcym nazwiskiem, nie chce czytać od 1940 roku żadnych pism, nie chce wiedzieć, co dzieje się na świecie. Gdyby mógł, zafundowałby sobie druk gazety przynoszącej same dobre wiadomości lub datowanej kilka czy kilkanaście lat wstecz, aby czytać o nowej wystawie w galerii Zaka, o pierwszych kompozycjach Bronisława Kapera, o młodym piosenkarskim talencie w "Casino de Paris" pana Chevalier... Kazałby może nawet przedrukować sobie fragment z jakiegoś berlińskiego pisma z 1922 roku - chyba zwało się "Gegenstand" - aby na szpalcie zatytułowanej "Nowości z Warszawy" ujrzeć recenzję tomiku poezji Aleksandra Wata, a obok zdjęcie niezapomnianej, dobrej Belli, opatrzone nazwiskiem jej krewnego, fotografa: Hans Schwartz.

Czy wróci jeszcze kiedyś na Montmartre, na Montparnasse? Tak bardzo pragnąłby pospacerować po tamtych uliczkach, stanąć w drzwiach "Rotonde". Głucha bezsilność, czający się wszędzie lęk.

W sierpniu 1943 roku przywieziono go na Montmartre, do kliniki Junot. Zmarł tam 9 sierpnia pod obcym nazwiskiem. Ponoć przed śmiercią zwrócił się do jednego z otaczających go przyjaciół: Wy dobryj człowiek... Ogól mnie. nie chcę iść na tamten świat z zarośniętą brodą!... I tak ogolony, wychudły, czterdziestodwuletni odszedł z tego pełnego lęków świata.

*

Nieraz pojawiała się postać Chaima w opowieściach Izabelli. Jemu to gdy nosił jeszcze brodę, gdy nie znano jeszcze jego obrazów i gdy wypicie jednego kufla piwa przekraczało finansowe możliwości malarza poświęciła kilka stron we wspomnieniowej książce o Paryżu: Dubo... Dubon... Dubonnet...

Pisała tam i o innych biednych, jeszcze nie znanych i o takich, którym się już trochę powiodło; na przykład Kisling, który namalował ją jako "Siedzącą dziewczynę" i którego stać już było na auto, na zafundowanie Belli langusty z majonezem (zakąska), młodej kaczuszki z zielonym groszkiem jako drugie danie; a na deser jadła melbę, popijając czarną kawą z likierem.

- Ach, jak dobrze jest żyć - stwierdziła wtedy po raz już nie wiadomo który. - "Daj mi, dobry Panie Boże, tysiące lat życia" - egzaltacja dyktowała jej żarliwe prośby - i niech nigdy nie opuści mnie "skrzydlata lekkość". Kocham świat, kocham ludzi, kocham Chaima, kocham Gucia, kocham Kiki, kocham wszystkich i ciebie Kisling... Pocałuj mnie! Chcę być zawsze młoda i niech nigdy nie zachodzi słońce!...

- Mała wariatko z dalekiego miasta położonego nad Wisłą, odwiezę cię do pensjonatu pani Martineau - uspokajał Kisling jej nieopanowane rozegzaltowanie. Idź do łóżka i śpij słodko do rana.

...Jeszcze tylko czasami we śnie przychodzi Warszawa, skłębiona zieleń botanicznego ogrodu, majaczą w mroku stopnie schodów na ulicy Nowogrodzkiej i połyskuje na drzwiach tabliczka z tajemniczym "Wil"... I wyłania się ogromny strych, gdzie Julcia nosiła "pranie", aby wyschło w lekkich przewiewach wiatru, wpadającego przez wąskie u góry okienka.

Wiatr wywiał już dawno lekkie mgiełki panieńskich koszulek Belli i stała teraz, tutaj w Paryżu, przed redaktorem Chmurzeckim z "Polonii", zdumiona, gdy nagle zaczął przywoływać wspomnieniem - i ten strych, i Julcię, i te pajęczynki haleczek, jedwabie kombinacji. A było to przy Avenue St.-Quen, gdzie mieściła się redakcja pisma "Polonia" i gdzie Tytus Czyżewski polecił ją do pracy redaktorowi naczelnemu.

"Książd Kordecki" i "król Salomon" przy Avenue St.-Quen

Nie wiadomo, czy prawdą jest, jak potem to opisywała, że nie chcąc brać ani grosza od ojca, musiała, aby wyżyć, przyjąć jakąś uczciwą robotę. Redaktor naczelny Stanisław Chmurzecki o długiej i bardzo jasnej, rozłożystej brodzie przyjął Bellę wesołym uśmiechem. Oto ujrzał tę, która przed dziesięciu co najmniej laty nosiła koszulki cienkie i motylki - majteczki zwiewne, koronkowe. - To pani, Izabelko? - wykrzyknął. - Ja tam w Warszawie pomagałem nieraz rozwieszać bieliznę waszej Julci, nazywała się chyba Topolka, i podawałem jej z wanienki te fatałaszki. To ona opowiadała mi o ich właścicielce, pannie Izi-Beluni, i o jej pudlu, który stawał na łapkach, zanim jeszcze zadzwieczał dzwonek u drzwi oznajmiający przybycie gości czy pana Schwartza. I pomyśleć, że teraz widzę panią w Paryżu i pani będzie pracować w naszej "Polonii". Mały i dziwny jest ten świat!

Od razu zrobiło się swojsko, wesoło i nie można było przewidzieć, że niewiele upłynie wody w Sekwanie, gdy na skutek nieprzewidzianych przez oboje zdarzeń (związanych pośrednio z doktorem od dyskretnych chorób, w istocie - szarlatanem) rozstaną się w gwałtownej burzy wymysłów. I że po tej burzy zrodzi się jej, prawie własna, polska księgarenka, przy rue de Rennes 151 bis, ukryta pod bistrem pana Dubois, w sous-sol - piwnicy, suterenie, sąsiadującej z WC, z której to księgarenki będą wysyłane nie tylko "Święte Genowefy", "Sprzedane żony" i "Zamurowane dziewice", ale też polskie elementarze i globusy dla dzieci polskich górników w Lille. Było to jednak trochę później, a na razie, wśród licznych obowiązków natury administracyjnej i wysyłkowej, znalazł się i jeden twórczy: raz na tydzień - artykuł o polskich malarzach na paryskim bruku. Pisała więc o Meli Mutter, świetnej malarce (której obrazy, w tym portret młodego Żeromskiego, dotychczas nie znany, znajdują się obecnie w Warszawie, w zbiorach prywatnych), i o Zawadowskim (dla Francuzów i nabywców jego obrazów był to po prostu Zawado), i o Makowskim, mieszkającym przy ulicy de la Gait????e???; choć daleko było jej mieszkańcowi do radości, gdy za jedyne pożywienie służyły mu chleb i główka czosnku, odrywana dwa razy dziennie z długiego warkocza wiszącego przy kuchennym oknie. Widywała nieraz tego polskiego artystę, gdy w granatowym, płaskim jak naleśnik berecie pojawiał się w "Rotonde".

Pewnego razu Bella wprowadziła tam cztery małe dziewczynki w czerwonych kapturkach, córki malarza Zieleniewskiego. Zieleniewski, czarnobrody młody artysta, z fantazyjnie zawiązaną jedwabną wstęgą pod szyją, był przyjacielem Makowskiego i nieraz przyprowadzał cztery "Czerwone Kapturki" do jego pracowni. Bella, bywając tam także, wiedziała, że wszyscy żywią się

głównie makaronem i że dziewczynki bardzo rzadko piją du lait. Jej pomysł pójścia z całą dziecięcą ochronką do "Rotonde" wiązał się ściśle z mlecznym napojem, aby tam przemyślnym sposobem w tym królestwie calvadosu, absyntu i amer picon wyczarować kilka szklanek gorącego mleka. Po przeszło czterdziestu latach historia ta, opowiadana w Warszawie Mai Berezowskiej, tak zainspiruje wyobraźnię artystki, że usiądzie przy stole, pod srebrnym żyrandolem, w swoim mieszkanku na Mokotowie i namaluje pastelami tę scenę: Makowski w berecie bleu, w obłokach fajczanego dymu. Zieleniewski w kapeluszu z wygiętym rondem, okrągły kawiarniany stolik o ażurowych oparciach - krzeselka, a na nich przechylone do tyłu, aby do dna wysączyć mleko, cztery dziewczynki w spiczastych czerwonych czapkach. Maja znalazła już obrazy Makowskiego i stamtąd wzięła niezwykle kształt nakrycia dziecięcych głów w formie ostrego stożka.

Bella pisząc wtedy o Meli Mutter, Makowskim i innych Polakach w Paryżu, musiała równocześnie w redakcji segregować książki nadsyłane z kraju, pakować je i wysyłać prenumeratorom. Odpowiadała też na listy, przeważnie starych emigrantów. Gdyby nie interesanci i odwiedzający ją tam ludzie, pracę tę można by uznać za zbyt dla niej monotonna, a lektury niezbyt intelektualnie wysmakowane jak na gust czytelniczki Pascala, świętego Augustyna, Baudelaire'a, Witkacego, Wierzyńskiego, Słonimskiego czy Tuwima. W paczkach bowiem znajdowały się żywoty różnych świętych, w tym cieszący się największym wzięciem: "Żywot świętej Genowefy" (za 3 franki) oraz "Tajemnice króla Salomona", "Dolores, czyli sprzedana żona", "Ksiądz Kordecki, czyli obrona Częstochowy", "Sennik egipski" i "Lekarz domowy", "Klucze szczęścia", "Samogwałt i jego skutki" (za dwa i pół franka) oraz inne tanie opowieści o dziewczynach niewinnych jak lilie, napastowanych przez starych rozpustnych baronów. W ogromnych ilościach rozchodziły się jednak głównie książeczki do nabożeństwa o wypukłych okładkach z imitacją białej kości i złoconych brzegach kartek. Do obowiązkowych prac dodawała jeszcze sama sprawy, które z porywów dobrego serca pragnęła załatwiać od ręki strapionym, nie znającym języka i niezaradnym polonusom. I załatwiała, na ogół skutecznie. Pewnego razu udało jej się z łap oszusta-doktora wyrwać grupę młodych robotników rolnych, zwerbowanych w Polsce na roboty. Nieuczciwy lekarz stawiał zawsze zdrowym chłopakom, po zbadaniu ich, jednakową diagnozę: syfilis. A potem za ciężkie i ciężko zapracowane przez nich pieniądze aplikował im zastrzyki z... wody. Kiedyś znów znalazła pomoc dla starego robotnika z fabryki asfaltu - wynędzniałego Piotra Guji, o przeżartych kwasem paznokciach, który słysząc o dobrej i zaradnej pani redaktor w "Polonii" odnalazł ją i płacząc błagał o możliwość powrotu do kraju. Nieszczęśnik, oszukany przez werbownika, nie bacząc na podpisany kontrakt, umknął tej "babilońskiej niewoli" i teraz martwił się, że gdy nie wyjedzie, to weźmie go policja! Ale nie mam pieniędzy na bilet, a jeśli zaraz nie powrócę do kraju, to zaczniesz ścigać mnie werbownik i wsadzi do więzienia - desperował.

Bella najpierw nakarmiła go kartoflanką na boczku, "wyżebraną" od zecera składającego "Polonię", potem usadziła w komórcie za redakcyjnym pokoikiem na stosie makulatury i szybko pobiegła, mijając kościół St. Gernain-des-Pres w stronę galerii Zborowskiego przy ulicy de Seine, aby zdobyć dla Guji pieniądze na bilet. - Opanuj się, uspokój - mówił Leopold Zborowski, na próżno starając się zrozumieć sens jej wzburzonych, bezładnych słów. - Opowiedz mi powoli, o co dokładnie chodzi i kto to jest ten Guja. Na razie nic nie rozumiem... - Gdy zrozumiał, wyciągnął plik banknotów i Guja mógł zaraz udać się na Gare du Nord i stamtąd pojechać jeszcze tego samego wieczora do kraju.

Architekt z Warszawy, kapiści z Krakowa i bal w targowej hali

Na Montparnassie mieścił się też "Jockey" - nocny lokal, gdzie na dwudziestometrowej przestrzeni malutkiej salki falowała zawsze w przyćmionym świetle tańcząca, kolebiąca się w rytm granej muzyki masa ludzi różnych nacji, z różnych, odległych niekiedy krajów. Zaprosił ją tam kiedyś Zamoyski. Odbębniła już swe godziny w redakcji, wyprawiła w świat "Święte Genowefy" i w kilkudziesięciu egzemplarzach uciśniona, nieszczęsna Dolores w szponach barona, nagadała się w "Rotonde" o nowej sztuce i wciąż niezmordowana, umalowawszy usta, pokrywszy powieki błękitnym pastelem, była gotowa do tanecznej rozrywki w "Jockeyu".

Minęli z Guciem narożnik Campagne Premiere, z domem o zielonych okiennicach z girlandką malowanych kwiatków i znaleźli się w "Jockeyu". Patron lokaliku, Henri, wcisnął dla nich jeszcze dwa małe stoliki i po chwili, wysączywszy swoje cerises, zaczęli tańczyć. Charleston, one-step, tango; bez opamiętania. jak w transie, do późnej nocy trwał ten maraton.

- Jestem silny jak koń, ale już dosyć tej zabawy!...

Po wyjściu z lokalu Gucio przystanął, zsunął lakierki ze stóp, jakby nagle obuwie zrobiło się o dwa numery mniejsze.

- Chyba nie jesteś drobnomieszczanką z małej prowincji - oświadczył - aby robić kwestię z tego tylko powodu, że odprowadzając cię, pójdę w samych skarpetkach. Nie mam zamiaru męczyć się jak w "hiszpańskich butach" na torturach.

- Iść po bulwarze Montparnasse z człowiekiem prawie na bosaka? Tutaj, gdzie jest tak jasno od świateł jak w dzień? Idiotyzm! Zrób ofiarę, załóż te lakiery!

- Nigdy! I nie krzycz, nie próbuj wymyślać mi od idiotów, bo jesteśmy tuż przy "Caf???e??? du D???o???me". O widzisz, chyba tam jeszcze siedzą jacyś ludzie... Słyszać ich głośną rozmowę, to Polacy... Możesz wybrać sobie kogoś z tej tam kompanii, aby cię odprowadził, bo ja lakierków nie włożę...

Na tarasie, przy stolikach "Cafe" rzeczywiście siedzieli spóźnieni nocni goście, a przy najbardziej wysuniętym do przodu rodzima cyganeria znad Wisły. Wśród znajomych twarzy - Tytus Czyżewski, Jacek Puget... Wśród nieznanym zwrócił uwagę Belli jakiś młody, acz już nie w studenckim wieku, elegancki pan o gładko zaczesanych ciemnych włosach. Widząc zbliżającą się parę, za głośno mówiącą i za żywo gestykulującą, podniósł się z krzesła - był zgrabny, średniego wzrostu, choć raczej drobnej postaci - i rzekł spokojnie: - "Nie róbmy widowiska, Francuzi patrzą". Po czym ruchem ręki, któremu przewodziły wytworność i dobre wychowanie, zadysponował: - Garçon, deux roses! Dla tej pani i tego pana!

Wypicie wina nie złamało decyzji Gucia. Wtedy elegancki fundator skłonił się przed Bellą i patrząc z powagą nie wykluczającą błysku zachwytu zaproponował: - Jeśli pani pozwoli, to ja się panią zaopiekuję i odprowadzę do domu...

Zamoyski był całkiem zadowolony z takiego obrotu sprawy i rżał głośno ze śmiechu, widząc że Bella patrzy na niego z gniewem; kompromituje ją przecież.. tak łatwo pozbywając się kłopotu towarzyszenia jej przez mocno opustoszałe już o tej porze ulice Paryża. A może to i lepiej... Pantofelki też cisną i też, gdyby szła na piechotę, paliłyby ją stopy, a w towarzystwie Gucia o dorożce nie ma co marzyć. Choć hrabia, choć taki wylewny, serdeczny, przyjacielski i o nie najgorszym statusie materialnym, to właściwie nigdy nie odznaczał się zbyt wielkim gestem i rozrzutnością...

Tytus Czyżewski, odprowadzając okrągłymi jak u sowy oczami oddalającą się od stolika parę - Bellę i młodego architekta, absolwenta Politechniki Warszawskiej Jerzego Gelbarda, zwrócił się do Augusta: - Zobaczysz, on już jej nie zostawi, on już będzie ją odprowadzał, a ona już nie będzie tańczyć z tobą w żadnych "Jockeyach"...

I nie zdziwił się więc wcale, gdy wpadli kiedyś razem - już nie na "pan" i "pani" - do jego pracowni przy Impasse du Rouet.

W pobliżu, w tym samym chyba domu mieszkała grupa studentów Polaków, nazwana szumnie przez nich samych "Komitetem Paryskim"; w skrócie, od pierwszych liter "K" i "P", wyszło z tego: kapiści.

Krakowscy studenci - było ich jedenastu - uczniowie Pankiewicza przeszli pod tą nazwą do historii malarstwa. Znaleźli się tam tacy artyści, jak Cybis, Jarema, Potworowski, Nacht, Strzałecki, "Zyga" Waliszewski, dwie kobiety: Przeclawska-Strzałecka i Rudzka-Cybisowa oraz jedyny biegły władający językiem francuskim - Józef Czapski. Dołączyli potem do grupy Jacek Puget i siostra Czapskiego, acz nie malarka, lecz analityczka, poważnie zgłębiająca problemy literatury romantyzmu, głównie - Mickiewicza.

Czapski, podobnie jak i reszta, żył wówczas w nie najlepszych warunkach, mieszkając - jak w 1925 roku wspominał Iwaszkiewicz w liście z Paryża - "czort wie gdzie, aż koło Porte d'Orleans". Artysta narzekał "na niemożliwość dostania się w środowisko francuskie" i całymi godzinami przebywał w Luwrze.

- Luwr to był i jest mój świat - powie mocno poruszony po czterech prawie dziesiątkach lat, gdy wyczyta w "Dzienniku" Gombrowicza zjadliwe uwagi o tej wspaniałej galerii, o snobizmie idiotów, którzy ją nawiedzają, o okropieństwach niektórych gromadzonych tam eksponatów. - Luwr przecież - podkreślał Czapski "wciąż podnosząc nasze ambicje, uczył nas nieustannie pokory".

W podobnych warunkach jak Józef Czapski żyli w latach dwudziestych i inni jego przyjaciele z kapistycznej grupy, a wśród nich kpiarz, cienki ironista "Zyga" Waliszewski, schorowany już, znający zaledwie kilkanaście słów po francusku, co nie przeszkadzało nawiązywać mu bliskiej konwersacji z przystępnymi panienkami, i Jan Cybis o żółtej, zbiedzonej twarzy, mieszkający w jakimś ubogim pokoiku przy rue de Rennes, po stoicku reagujący na słowa żony: -"Janku, nie mam już ani jednego sou na jedzenie" zawsze jednym zdaniem: - "Mnie to nic nie obchodzi".

"Banda linoskoczków" - tak określała konsjerżka owych artystów, mając w pogardzie biedę, niezrozumiały tryb życia i ich pracę. W ówczesnym czasie, gdy kapiści pojawili się w Paryżu, prym wiedli surrealiści - Breton, Bunuel, Salvatore Dali... Na styku dwóch bulwarów Port Royal i Montparnasse mieściła się sławna "Closerie des Lilas", gdzie surrealistyczna awangarda wyznaczała sobie spotkania. Artyści o innym kierunku sztuki nie liczyli się dla nich w ogóle, nie przebierali tedy w pogardliwych, wulgarnych określeniach; słowa: "gówniarze, łajna intelektualne, jesteście starymi koszulami zapomnianymi w pisuarze" należały do stałego repertuaru bywalców "Closerie". Cóż wspólnego mogli więc mieć z surrealistami malarze martwych natur i pejzaży, malarze kolorysty, postimpresjoniści, choć byli też młodzi i też chcieli zdobywać świat? Cóż z tego, że zaglądali oni niekiedy do "Closerie des Lilas", gdy niemożliwością było przebić twardą skorupę obojętności i lekceważenia.

Józef Czapski - nieformalny, acz rzeczywisty prezes grupy kapistów - nie wspomina z radosnym uniesieniem owych lat przeżytych w Paryżu, choć doceniał zawsze rolę tej Mekki ludzi sztuki dla ich artystycznego rozwoju. W nadsekwanijskiej stolicy stanowili dla siebie wysepkę polskiej bohemy. Na tej wysepce mieli dość puste kieszenie, nie przekarmiane żołądki, choć często spokrewniano ich z wysokimi rodami, dobrze sytuowanymi ciotkami, wujami czy stryjami, mieszkającymi we Francji. Ale byli ambitni i pochłonięci pracą, opanowani pasją malowania. Józef Hutten-Czapski na przykład, niedawny uczestnik walk 1920 roku odznaczony orderem *Virtuti Militari*, były ułan Pułku Ułanów Krechowieckich, choć spowinowacony z książętami, rzadko odwiedza swoich krewnych w Paryżu, swoich Radziwiłłów, a jeśli już daje się zaprosić, to zazwyczaj zabiera na ich salony kolegów. (Owocem tych wizyt stawały się czasem w przyszłości małżeństwa; tam bowiem Potworowski ujrzał prawnuczkę generała Henryka Dąbrowskiego: Magdalenę - Magę - Mańkowską i poślubił ją, i tam Strzałecki po rozejściu się z Przecławską zakochał się w siostrze Magi - Jadwidze, stając się z kolei jej mężem.

...Salony salonami, krewni krewnymi, książęta książętami, ale prawdziwe życie zarówno towarzyskie, jak i zawodowe, prawdziwy świat Józefa Czapskiego i jego przyjaciół był przy ulicy du Rouet. Tam mieściła się bowiem ich wspólna pracownia. I tam pojawiał się niekiedy profesor Pankiewicz ze stałą maksymą na ustach, że "malowanie to nie tylko sprawa talentu, ale i myślenia". Krakowski mistrz przebywał od czasu do czasu w Paryżu, mając większą niż uczniowie możliwość jadania obiadów w lepszych lokalach; na przykład w restauracji przy Porte Maillot. Mógł sobie tam pozwolić na langusty i armagnaki, jako że jego obrazy w rodzaju tradycyjnego "Targu kwiatów przed kościołem świętej Magdaleny w Paryżu" zyskały uznanie i mecenat ludzi bogatych, jak na przykład przemysłowca Stefana Laurysiewicza i jego żony z rodziny Oderfeldów, znanej z życzliwości dla artystów.

...Wśród kapistów ujrzyć też można było Jacka Pugeta, już wkrótce po ich przybyciu do Paryża. Lubili wszyscy tego abnegata o chocholej fryzurze, który w przeciwieństwie do swego ojca, także rzeźbiarza - Ludwika Pugeta, nie miał ani jego nienaganych manier, ani wrzosowej fajki, ani eleganckich butów; ba! w ogóle nie miał porządnych butów! Nie do pomyślenia też było, aby ojciec, uwielbiający dobre towarzystwo i fachowe dysputy o Bourdelle'u, o Despiou, mógł tracić czas na czytanie poezji jakiemuś Chilijczykowi i uczenie go z własnej woli polskiego języka, tak jak to czynił syn. Ów cudzoziemiec mieszkał w sąsiedztwie Jacka, który całymi godzinami tłumaczył

mu z przejściem utwory Juliusza Słowackiego, w tym najbardziej ukochanego "Króla Ducha".

Kiedys ujrzała go w takim translatorskim transie Bella i prawie że zmuszając do wyjścia z ciemnej nory na słońce zauważyła, gdy wstał, że ma całkiem zdarte buty. W przeciwieństwie do swoich niektórych kolegów z grupy, znających raczej przelotnie "Bellę z Montparnasse'u", traktował ją z sympatią, pobłażliwie, nie unikając nawet jej wielomóstwa i pozwalając prowadzić się tym razem w kierunku sklepu z obuwem. Pieniądze na zakup dał dystyngowany Puget - senior, acz z niechęcią, bo "Jacek jest taki nieporządny, nieodpowiedzialny i w dodatku - krnąbrny syn".

Idą więc - Bella, Jacek i cała kompania do magazynu, kolektywnie wybierają mu nowe buty w miejsce zdartych do niemożliwości kamaszy, przy zupełnej obojętności i desinterese obdarowywanego. - Jaki chcesz kolor? - Może być czerwony! - odpowiada. Wygląda w nich jak bocian, więc choć mu się dosyć podobają, ostatecznie za radą Belli wychodzi w brązowych; notabene i tak wkrótce gdzieś mu je ukradną.

Ileż więc zajęć ma Bella w tym Paryżu, i to związanych nie tylko z jej pracą czy własną osobą. Przede wszystkim należy pomagać artystom - postanawia - i to nie tylko przez załatwienie butów. Trzeba na przykład starać się umocnić Leopolda Zborowskiego, dobrego marszanda (a znacznie gorszego poetę) w przekonaniu, że tak jak Modiglianiego, warto wylansować Chaima Soutine'a.

- Urządź mu jak Modiemu wystawę w Ameryce, zbijesz na tym znów kupę forsy - zachęcała marszanda. Zborowski o artystycznie przystrzyżonej i pięknie uczesanej czarnej brodzie, wygodnie wyciągnięty na rozgrzebanym barłogu Jacka Pugeta w dość obskurnej izdebce, słuchał gorączkowych, szybkich słów Belli z pewnym pobłażaniem; sam wiedział, że warto zainwestować stałą miesięczną sumkę w Soutine'a, w zamian za prawo do jego malowanych aktualnie obrazów, że warto też lansować Eibischa i podsuwać co bogatszym nabywcom prace jeszcze innych, na razie nie wylansowanych, gromadzone we własnej galerii na rue de la Seine. Przytakując, potwierdzając, rzucając od czasu do czasu jakieś uwagi, głąskał równocześnie łeb bezpańskiego kundla poddającego się z ufnością ludzkiej dłoni: przyniósł go tutaj trzęsącego się z zimna, znalezionego gdzieś na trotuarze przy placu Odeon. Był nie tylko dobrym marszandem, ale i dobrym człowiekiem.

Bella promieniała: więc i ona ma swój udział w formowaniu opinii, w podsuwaniu pewnych sugestii Zborowskiemu. Widząc pensjonarską radość, utwierdzał ją jeszcze dobrotliwie w tych ambicjach i przekonaniu, stawiając jakieś pytania, niby się jej radząc...

Jak to cudownie czuć się Bellą z Montparnasse'u i po takich rozmowach ze Zborowskim widzieć tylko słońce, choćby nad Sekwaną rozciągały się deszczowe chmury i mgły, zasnuwające nadbrzeżne bulwary. Wtedy można nawet uwierzyć w prawdziwego maharadżę i w skarby, które skłonny jest składać u jej stóp przebrany za Turka pewien młody, biedny poeta z Warszawy na pewnym balu w Paryżu.

I jak to jest wspaniale, gdy można różnymi sposobami pomóc artystom w zniszczonych kamaszach, którzy oprócz swej sztuki nie widzą zdartych zelówek, oglądają jedynie z zewnątrz "Casino de Paris" czy "Moulin Rouge" o żarzących się kolorowymi lampkami skrzydłach wiatraka, nie słuchają piosenek Mistinguette i Maurice'a Chevaliera, modnych, nuconych wówczas w

Paryżu: "Valencie, fleur perverse" i "Valentine, Valentine"... Łatwiej teraz, gdy jest się już tak zwaną narzeczoną, wybraną architektką Gelbarda, zaprosić od czasu do czasu swoich znajomych z cygańskiego bractwa na koszt Jerzyka nawet i do takiej "Coupole", gdzie jada się langusty i pije barsaca! Jerzy ma teraz dużo pieniędzy, udał mu się znakomicie projekt polskiego pawilonu na Wystawie Sztuki Dekoracyjnej. Co to za frajda przetrząsnąć się tam nagle, choćby na jeden kolacyjny wieczór z takiego "Leona" czy z "Rendez-vous-des chauffeurs" albo z innych, nieco apaszowskich lokalików, choć czuła się nawet weselej i zabawniej w takim otoczeniu, gdzie nierzadko można było usłyszeć w argot - przekleństwa, kłótnie i ujrzeć błysk noża.

Pod koniec 1925 roku mała muza polskich artystów na francuskim Montparnassie wybiera się z narzeczoną na bal urządony przez kapistów dla poratowania ich nie za pełnej kiesy.

Do tańca mają tam przygrywać Murzyni "wypożyczeni" przez Czapskiego od jakiejś bogatej ekscentrycznej Amerykanki. Dla kapistów i biednych zaprzyjaźnionych z nimi malarzy będzie to nie tylko zabawa pod szyldem Polskiej Akademii - ASP, ale przede wszystkim dochodowa impreza; bo pieniędzy potrzebowali bardzo i na życie, i na kupno farb, płótna, pędzli, i na opłacenie mieszkań, pracowni...

Wiedzieli, że aby odnieść pełny sukces, należy zapewnić sobie uczestnictwo paryskiej socjety, zamożnych ludzi i obstarwić Honorowy Protektorat nazwiskami znanymi i liczącymi się w eleganckim "mondzie".

Już na początku spotkało ich ciężkie, przykre rozczarowanie; mistrz Wacław Pankiewicz najpierw przyjął ten zaszczyt, a potem sprawił zawód. - Nie mogę, moi kochani - tłumaczył się. - Muszę wycofać swoją poprzednią zgodę, gdyż dziekan naszego wydziału malarskiego Władysław Jarocki przysłał pismo, że trudno uznać was za absolwentów ASP, skoro nie macie jeszcze dyplomów.

W ślad za Pankiewiczem poszła i pani ambasadorowa Chłapowska. Co robić? Snobistyczny Paryż wtedy tylko przyjdzie, gdy wyczyta w zaproszeniu wspaniałe nazwiska protektorów. Niezawodny okazał się, jak i w wielu innych sytuacjach - Józef Czapski; na jego prośbę kuzynka Dolly Radziwiłł zgodziła się objąć protektorat. A i Pablo Picasso, dowiedziawszy się o ich kłopotach, pośpieszył z pomocą i jego imię zaślśniło obok księżnej Dolly.

Teraz już można było być pewnym powodzenia i gdyby nie szalbierstwo poleconego przez ambasadorową szefa bufetu - byłego carskiego generała Feina o olbrzymiej tuszy i jego przybocznej gwardii w postaci pań i panien bufetowych - białych emigrantek, byłych rosyjskich księżniczek błyszczących prawdziwą urodą i carskimi fałszywymi brylantami - to i sukces finansowy byłby znacznie okazalszy. Sprzedawali oni bowiem dania gorące i zimne, tudzież alkohole, nie na bloczki rozliczane z organizatorami, lecz za pieniądze, prosto do swoich kieszeni.

Na pociechę zostały organizatorom wspomnienia wspaniałych dekoracji, fantastycznie pomysłowych kostiumów, rekwizytów i atrakcyjnych gości: Picasso nie wypuszczając z pod pachy ogromnej lśniącej łuski ryby o rysunku i kształcie własnego pomysłu, Bonnard z gwizdawkami, których używał od czasu do czasu, aby "ożywić bal", Boraczok - kapista, wymalowany na Murzyna, w czarnym trykocie, w strzępiastej spódniczce ze słomy... No i Bella Szwarzówna (ukrywała wtedy swe krótkotrwałe małżeństwo z Hertzem,

twierdząc, że jest panną) z kandydatem na nowego męża - Jerzym Gelbardem, przebrana za indyjską księżniczkę; czerwoną kropkę na czole i ciemną wąską tajemniczą szramę na policzku wymalował jej podobno, jak utrzymywała, sam Picasso. Jerzy Gelbard, w czarnym fraku, odpowiednim na najbardziej wytworne przyjęcia i bale w dystyngowanym milieu liczącym się na rynku Paryża, odbijał od tych wszystkich ludzi przebranych za pierrotów, neptunów, syreny, Murzynów, Turków, wędkarzy, clochardów. I przez tę swą elegancję, właściwą w salonowym towarzystwie, tutaj stanowił właśnie samą czystą ekstrawagancję. - A mówiłam ci - szeptała przenikliwie narzeczona - przebierz się za Indianina! Teraz na pewno załujesz, że się tak odróżniasz od wszystkich...

Bella twierdziła po latach, że dobrze pamięta ową ogromną targową salę - Salle d'Agriculture, znajdującą się na terenie targowiska przy ulicy Grenelle, gdzie zazwyczaj handlowano zbożem. Na tę szaloną noc sufit przemieniono ogromnym malowidłem w błękit morza bielejący żaglami. Dzięki grze światła fale kołysały się, podpływając pod zieleń palmowych drzew, zmieniając kolory, wyrzucając ze swych głębi błyski złotych rybek, czerwien koralowych raf, srebrzystopopielate kształty morskich stworów. Na drabinach poumieszczano skrzydlate aniołki, zabawne, pękate, gdyż tułowia zrobione z długich worków wypchano trocinami...

Opowiadając o tym wszystkim, jakby to było wczoraj, żywo opisywała te kolory, kształty, brutalnie męskie spojrzenie Picassa, jakim przeszywał ją ów witalny Hiszpan, malując jaskrawą plamkę na jej czole. A na końcu opowieści, za każdym razem ubarwianej innymi szczegółami, wzdychała: - I pomyśleć, że ten człowiek nie starał się mnie nigdy potem uwieść, choć był tak obsesyjnie dziko seksualny, że nawet swoje modelki najpierw gwałcił, aby potem dopiero móc je rysować... Zresztą dodawała zazwyczaj ten wielki artysta pod względem charakteru był właściwie małym człowiekiem; na przykład w czasie wojny mógł bez ryzyka złożyć interwencyjny podpis, aby wypuszczono uwięzionego Maxa Jacoba, z pochodzenia Żyda, ale wykręcił się, wyparł znajomości z nim... Lepiej, że go bliżej nie znałam...

Śmierć, życie, i adieu Paris!

...Starość'? To się może wszystkim innym przydarzyć, ale nie mnie. - Uciekała od niej różnymi sposobami, nie chciała wiedzieć, że nadchodzi, że nadchodzi, że musi nadejść. Biegła tam, gdzie mogła żarłocznie cieszyć się życiem. Witała radośnie każdy dzień, każdy ranek. I nie chciała pamiętać - bo i po co - że ma już lat trzydzieści, trzydzieści pięć, że dobiega czterdziestki, że nie jest już szaloną panienką. W wieku dojrzałym z upodobaniem opowiadała, że ktoś powiedział do niej: "to dziecko", "ta dziewczyna", "dziewuszka". Czuła się jeszcze tak młodo w Paryżu, i potem w Warszawie, i nawet wtedy - po wojnie, gdy lata i przeżycia pobieliły pasam jej włosów.

Po cóż wpisywać więc do różnych ankiet rok urodzenia? Czy nie wystarczy, że był to listopad, piąty dzień tego miesiąca i że rządził wtedy znak Skorpiona? A rok? Rok nie jest taki ważny i dlatego można w urzędowych papierach raz umieścić go w wieku dziewiętnastym, to znów przeskoczyć, zmienioną cyfrą, w dwudzieste stulecie.

...Śmierć? W starości odpędzała zuchwale myśl o nieuniknionym końcu. - Jesteś w takim wieku - mówił jej gdy była młoda, w Paryżu, redaktor pisma "Zdrowie", doktor Bronisławski - że ta prawda nie dociera jeszcze do twojej świadomości.

Wkrótce jednak zetknęła się ze śmiercią, odczuła jej nienawistne tchnienie w chrapliwym oddechu Zygmunta Miklaszewskiego, dawnego kolegi z "Polonii", a obecnie z "Biblioteki Polskiej", ujrzała ją w jego zachodzących mgłą niebieskich oczach. Wiedziała, że niedługo znieruchomieją przeraźliwie chude przezroczyście palce, którymi próbował jeszcze chwytać przynoszone przez nią żółte nagietki.

Uciekła ze szpitalnego pokoju, gdy pewnego dnia wniesiono przy niej parawan, pojawił się ksiądz ubrany w komżę i zakonna siostra trzymająca w ręku płonąca gromnicę...

- Nie rozpaczaj tak po tym Zygmuncie, przecież był tylko twoim współpracownikiem, pomocnikiem w księgarni - uspokajała zapuchniętą od płaczu Bellę stryjeczna siostra Jerzego, Jadwiga Zakowa, także rodem z Częstochowy.

- Jak pani pokaże się w takim stanie narzeczonemu? - gderała pani Martineau z hoteliku "Unic".

- A co powie twoja mama, która przyjedzie aż z Barcelony, aby cię zobaczyć? Pomyśli, że to ja tak doprowadzam cię do łez. Twoja siostrzyczka Ela, stworzenie ponoć dość złośliwe, jak mówiłaś, ucieszy się twoim wyglądem - Jerzy próbował zwrócić myśli narzeczonej w inną stronę.

Jak szybko biegnie ten czas... Przecież wydaje się, że to tak niedawno pisał do niej listy do Wiednia Broniewski, przysyłał książki i numery "Skamandra", zegnał ją na warszawskim dworcu, gdy jechała do Berlina z myślą o Paryżu. Teraz znów otrzymuje od niego list z wiadomością, że Jasieński przyjeżdża wkrótce do Paryża, może pojawi się już na święta Bożego Narodzenia, w grudniu 1925 roku.

Broniewski prosił Bellę w imię uniwersyteckiej przyjaźni i indeksowych przysług, aby skontaktowała przybysza ze stałym bywalcem "Caf???e??? du D???o???me", korespondentem warszawskiego "Naszego Przeglądu" - Michałem Weinzieherem, który będzie mógł mu zapewne ułatwić passe-partout do teatrów i na różne imprezy, oraz aby uprzedziła malarza Henryka Gotliba, że Bruno jest wielkim artystą, poetą i że ma pewne zamierzenia; mogą one zainteresować i jego - Gotliba, mającego tak dużą pracownię malarską na Montmartrze. "Jasieński jest teraz całkiem "jednotorowy", myślą kroczy tylko po jednej ścieżce" - dodał przy końcu listu Broniewski.

Jednotorowy? Co za określenie! Ach, to aluzja do słów Witolda Wandurskiego, który kiedyś w Warszawie powiedział o Broniewskim: Władek jest dwutorowy: Rewolucja i "Ziemiańska"... Podobała jej się wtedy ta definicja, podobnie jak i w odpowiedzi rymowana fraszka ułożona przez poetę:

Pouczał mnie Wandurski, jak mam pisać twardo,

Jakie wiersze są gorsze, a jakie są lepsze.

Witoldzie, jeżeli cenisz tylko chleb z musztardą,

Nie przychodź do "Ziemiańskiej", bo ciastko popieprzę...

...Jasieński po przyjeździe do Francji nie miał czasu na żadne "Ziemiańskie" w wydaniu paryskim. Jadał skromnie i mieszkał skromnie na dolnym Montmartrze w pobliżu kabareciku "Niebo", choć ślepy, brudny zaułek i dom, w którym wynajął izdebkę, i całe to otoczenie arabskich i algierskich nędzarzy bardziej przypominało "Piekło", którym to mianem obdarzono drugi podejrzany lokalik, mieszczący się niedaleko Impasse Polissoniere.

Podczas kilku spotkań z Jasieńskim - jedno Izabella przeznaczyła na skontaktowanie Bruna z Gotlibem - poecie nie udało się wzniecić w niej entuzjazmu dla swej idei: zaadaptowania poematu "Słowo o Jakubie Szeli" na potrzeby robotniczej sceny i wystawienia go jako sztuki w wykonaniu robotniczego zespołu. Była już tak daleko od tych spraw i choć przychodziła czasami na próby, które odbywały się w pracowni uczynnego Henryka Gotliba, to jednak nie podniecały już jej jak dawniej te wszystkie słowa pełne klasowej nienawiści i buntu. I nie dała się też namówić na wyjazd do St. Denis, aby zobaczyć teatralną prapremierę "Słowa" i usłyszeć rewolucyjne kwestie wypowiedziane ustami prostych ludzi kobiet i mężczyzn, polskich robotników. To całkiem obce już teraz dla niej lądy i egzotyczny, jak z innej planety, świat chłopstwa, wiejskiej biedoty.

Jej świat to teraz Montparnasse. Musi jeszcze nacieszyć się nim, szczególnie że wkrótce pożegna go wyjeżdżając - na zawsze do Warszawy. Teraz obchodzą ją jedynie starzy przyjaciele, miłość połączona z myślą o małżeństwie z Jerzym i wspólnym z nim życiu.

Myśli teraz o swoim mieście nad Wisłą po kilku spędzonych tutaj latach, z niecierpliwą tęsknotą, równą gorączce ostatnich tygodni w Paryżu. Ileż zajęć, wizyt, pożegnań i powitań... Mieszają się dni w tym młynie, mylą daty i twarze, nazwiska tych, którzy przybyli tutaj niedawno z Polski. Są jeszcze tacy młodzi, pełni nadziei na przyszłość ci wszyscy architekci, malarze, poeci, rzeźbiarze; Bohdan Pniewski, Tadeusz Cieślewicz - junior, Feliks Kowarski, Jastrzębowski, Stryjeński, Kuna...

Ostatnie miesiące nad Sekwaną to jeszcze zabawnie sepleniący Xawery Dunikowski w beżach kapelusza o szerokich skrzydłach i w fałdzistej, długiej pelerynie, to obiady w czwórkę: z mamą Felicją Janiną z domu Kino-Schwartzową, z siostrą Elą i z narzeczoną, który zapraszał wszystkie trzy do eleganckich lokali w rodzaju: "Brasserie Montparnasse" czy "Coupole", to zapach wspaniałych bukietów róż z kwiaciarni Baumanna przy Avenue Montparnasse. Jerzy, człowiek "o wytwornym sposobie bycia", dawał je nie tylko narzeczonej, ale i przyszłej teściowej, także bardzo dystygowanej, o nieskazitelnym - w przeciwieństwie do swej najstarszej latorośli - manierach.

Paryż ostatniej przedwojennej wiosny to dla Izabelli także białoróżowe stożki kwiatów kasztana, fiołki parmeńskie, które Jerzy przynosił na spotkania w Ogrodzie Luksemburskim, to jego tam pocałunki aż do zawrotu

głowy. Zapominała wtedy o całym otaczającym ich świecie, ale trwało to krótko, bo jego słowa: - Przepraszam, ale przy tobie można o wszystkim zapomnieć - wypowiedziane tonem, jakby się usprawiedliwiał, zaraz przywracały ją rzeczywistości. I wtedy czuła lekkie rozczarowanie: - Czyżbym nie była zdolna wzbudzać takiej żądzy, że Jerzyk może w danej chwili tak się opanować'? Nie, on jest po prostu dobrze wychowany, a i tak rzecz to niezwykła, że całował mnie w miejscu publicznym. I powinnam cieszyć się z tego i być dumna jako kobieta, że on, tak przecież męski i o dużym temperamencie, umie się opanować... Widać mnie, niestety, zbyt szanuje i dlatego tak usilnie nalega, abym została jak najprędzej jego żoną. Nie chce nawet słuchać, gdy mówię, że na razie jest swobodniej dla obojga i romantyczniej być narzeczoną i narzeczoną...

Wolałaby być rzeczywiście jeszcze długo tą "narzeczoną z Montparnasse'u", ale Jerzy pragnął jak najszybciej zawieźć ją do Częstochowy, przedstawić matce, ojcu - szanowanemu tam lekarzowi, siostrom: starszej Sewie i młodszej - Ali. Jego ojciec był już z wizytą u jej ojca w Warszawie... Bella wyobraża sobie, jak mogła wyglądać ta ich rozmowa i krztusi się ze śmiechu.

- Idźmy do ślubu jeszcze w Paryżu, pojawmy się w Warszawie już jako małżeństwo - przekonywał Jerzy.

Ślub dał im urzędnik z St. Sulpice. W związku z tą kameralną uroczystością w "Caf???e??? du D???o???me" odbyło się małe przyjęcie, na którym Ilja z żoną - Erenburgowie składali życzenia młodej parze. Z Warszawy nadeszła na czas depesza od ojca: "Życzę. Wam wiele lat szczęścia... stop... Belusiu, kiedy przyjedziesz do domu z mężem... stop... Czekam z utęsknieniem... stop... Był u mnie z wizytą doktor Gelbard z Częstochowy... stop... Wszystko w porządku... stop... Czekam... stop... Tatuś".

Teraz już wszystko nagli: ojciec nagli, Częstochowa nagli, nagli Warszawa. Nie zdąży już chyba zobaczyć nowych filmów mówionych i murzyńskich modnych spektakli w języku angielskim w "Moulin Rouge". Należy pożegnać się z tymi, którzy tu zostają, a jest ich niemało. Chciałaby wpaść z pożegnalną wizytą do atelier przy Boulevard Montparnasse do Olgi Boznańskiej, choć z obrzydzeniem będzie znów patrzeć na mrowiące się wszędzie białe myszki, udając fałszywą dla nich tkliwość i podziw - "jakie to są śliczne i miłe" - aby nie urazić ich opiekunki. Ta wielka artystka bowiem, w czarnej żałobnej sukni do ziemi, z bufkami u ramion, z postiche - wałeczkami włosów przypiętymi do głowy, w ten sposób rekompensowała zapewne swą nieszczęśliwą miłość do Ludwika Solskiego, przenosząc wzgardzone uczucie na te stworzonka i dodatkowo jeszcze na starego ratlerka cierpiącego na fluksję.

No i koniecznie trzeba spotkać się jeszcze w "Rotonde" z Czyżewskim, z Kramsztykiem, z Guciem, Jackiem Pugetem w butach, które niegdyś były nowe i całe, z Szymonem Syrkusem, z Elkuchenem, z zawodu podobnie jak Jerzy architektem, z Jadzią Zakową... I ku zgorszeniu narzeczonego i pełnej jego dezaprobaty musi uściskać jeszcze znaną na Montparnassie hebanoskórą Aischę o skręconych w sprężyste pierścionki czarnych włosach, która nie mogła zapomnieć i ciągle jeszcze wspominała doktora okulistyki Bolesława Wieniawę-Długoszowskiego, będącego teraz tak od niej daleko, gdzieś w Warszawie przy jakimś marszałku.

Napisz mi, Izabello, gdy będziesz już w tej swojej Warszawie, co on teraz

robi? Czy przyjedzie kiedyś znów do Paryża?...

Rozmawiając z Aiszą przy kawiarnianym stoliku, Bella zauważyła zbliżającego się Soutine'a. - Chaim, chodź do nas - zawołała. Chciała podziękować mu jeszcze raz za ten portret. - Żal mi się rozstawać z tobą - mówiła - ale ten obraz, gdzie mnie wymalowałeś, będzie częścią ciebie w Warszawie... - Nagle posmutniała i przemknęło jej przez głowę pytanie: - czy będąc już w Warszawie nie zatęskni z kolei znów za Paryżem?

Myśl ta nie opuszczała jej aż do dnia odjazdu. Ale po cóż mnożyć wątpliwości, zaczynać dostrzegać cechy "francuskiego mieszczanina" w Jerzym, w jego strofujących uwagach o nieodpowiednich przyjaźniach, na przykład z Aiszą, gdy już stoi się na stopniu wagonu?... Należy więc tylko spróbować uśmiechnąć się radośnie do małżonka i patrząc na zamglony Paryż podnieść rękę w geście pożegnania: - Adieu, Paris! Adieu, Montparnasse!

"Dużo było Belli, ale rozdrobnionej"

"Bella z Montparnasse'u" stała się teraz nieoficjalnie "Bellą z "Ziemiańskiej"", a oficjalnie Izabellą secundo voto Gelbardową. W Warszawie nadal istniała bowiem "Ziemiańska", zapach kawy, wanilii i świeżych paczków. Oprócz dawnych bywalców - artystów, poetów, pisarzy pojawili się tam nowi goście. Ale nawet i oni, choć jej przedtem osobiście nie znali, wiedzieli z literackiej plotki, że to ona jest pierwowzorem wtkiewiczowskiej Heli Bertz.

Niedawno przyszedł do mnie list z Londynu od nieżyjącego już dziś pana Feliksa Topolskiego (notabene jego to rysunki zdobią powojenną książkę Czajki o Franzu Fiszerze i o innych bywalcach "Ziemiańskiej" pt. "Moja wielka miłość"). Artysta znad Tamizy przywołał w tym liście (pisanym prawie dwadzieścia już lat po śmierci Czajki) żywy jej obraz właśnie z tych warszawskich trzydziestych lat, załączając przy tym nie publikowaną dotąd fotografię. Idą tam razem pod rękę ulicą Kredytową; w głębi widać balkony domu przy Traugutta: ona smukła, wysoka, nieco nawet wyższa od niego w tych swoich półbucikach na słupku. Wcięty płaszcz, zdobny szalem z futra, jeszcze bardziej podkreśla smukłość jej figury. Głowę w strojnym, nieco ekstrawaganckim kapeluszu przekrzywiła po aktorsku, uśmiechając się lekko, podczas gdy półprzymknięte oczy pod ciężkimi powiekami zdawały się nie widzieć obiektywu ulicznego fotografa.

"Była jedną z moich przyjaźni - "cafe society"; przyjaźnie takie zawsze zalicza się do "wspominków"; nie zasługują na ważność wspomnień - pisał Topolski. W sumie dużo wtedy było Belli, ale rozdrobnionej na drobną monetę

drobnych (szczęśliwych!) przeżyć w Warszawie. - W nawiasie godzin południowych wokół "Ziemiańskiej", później dopełnianych kawiarnią IPS-u i rozciągniętych ku barom Wróbla i Europejskiego, mieściły się nasze zasięgi kontaktów z warszawskim światkiem i moje z Bellą. Główną sprawą była bowiem dla mnie wtedy Akademia Sztuk Pięknych i ona dawała mi bogactwo koleżeństwa we wspólnym szkoleniu malarskim. A "Ziemiańska" to było moje wykształcenie towarzysko-życiowe i Bella była tam jednym z moich pedagogów, bo trochę starsza, ale przede wszystkim "światowa". Zwracała nie tylko moją uwagę już samą swoją postacią, a że może młode inklinacje we wczesnych latach trzydziestych skłaniały się ku blondynowatej urodzie, więc kierowałem ku niej i ja swe spojrzenie, tym bardziej, że Bella zstąpiła wtedy na Warszawę w aureoli zagraniczności "hors concours"; była też w każdym względzie poza przyjętymi miarami "urody"; wzniosła w formie i wzroście, na smukłych, długich nogach i obdarzona obliczem (bo twarz to za skromne słowo) tak znamienne semickim (oczy, nos), co nie umniejszało, a właściwie koronowało całość Belli w uosobieniu starotestamentowego judajskiego majestatu. I w znamienym kontraście (albo podkreśleniu) dominowała w niej żywotność, pęd do życia. Pełna dobrej woli, nawet ofiarności, barwiła się świetną wesołością. Jej mąż, doskonały architekt (na marginesie - poważny i utalentowany malarz) pomnażał kontrasty domu Gelbardów. A do którejś tam potęgi wzbogacał aurę ich domu (tudzież stolika w kawiarni "Ziemiańskiej") ogrom Franza Fiszera, którego Bella przyhołubiła do siebie na stałe".

... W 1930 roku, wkrótce po przyjeździe przeczytała wzmiankę w gazecie, że w grudniu zostanie otwarta w Warszawie w Polskim Klubie Artystów "Polonia" wystawa malarska kapistów. A więc Paryż, choć w takim małym odprysku, pojawi się tutaj razem z tymi, których niedawno żegnała, razem z ich obrazami, które niekiedy w trakcie powstawania widywała w paryskich pracowniach.

Przemijanie

Na łamach "Wiadomości Literackich" i innych pism pojawiały się teraz coraz to nowe nazwiska, a przy kawiarnianych stolikach - nowe twarze. Często były to młode kobiety, wchodzące dopiero na literacką giełdę - poetki, pisarki, publicystki. - Cóż za niespodzianka! - zauważyła kiedyś, jakby zaskoczona. - One są chyba dużo młodsze ode mnie, to mi się dotychczas raczej nie zdarzało... Ale co to szkodzi, niech sobie też chodzą do "Ziemiańskiej", do Wróbla, do "Adrii", niech przysiadają się do stolika Gombrowicza w "Zodiaku", niech zagląдают do "Cristalu" na skrzyżowaniu Alei Jeruzolimskich i Brackiej ciągnąc za sobą męskie orszaki. I niech Ludwik Hieronim»Morstin załamuje ręce, ni to żartując, ni pisząc poważnie w "Wiadomościach Literackich", że literatura nasza idzie dziś za rydwanem istot najbardziej nieodpowiedzialnych, jakimi są kobiety".

Niech sobie te nowe gwiazdy, polskie Safony, wydreptują własne ścieżynki, niech nawet feministycznie solidaryzują się, niech stają się społecznicami

lub odwrotnie - egocentrycznymi indywidualistkami! Ona - Bella - wciąż jeszcze smukłonożka, wciąż o sprężystej sylwetce, niepowtarzalna, jedyna, daleka od ambicji bycia pisarką, nadal jest spragniona popularności tak jak ongiś, i to nie tylko w kręgach literackich.

Pisanie nie jest jej pasją i zawodem. I choć wypadło w pewnej sytuacji pokazać, że umie trzymać pióro w ręku i zdobywać się na polemikę, strzepując recenzję o "Narkotykach" Witkacego, to była jedynie dość nieporadna, sztuczna w swej stylistyce próba złośliwość na temat przygód "młodego juhasa o sile średniego wzrostu tura, ożywionego zdrową chęcią poznania wszystkich tradycji uświęconych rozkoszy, jakich mogłoby nam dostarczyć zdrowe ciało, utrzymane w dodatkowej sprawności systemem M??u??llera".

Och, Bellu, co za tasiemcowe refleksje! Wypadniesz już nieco lepiej, gdy z własnych przeżyć wysnujesz w kilka lat później opowieść o swojej podróży w świat, o morskim rejsie "Batorym", poprzedzonym kolejową podróżą przez Wiedeń do Triestu, gdzie czekał na pasażerów ów polski statek.

Wiedeń to nie tylko przystanek na drodze do Triestu, ale i wspomnienie - blade już, prawie zatarte, wspomnienie o Olku. Może by i nawet, w gorączce podróży, w marzeniu o czekających ją wrażeniach nie pomyślała tam o swoim pierwszym mężu, gdyby tuż przed wyjazdem z Warszawy nie spotkała Romana Kramsztyka, nie poszła z nim na kawę do "Małej Ziemiańskiej", gdyby on nie przypomniał jej Aleksandra i gdyby nie odbyła się taka rozmowa:

- Czy wiesz, że Aleksander Hertz pracuje teraz na Wydziale Reżyserskim PIST-u; wykłada tam o teatrze.

- O teatrze? - zapytała ze zdziwieniem.

- Tak, a ściśle o socjologii teatru; przecież chyba to pamiętasz, że był socjologiem. Niedawno, o tu w "Małej Ziemiańskiej", nawet przy tym samym stoliku, gdzie siedzimy, Horzyca zapoznał Olka z Leonem Schillerem i ten, olśniony jego inteligencją i wiedzą, zaproponował mu te wykłady w Państwowym Instytucie Sztuki Teatralnej.

Wciąż jeszcze otaczała Bellę atmosfera pewnej towarzyskiej sensacji, wciąż jeszcze wokół niej coś się działo, wciąż przewracano kartki "Pożegnania jesieni", rozszyfrowując sytuacje i osoby, ukryte pod innymi nazwiskami, przetworzone specyficznie witkiewiczowskim sposobem, poosnuwane jak kokony w kilkuwarstwowe ochronne oprzędy. A ona sama - główna bohaterka, niby była łatwa do uchwycenia, ale jednak wymykała się, raz po raz, z zaszufiadkowanej przestrzeni. I ciągle trzeba było zadawać sobie pytania:

Czy rzeczywiście przeszła na katolicyzm, jak w wizjonerskim transie przepowiadał jej to autor i jak sama potem pisała: "przejście na katolicyzm, ksiądz Wypszyk, wróg Witkacego, zwyciężył!"... I czy przy tej ceremonii na pytanie: "Wyrzekasz się złego ducha i spraw jego?" chwycił ją ze wzruszenia kurcz za gardło, oczy zaszły łzami i nie mogła wydusić słowa?... I czy ją miał na myśli Witkacy, opisując jak po spowiedzi u tego wymyślnego księdza Wypsztyka przemieniła się wewnętrznie i stanęła przed nim "przelśniona zaświatowym zachwytem (...) już nie dawna ordynarna, rozhisteryzowana, nad miarę ładna i mądra Żydóweczka"? I czy podczas ślubu grały organy "Andante z 58 Symfonii" Szymanowskiego?... Czy goście weselni rzeczywiście "żarli i pili bezczelnie", a "wisząca nad głową rewolucja

podniecała najniższe (czemu najniższe) apetyty?"... I czy była już wtedy świadoma swego egocentryzmu i prawdy słów ojca, gdy mówił: "Mąż będzie dla ciebie zawsze dodatkiem"?... Czy rzeczywiście uwielbiała łakome spojrzenia mężczyzn i wznoszące się ponad banał komplementów ich pytania w rodzaju: "Czymże jest cała przyszłość w porównaniu z jednym centymetrem tej pięknej skóry i jej dotknięciem?"...

Przyszłość?... Czy Bella patrzyła w nią z popłochem, czy dręczyła się uciekającym czasem i szybkim mijaniem chwil, stylizując się na wesołość, aby ukryć melancholię? Można przypuszczać, że rodziło się w niej coś na kształt niepokoju bardziej z przyczyn natury osobistej niż ze świadomości zagrożeń politycznych od wschodu i zachodu. Jej uszy nie były czułe na niepokojące sygnały, wieszczące w niedalekiej już przyszłości niebezpieczeństwo, grozę gett, obozów śmierci, lecz wychwytywały jedynie głosy, w których pobrzmiwało udawane współczucie, o romansie Jerzego z jakąś panią Stefą, rozwódką, czy wdową... Romans musiał być poważny, a rywalka bardzo atrakcyjna, gdyż Jerzy zaakceptował nawet i to, że miała dwoje dzieci.

Bella po raz pierwszy w życiu zaczęła nagle odczuwać gorzki smak tego, czym nieraz sama, bez specjalnego zatroskania, karmiła swoich mężczyzn. I po raz pierwszy próbowała wziąć poważniej, na serio, aluzje Jerzego, że człowiekowi pracy, a szczególnie architektowi, jest potrzebny prawdziwy, rodzinny dom z żoną, która będzie go cenić bardziej niż kawiarnie, z dzieckiem, które może stać się jej bliższe niż nawet sam Franz Fiszer.

W tej sytuacji Izabella Gelbardowa decyduje się na potomka, choć nigdy przedtem nie pragnęła przedłużać w ten sposób swego istnienia.

Ciężka jest waga słów: na próżno... za późno... Dziecko - córeczka - urodziło się martwe. Jerzy, choć nie myślał o rozwodzie, był nadal związany z tą inną kobietą, pełną oddania i wewnętrznego spokoju. Wychowany w przykładowej inteligentcko-mieszczkańskiej rodzinie, cenił sobie wielce stabilność, odpowiedzialność, ład w życiu, wytchnienie po pracy w domu, z towarzyszką życia przy boku, a nie w towarzyskim rozgardiaszu.

Tak więc Bella, choć nadal otoczona ludźmi, nadal czyniąca wokół siebie zgiełk i hałaśliwe zamieszanie, wciąż obecna przy stolikach artystów, została właściwie w tym czasie, na krótko przed wybuchem wojny sama. I już nie była tak młoda, choć nadal - może na pozór - całkiem irracjonalnie beztroska, mimo że na literackim firmamencie Warszawy mogły wzbudzać zazdrosne zaniepokojenie nowe gwiazdy o fascynującym blasku; taka na przykład Zuzanna Ginsburg (o późniejszym pseudonimie: Ginczanka) rodem z miasteczka Równe na Wołyniu, która niedawno jeszcze jako siedemnastoletnia dziewczyna otrzymała wyróżnienie w "Turnieju Młodych Poetów" na konkursie "Wiadomości Literackich".

Młoda adeptka pojawiła się w Warszawie tuż po maturze, zwracając na siebie uwagę bywalców kawiarni przy literackich stolikach, redaktorów pism - swoim talentem, a może jeszcze bardziej urodą, niezwykłymi oczami -jednym niebieskim, a drugim burozielonym, z zachwytem, ale i lekką ironią otwartymi na wszystko, co wokół niej, niedawnej prowincjuszki, działo się w stołecznym mieście. Impet młodości, talentu, szybki druk utworów na łamach stołecznych pism.

Gdzież równać się było grafomańskim w istocie wierszom Izabelli i jej samej do Zuzanny, choć - może się wydać to dziwne - miały one w pewnej

mierze wspólne cechy osobowe.

Zuzanna drukowała liryki w "Skamandrze", satyryczne wiersze w "Szpilekach". Umiała być bezkompromisowa, ostro oceniając w takich na przykład "Słówkach": "Byłych Uczniów, Byłych Studentów", Byłych Dawnych Bojowników Ideowców, dziś - Ministrów, Publicystów, Adwokatów, dla których dawne słówka "z nauki obcych języków: Libert??e??, Egalit??e??" były już teraz tylko pustym dźwiękiem. Poetka młodsza o całe pokolenie od Belli była tak jak i bohaterka "Pożegnania jesieni" też skłonna do kpiarskiej autoironii, do podpisywania się dowcipem, do otaczania się różnymi ludźmi. I podobnie jak ona pragnęła, aby "dookoła niej nieustannie trwał szmer podziwu i zachwytu". Mimo to drobnych podobieństw pozostawały w stosunku do świata na całym innych płaszczyznach. Zuzanna była, jak pisał o niej Jan Śpiewak, "poetką swego niepokoju, swojej namiętnej gwałtowności". Jej lęki były lękami wobec historii, a poezja - dojrzała, mimo przeżytych dopiero dwudziestu lat. Poza tym, przy całym jej towarzyskim instynkcie, można było podziwiać u tej młodej dziewczyny "umiejętność utrzymywania dystansu w stosunku do otoczenia". A Belli się nie podziwiała, Bellę się lubiło lub, rzadziej, nie znosiło, Bella bawiła, ale i mocno irytowała.

Bella - przyznawano - mimo iż zdawała sobie sprawę, że jej czas przemija i rola wiecznie młodej muzy nie jest już dla niej odpowiednia, nie była zawistna ani zazdrosna o młode i piękne konkurentki przy literackim stoliku.

I tak jak kiedyś starsi mówili do niej "córeczko", tak teraz ona przyjaźnie zwracała się tym pieszczotliwym słowem do Zuzanny i do innych młodych dziewczyn. I dalej błaznowała jakby nic się wokół niej nie zmieniało i jak gdyby przyszłość mogła przynieść jedynie same pogodne dni. Bezmyślność czy pewien infantylizm?...

Zuzanna nie miała w sobie nic z infantylizmu, choć jej dorosłość w sensie wieku jeszcze się na dobre nie zaczęła i wszystkie twarze nowych przyjaciół były dla niej pierwsze w tej literackiej Warszawie późnych lat trzydziestych, podczas gdy świat Belli z jej drugiego warszawskiego okresu, tryb życia, rozrywki, mistyfikacyjne gry, nie różniły się od tamtych zabaw z roku 1921 czy 1922...

Jedynie zmieniało się tło, dochodzili do kawiarnianych stolików nowi ludzie, zawiązywały się nowe znajomości. Widywano teraz Zuzannę często przy "zodiakowskim" stoliku Gombrowicza, gdzie spotkać można było także Otwinowskich, Lipińskich, Adolfa Rudnickiego, Stanisława Piętaka, Gizę Ważykową, Andrzeja Nowickiego, kolegę ze "Szpilek" Zuzanny Ginczanki. Ona była teraz ozdobą i atrakcją gombrowiczowskiego towarzystwa, uchylając sobie drzwi do literackich pomieszczeń zbiorkiem wierszy "O centaurach" oraz recenzjami, z których jedna w "Kurierze Porannym" zaliczyła ten tomik o pięćsetegzemplarzowym nakładzie do "jednego z najbardziej interesujących debiutów".

Na tej samej stronie "Kuriera" umieszczono, przypadkiem, kilka politycznych informacji, które już wtedy można było odebrać jako znaki ostrzegawcze przed tym, co nadciągało czarna, ciężka chmura. Czytając tę recenzję rozkoszowała się opinią o dojrzałości swoich wierszy. I cieszyła się pochwałami, którymi obsypywali ją nawet i prześmiewcy, że z tak niezwykłą wrażliwością umie wykazać "zmysłowe bogactwo i piękno świata". Kilka lat później, w 1944 roku, musi odejść z tego świata, pożegnać to piękno na dziedzińcu krakowskiego więzienia, gdzie zostaje zamordowana

przez Niemców.

Non omnis - moje dumne włości,
Łąki moich obrusów, twierdze szaf niezłomnych,
Prześcieradła rozległe, drogocenna pościel
I suknie, jasne suknie pozostaną po mnie.
Nie zostawiłam tutaj żadnego dziedzica...

- to fragment "Testamentu mojego" Zuzanny, pisanego skrycie na małej kartce w czasach okupacji, przejmującego, pełnego sarkazmu, bardzo gorzkiego wiersza - ostatecznego rozrachunku ze złudzeniami do człowieka.

Utwory Czajki z okresu wojny były całkiem inne, nie tylko nieporadnością artystyczną, ale i przez specyficzne spojrzenie na otaczający ją świat, na ludzi spotykanych na swej drodze w tych strasznych latach bezustannego zagrożenia. Gryzmoliła te wiersze zrazu w getcie, a później po wsiach i w podwarszawskich kryjówkach - pokojach, klitkach, zmienianych często w wypadkach zasygnalizowanego niebezpieczeństwa (notabene niedawno zostały mi udostępnione z prywatnych zbiorów i dlatego warto przytoczyć z tych ocalałych kartek niektóre fragmenty owych nieznanych wierszy). Bywały one nie tylko pieśniami buntu, stylizowanymi na mickiewiczowską improwizację - apostrofami w rodzaju:

Samotność dana od Boga?

(...)Pan skrył się za obłok czerwony...

(...)Zburzę Twe ołtarze (...) Niewidoczny, nieczuły na me wołanie!

Spraw cud! niech się skończy ta wojna z szatanem

Położ kres zbrodni, jaka nie istniała

Od początku świata (Przyznaj żeś się zarumienił

Łuną wstydu... Tyś był krwi spragniony

Tak jak ja życia! - Ty nienasycony śmierci...).

W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego

Błuznię - błuznię - Boże żywy, którego

w sercu noszę - Spraw cud. -

Uwolń nas od złego

ale i kornymi modlitwami - owocem rozważań prawie że mistyczki, dla której znak Chrystusowego Krzyża pozwala dźwigać z otuchą swój krzyż i cierpienie. Wiele z nieudolnych stron tej ukrywającej się, ściganej, wciąż zagrożonej śmiercią kobiety, jest, mimo wszystko, pochwałą życia, żarliwym pragnieniem zachowania go. Każdy, kto pomógł jej przetrwać i ocalić to życie, czy to będzie prosta chłopka, witająca ją po ucieczce słowami: "Adyć Pan Jezus pozwolił nam jedno życie ludzkie uratować" - czy kowal utykający na nogę (a więc Bella zaraz przyrówna go do boga Hefajstosa), czy młoda dziewczyna - jego córka, wszyscy oni znajdują miejsce w słowach jej rymowanek, pełnych gorącej wdzięczności i pytań: Kto im kazał suknię oddać, w którą się przyoblekłam? Kto kazał zrzec się własnej koszuli?... Dziewczyna, którą nazwie: siostra, prowadziła ją przez las do wiejskiej chałupy.

Ot, olszyny krzaki - ot, chata wejdźmy drzwiami kuźni...

Pochwalony niech będzie"... Ogień na kominie

Chleb, mleko, kasza i słodka śmietanka

"Bez woli Rogo Ojca i robak nie zginie"

- W pościeli leżę; spać, spać aż do rana

Niech będzie pochwalony... Chleba mi dali i mleka -

Niech będzie pochwalony, bo stworzył Człowieka.

Różne były koleje, ucieczki, przygody,

Danusia trwa wciąż przy mnie jak granitu skała

Było skwarnie i znojnienie - trudy, niewygody

Policja, chłop nas wydał... Nigdy się nie bała -

Teraz znowu na strychu, drżymy obie z chłodu,

Medytuję co robić, by nie umrzeć z głodu...

A teraz głucha noc - Danusia śpi spokojnie

Posłanie nasze na słomie się ściele

Cały dzień snujęm nić marzeń, jak będzie po wojnie -

Z dawnego świata ocalić dano mi niewiele,

Ale to najważniejsze przetrwało do końca

Wiara - w człowieka i miłość jasna i gorąca!

Aby dać świadectwo pełnej prawdzie, ukaże też i innych; przewina się czasem i szmalcownicy, szpicle, pojawi się szantażysta o pieśczośliwym imieniu "Jureczek": "Judasz - wiekuisty Judasz, co srebrniki liczy". Ale i

w najbardziej czarnych chwilach umie Czajka rozjaśnić swe myśli i patrzeć z zachwytem. zapominając o wszystkim co złe, na "jaśminową biel za oknem pachnącą ulewą", na lśniące w słońcu jak prawdziwe brylanty krople deszczu na gałązkach bzu. Wieczorem kładzie się na wypchany słomą siennik z irracjonalną wiarą, że już wkrótce, może od jutra "przyjdą ciche i spokojne noce". A gdy zapada w głęboki sen, przez męczące, groźne majaki przebija się baśniowa tęcza na niebie, spod której wypłynie "Batory" i ona znów ukaże się na pokładzie statku, a znajomy z tamtego prawdziwego rejsu oficer odrzuci "od czoła kosmyk włosów" targany wiatrem i ...

"O, nawet się pochyła i krzyczy: trzymaj się! już wkrótce
będziesz wolna, opowiesz mi wszystko przy śledziu i wódce"

Natura dawnej Belli z "Ziemiańskiej", mieszanka mistycznych nastrojów z żarłocznym apetytem na życie, zdolność kpiarskiego widzenia, określania zjawisk w aspekcie "hecy", przygody, "dziania się" (nie na próżno wyznał w czas ucieczek i zagrożeń: "Jeśli kiedyś pozwolą mi żyć, to się zanudzę albo zrobię coś okropnego"), a przede wszystkim - zwariowana wyobraźnia, to wszystko co w tamtych warszawskich latach było niekiedy przedmiotem dezaprobaty, teraz w warunkach strasznych i nienormalnych staje się zbawienne. Pozwala żyć nie tylko w jednym wymiarze, w klimacie grozy, oczekującego na śmierć skazańca. Umie mocą imaginacji przetwarzać śpiew ptaków w muzykę, kurom, kogutom, zależnie od ich urody, nadawać imiona: "Mitzi-Wiedenka", "Ciocia Karolcia", "Wojtek", "Belunia", a z pnia nad Świdrem, brzozowego gajku i przytaskanego kamienia stworzyć "Świątynię Dumania", w której ona, zwana przez kowala "siostrą poetką" będzie nie tylko składać rymy, ale w cykaniu świerszczy, kołysaniu się motyli i ważek nad rzeczką przeniesie się, przymknawszy oczy, na balową salę i usłyszy szmer podziwu: Co za piękna suknia, niech żyje królowa balu! Nieraz jeszcze przyplynie to złudzenie pryskające, gdy usłyszy głos kowalówny: Obudź się, czas iść do chałupy!

"Mój Boże!

Przecież to nie ja, tutaj - ja, w chałupie, bielonej komorze

Łatam kieckę dziurawą, szatkuję kapustę

"Królowa niechaj żyje!" - kartofliska puste

I szare zapłakane niebo i mgła hen pod lasem...

A tu czary wciąż trwają, czar pierwszy - muzyka...

Jest już szara jesień... Taka, jak popiół przesiewany przez Kopciuszka. Będzie lżej, gdy przymierzy swój los do losu tej sierotki, do bajkowej historii, opromienionej szczęśliwym końcem.

W izbie-kopciuszkiem, groch łuskam ze łzami
Czy gołąb puka w okno? Kareta z myszkami
Podjedźcie pod kuźnię?... Koniec października,
Liście opadły, wiatr wieje, chłód kości przenika -
Groch łuskam, na księcia czekam - jestem bardzo biedna
(Jak w bajce) i na śmierć skazana w ucieczce sama jedna
Przez siepaczy ścigana (jak w bajce pisane)...
A może to naprawdę? - Oczy zapłakane...
Nogi bose zamarznęte, serce ledwo bije
Co dzień bardziej zdziwiona, że wciąż jeszcze żyję
Chrustu naznosiłam, na kominie palę
W okno niebo zajrzało... - szare, smutne dale...
I czekam na księcia, na pewno przyjedzie
Czarne łabędzie da mi i białe niedźwiedzie
Pantofelki czerwone, koronę ze złota
A potem czar miłości najśłodziej omota...

Nawet i święty Antoni z Padwy, z obrazu wiszącego nad jej posłaniem w kowalowej izbie zostaje wplątany w miłosne sny. Dobry jest i rozumiejący ten święty, trochę tylko wstydlivy, zasłania szczelnie oczy, gdy dawny, z warszawskich lat kochanek dawnej Izabelli Gelbardowej, obecnie Stefanii Czajki, "rozcałowuje ją, rozkochuje, pozwala zapomnieć o dziejących się zbrodniach, o niepokojach" i o tym, jak się właściwie ona nazywa.

Wiersze, także i te z opisami snów, powstawały nie tylko w Warszawie, ale i w latach czterdziestych w Soplicowie, w Dobrzyńcu, w Śródborowie, w Otwocku i jeszcze gdzie indziej. Są one, mimo miernych walorów literackich, unikalnym świadectwem przeżyć skazanej na śmierć z racji swego pochodzenia uciekinierki z otwockiego getta, opisem jej codziennego bytowania, kryjówek, schronień na polskiej wsi, spotkań i rozmów z ludźmi z całkiem innych środowisk. Wszystko to było dla niej dotychczas nieznanym lądem, egzotyką, łącznie z pracami na roli, z sadzeniem kartofli, świetlistymi zagonami łubinu, olszynami, bielonymi izbami, powałami, mlekiem prosto od krowy dojonym w skopki, żniwami, zwożeniem siana z łąk, składowaniem po stodołach... Wiedziała, "że w lipcu zbierają siano" i "że jest na to słowo: sianokosy" - o tym słyszała przecież jeszcze w szkole, ale nigdy nie zetknęła się z tym wszystkim bezpośrednio:

Przecież wiedziałam, że w lipcu dojrzewają wiśnie

I że w lipcu są żniwa, że lato ważne jest dla roli

Nie wiedziałam, że kiedyś z słów tych treść wytryśnie.

Ten cały rytm natury, obrzędów, to, że "co wieczór odmawiać trzeba pacierze", rytuał obowiązków w polu, przy obejściu, gdzie nieudolnie, acz z pełną chęcią, próbuje pracować, w długiej spódnicy, w chłopskiej chustce na głowie, związanej pod brodą w podwójny supeł i nasuniętej na oczy, aby chroniła także i przed słońcem - to wszystko i ci niezdradliwi ludzie - stwierdza - pomoże kiedyś odbudować strzaskany świat.

Te niepublikowane wiersze, związane z jej ucieczkami, z polską wsią, pełne różnego rodzaju refleksji tworzą dokument o tyle niezwykły i rzadki, że autorka wyśpiewała swe przeżycia, doznania, nie tylko na jednej lamentującej nucie, nie tylko na jednym tonie skargi i ostatecznego przerażenia. Nie jest to jeremiada, w której mieści się jedynie groza, czarna przepaść, czeluść bez wyjścia. Oprócz "ohydnej trwogi" i "jak ranionego zwierza - ucieczek w popłochu, lodowatego zimna i głodu, widoku trupów, oczu oslepiętych od zgrozy, nieprzytomnych od strachu", są tam i "ludzkie łyzy gorące" nad jej niedolą i strawa ofiarowana, i płacz kowalówny, która niechce puścić jej samej w niebezpieczną wędrówkę. I są też tam nawet, choć gdyby nie chodziło o Czajkę, byłoby to nieprawdopodobne - dowcipne żarty, wesołe kpiny. Po chwilach napięć, śmiertelnej trwogi, po opisach strasznych scen jest zdolna tworzyć zabawne sytuacje, komediowo ujmować postacie, przywoływać ćwierkające ptaszki, dziwne koty, koguty, "radosne wróżki i czarodziejów.

Pamiętać? Zapomnieć?

I nie można się nawet zbytnio dziwić, że po wojnie nie mogły znaleźć miejsca w druku nie tylko te właśnie wiersze, ale i autobiograficzna powieść "Ocalił mnie kowal" (pisze o tym Dąbrowska w swoich "Dziennikach"), która dopiero po przeszło dziesięciu latach, w 1956 roku ukazała się w warszawskim "Czytelniku". Autor przedmowy, Jan Kott, lepiej niż niektórzy recenzenci i czytelnicy umiał wytłumaczyć specyfikę tekstu, a zarazem dać trafną charakterystykę samej autorki: "Książeczka "Ocalił mnie kowal" jest prawdziwa. Mówi o latach najstraszliwszych. Ale jak wszystkie opowiadania Belli nie przestała być baśnią. Nie tylko dlatego, że (...) wierna suczka ofiarowuje Czajkę w chwili jej największego smutku białą, webową chusteczkę (...). W tym opowiadaniu jest dobra wróżka. Jest nią córka kowala (...). Jest to baśń o dobroci, która jest silniejsza od głupoty, podłości i

nienawiści. I dlatego ta baśń jest prawdziwa".

Wielu jednak ludzi gorszyło się tego typu przedstawianiem owych najstraszliwszych lat. "Są one wciąż jeszcze - pisano - bliską i bolesną przeszłością, aby traktować je jak baśń, w której pieski i sroki przynoszą do domu prezenty, a szlachetni bohaterowie przemawiają językiem Wiecha".

Krytykowano ją, ale czytano i znów tym sposobem stała się sławna w całej Polsce, w znacznie szerszym niż dotychczas środowisku, bo wśród czytelników.

Była to druga opowieść po wydanych dziesięć lat wcześniej w 1946 roku "Pieśniach żałobnych getta", oparta na własnych przeżyciach, która zapoczątkowała późniejszy cykl autobiograficznych książek z różnych okresów jej życia. W "Pieśniach" umiała wykrystalizować samą tylko tragedię, ukazując postaciom bliskich wspólnym losem ludzi, znajomych i nieznajomych, akcentując w przedmowie, że w owych utworach pisanych "w latach głodu i ustawicznych ucieczek nie ma ani jednej zmyślonej postaci". Wywołuje cienie pomordowanych małych dzieci - Amramka, Hanele i prawie stuletniego Szajki Judkiewicza, tragarza Lipę-Lipszyca oraz matkę sześciorga dzieci - Surę Szybel, kupca żelaza - Abrama Gepnera i opiekuna sierot - Janusza Korczaka na czele dziecięcej krucjaty idącego dobrowolnie na śmierć, Adama Czerniakowa i Julka Sandera o odmrożonych rękach... W tym pochodzie cieni ujrzy też własną matkę, której dane było spocząć w pięknym grobowcu na drugim końcu świata. Przypomni sobie również o dziadku Isucherze Schwartzu ze Zgierza, gdzie w tym małym miasteczku po ubogim rynku łączyły brodate kozy, tęczowa w słońcu woda płynęła rynsztokami bielonymi wapnem, a na szabas niósł się z okien zapach ryby i strucli. Ale zanim tą nieżałobną, lecz tylko elegijną pieśnią o dziadku Isucherze zakończy zbiór wierszy, ukáže nam jeszcze artystę, warszawskiego malarza Romana Kramsztyka, zrazu w krótkim błysku - na tle Paryża, w C??a????fe du D???o???me, na tle przedwojennej Warszawy, w "Ziemiańskiej", zapalającego fajkę Franzowi Fiszerowi, gdzie Lechoń z Winawerem grał w szachy, a potem w przejmującym opisie kamiennego bruku przed domem przy ulicy Chłodnej 19, gdzie umierał "w sierpniowy letni dzień", a obok wdeptane w ziemię leżały jego strzaskane okulary.

Na okładce oprócz tytułu, roku wydania i nazwiska: Izabela Gelbard (por. Czajka) widniał rysunek płaczącej wierzby, a wewnątrz fotografia samej autorki w mundurze porucznika. Teksty "Pieśni żałobnych getta" poprzedzała przedmowa Władysława Broniewskiego, który przypominał wspólne lata studiów na Uniwersytecie Warszawskim, podkreślając przy tym popularność Czajki, równą sławie Franza Fiszera oraz jej niezwykłą siłę przetrwania i wolę życia, zarówno za murami, jak i poza tą zamkniętą przestrzenią, po ucieczce z otwockiego getta.

Wyprowadzenie z warszawskiego getta zawdzięczała mężowi Jerzemu Gelbardowi, który przebywał po aryjskiej stronie razem ze swoją towarzyszką i jej córką Zosią. Mimo nowego związku, ten człowiek, odpowiedzialny, odważny w niebezpieczeństwie, czuwał nad swoją dawną "narzeczoną z Montparnasse'u". I łudząc się obietnicą obficie opłaconych przez siebie Niemców, że otwockie getto nie przewidziane jest do likwidacji, zorganizował przejście tam Izabelli.

Obawiała się tej zmiany; tutaj za warszawskimi murami było wielu znajomych jeszcze sprzed wojny i na razie miała jakiś dach nad głową - pokój na czwartym piętrze przy ulicy Chłodnej. Nie odczuwała też jeszcze

głodu. I wciąż próbowała nie zapominać o uśmiechu, przyjmując z iskrą wesołości "grę - pantomimę" z jakimś nigdy nie poznanym "miszigene" z vis a vis, ofiarowującym jej na migi bułki za cenę pokazywania mu w oknie swoich nóg w cielistych "gazówkach" - cienkich pończoszkach. Pracowała wówczas jako kelnerka, nie tylko aby zapewnić sobie utrzymanie, ale głównie dlatego, aby tworzyć tam, na tej małej przestrzeni, pozornie inny świat niż ten, obmurowany ścianami, w którym wszyscy, w nieskazitelnej równości, byli skazani na jeden los. I ten wspólny los - zagłada zbliżał się nieuchronnie. Prowadzona przez ulice getta - było to chyba w czerwcu 1942 roku (a może było to później; relacje Belli zawsze różniły się w datach) w pochmurną deszczową niedzielę - mijala niedawno założony dla dzieci ogródek przy Grzybowskiej 21. Słyszała dźwięki orkiestry, odgłosy jakiegoś chóralnego śpiewu. To balsam na rany! Uśmiech ulicy! - zanotował Adam Czerniakow - próba przywrócenia tym małym, kilkuletnim niekiedy obywatelom getta choćby na chwilę braku utraconego dzieciństwa. Służba porządkowa z tego rewiru przyprowadziła do ogródka akurat tej niedzieli dzieci z Izby Zatrzymań - "żywe kościotrupy, rekrutujące się z żebraków ulicznych - opisywał Czerniakow tę wizytę. (...) Przekleństwo tym z nas, co sami jedzą i piją, a o tych dzieciach zapominają. Wstyd powiedzieć, już dawno tak nie płakałem".

Płakała i Bella, żegnana z oddali dźwiękami ogródkowej orkiestry pod kierownictwem Kataszka, przekraczając w asyście żandarma bramy getta. Gdy tak szła ulicami Warszawy, według niemieckiego wymyślonemu scenariusza i urzędowej karty, za łapówkę, jako "Róża Silberman, więziona do Otwocka na rozstrzał", widząc z pozorów normalne życie - kawiarnie, eleganckie panie w letnich kapeluszach, afisze reklamujące "arcyciekawą rewię" w kabarecie "Figaro" i "Kupę rozkoszy za parę groszy" w "Ulu" przy Nowym Świecie 19, irracjonalnie wstydziła się i "swojej twarzy, i opaski z żydowską gwiazdą, a najbardziej tego, że jest ofiarą, skazańcem". Mignęła jej gdzieś w przelocie jakby znajoma twarz ślicznej, zadbanej pani: na widok Belli pojawiły się łzy w jej oczach. Czyżby to była pani Irena Skępska, żona współwłaściciela "Ziemiańskiej"?

Ktoś nagle podchodzi do żandarma, pyta, czy może porozmawiać z tą prowadzoną kobietą. Bella podnosi spłoszone oczy, za chwilę zmienia się ich wyraz: O, Boże, to Henio!; rysownik Henryk Tomaszewski. Dał jej papierosa, zaciągnęła się głęboko dymem, a potem poprosiła, wyciągając zza bluzki plik bibulek: Przechowaj! to są moje wiersze, pisane tam w getcie.

Piszac je tam myślała z ulgą, że los Jerzego jest pewniejszy niż jej własny. I nie przypuszczała nigdy, że Jerzy Gelbard, który starał się potem wyrobić dla niej aryjskie papiery, który sam względnie bezpiecznie wraz ze swymi towarzyszkami mieszkał poza gettem przy ulicy Wilczej, że ten opiekuńczy prawdziwy przyjaciel, nie obawiający się odwiedzać jej w podwarszawskich miejscowościach, że on sam zostanie zaaresztowany, osadzony na Pawiaku, a potem zamordowany na Majdanku.

Nie pomogła modlitwa do świętej Teresy, napisana już po ucieczce z otwockiego getta:

"Radosna święta, co kwiaty lubisz i sprzyjasz ludzkiej miłości

Żarliwie błagam Ciebie, wejrzyj na mojego męża

On teraz jest w Warszawie... jest mizerny, jest wrażliwy

(...)Czuwaj nad nim. Anioła przydaj mu do boku

Niech Anioł będzie pokorny i bardzo cierpliwy

I jedną różę rzuć mu z nieba szkarłatną, pachnącą..."

Wkrótce napisze inne strofy, w których ukaże swe sny o Jerzym skrwawionym, zamordowanym... Kiedyż skończy się ten koszmar?... To udawanie ciotki od kowala, udawanie chorej umysłowo, udawanie współpracownicy "Jureczka", nasłuchiwanie, czy ktoś obcy nie chodzi pod oknami i wysłuchiwanie bzdurnych opowieści pani doktorowej?... Doktorowa, postarzała mocno, wielce romansowa dama, właścicielka pensjonatu, wspominała bez końca, jak to ongiś męski, piękny Andre o palącym, namiętym oddechu, posiadający do tego własny jacht, pragnął aby zostawiła męża, dzieci i popłynęła z nim w świat... Przynosił jej fiołki, zapraszał na lody ...

Jedną z tego korzyść dla sublokatorki, że ten jacht z opowieści doktorowej "chyboczący na błękitnych falach, ten palący, oszałamiający oddech pana Andre, te fiołki i zielone lody pistacjowe" sprawiły, iż zapragnęła opisać cały ten nierealny świat jako swój. Ale zanim Czajka wstąpiła w wyobraźni na pokład, zanim skończyła pierwszą stronę, coś obudziło ją z czarownych snów.

"Pokój był oświetlony - jakim sposobem? Od razu odzyskałam pełną świadomość i czujność. Nie zapalając lampki, ostrożnie bokiem, aby mojej głowy nie było widać, spojrzałam przez okno. Na dole wielkie reflektory oświetlały całą naszą willę. Cztery małe auta gestapowskie stały tuż przy bramie. Zielone mundury... czarne mundury Totenkopftrgerów... dwóch cywilów, sześciu żandarmów... wszystko to zważyło się pod nasze drzwi frontowe. Zaczęłam gwałtownie pukać w ścianę, bo pokój pani doktorowej graniczył z moim"... Tym razem udało się uniknąć niebezpieczeństwa, ale jacht już odpłynął i na rozpoczętej kartce papieru zakończyła historię opisem tego właśnie realnego wydarzenia z otaczającej ją rzeczywistości.

*

...Płonie getto. Zacięty opór bojowych sił. Niektórym nielicznym mieszkańcom, wyprowadzanym kanałami przez polskich żołnierzy podziemia za mury, udaje się uchronić życie, poza granicami Warszawy, w bunkrach, w lasach. Widząc, co się wokół dzieje, Czajka w pewnej sytuacji wykazuje wariacką odwagę. Mówi o tym niedawny list do mnie od Józefa Czapskiego:

"Cóż dziś mogę powiedzieć o Czajce? Dwukrotnie uratowała ona życie dwóm moim siostrom. Jedną z nich - Elżbieta, w okresie gdy się paliło getto, została złapana przez gestapo, przechodząc lasem, gdzie było wiele ukrywających się Żydów. Znalaziono w jej worku, gdzie była brudna bielizna, którą niosła do prania, urwaną kartkę modlitwy żydowskiej, która padła jej do nóg z palącego getta i którą zabrała z czcią i do worka schowała. Naturalnie, była przyjęta jako Żydówka i miano ją rozstrzelać, ale w tej chwili wyskoczyła z domu sąsiedniego Czajka, która wtedy, naturalnie

skrywając swoje pochodzenie, podobno służyła u jakichś Niemców, i z krzykiem i hałasem przysięgając, że moją siostrę zna i że jest krewną Hohenzollernów (co było wierutną bujdą), uratowała ją. Po raz drugi, podczas Kongresu Pokojowego w Polsce, gdzie był obecny Picasso (to nie był Kongres Pokojowy, to się nazywało inaczej), aresztowano moją najmłodszą siostrę Różę Platerową z mężem, gdy u nich był zrobiony "kocioł". Wypuścili ich dzięki wstawiennictwu tejże samej Czajki razem z Broniewskim. Osobiście spotykałem ją parę razy, jeszcze w Paryżu; było to parę rozmów wdzięczności z tą zupełnie narwaną i bardzo poczciwą kobietą. Łączę wyrazy głębokiego szacunku. Józef Czapski".

Kapitan załatwi!

Pokazowy, propagandowy Wrocławski Kongres Pokoju - był to już rok 1949. W tym to samym roku, w trzy lata po ukazaniu się jej "Pieśni żałobnych" getta, w pewnym piśmie, chyba w "Przekroju", ukazało się takie samo, jak w tym tomiku, zdjęcie Czajki w mundurze, ilustrujące artykuł pióra Tadeusza Unkiewicza, będący wspomnieniem o dawnej Belli z paryskiego Montparnasse'u. Posypały się gromy na jej głowę w porucznikowskiej czapce ze sztywnym daszkiem. W pierwszym szeregu ruszyły do ataku pryncypialne "ciotki rewolucji": Hańba, wstyd, kalandria munduru... Paryż, burżujskie gniazdo rozpusty, muza malarzy, dalekich od socrealizmu, przyjaciółka hrabiów - krwiopijców, obleczone w strój żołnierza ludowego Wojska Polskiego, śmie przysyłać redakcji to właśnie zdjęcie, obrażające mundur, jeśli znalazło się przy tekście o tak frywolnym okresie życia obecnego porucznika - Czajki. Na szczęście ktoś z dawnych znajomych, wysoko postawiony wysłuchał z pobłażaniem usprawiedliwień sprawczyni całej afery i ten ktoś ponoć "zadziałał", że została wkrótce awansowana do stopnia kapitana.

Kapitan - to już coś, nawet i dla samego Jarosława Iwaszkiewicza: jeśli się jest kapitanem, do tego przebojową kobietą, jeśli potrafi się wymyślać i realizować najbardziej nieprawdopodobne rzeczy, jeśli z wieloma "figurami" jest się na "ty" i dla świętego często spokoju te "figury" pomagają jej przeprowadzać skutecznie "pewne sprawy" - myślał pisarz - to zapewne i teraz dotrze do "pewnych czynników" i pomyślnie załatwi sprawę syna sąsiada, niejakiego Zielińskiego.

"Droga moja - pisze tedy ze Stawiska, dn. 22 sierpnia 49 pan Jarosław. - Mam do Ciebie wielką prośbę, proszę Ciebie o wskazówkę w takiej sprawie: syn naszego wielkiego przyjaciela, murarza i cieśli, sąsiada mojego i długoletniego pracownika Antoniego Zielińskiego, 18-letni Henryk Zieliński został zaaresztowany, siedział z początku w Urzędzie Bezpieczeństwa, a teraz w więzieniu w Grodzisku Mazowieckim. Podobno (tak twierdzi rodzina) całą winą jego jest brzydkie odezwanie się o SP. Oczywiście nie powinien był tak mówić, ale chłopak młody, niezwykle zdolny (do muzyki np.) świetnie uczący się, a przytem chory, organiczna wada serca. Jest to najmłodszy syn starego robociarza, ojciec przychodzi do mnie i ryczy jak bóbr, a ja na prowincji nie mam żadnych stosunków. Gdybym poszedł wprost do UB w Grodzisku, toby mnie na pewno spytali czy pana kuzyn miał skład apteczny na

Pradze (autentyczne) lub w ogóle nie chcieli gadać! Co ja mam robić? Do kogo się udać? Na kogo powołać? Strasznie Cię przepraszam, że Cię nudzę takimi rzeczami, ale bardzobym chciał biednemu staremu coś pomóc. Mówiły mi moje dzieci, żeś była dla nich strasznie miła nad morzem, opowiadali mi mnóstwo rzeczy. Ściskam Cię serdecznie przy okazji i ręce Twoje kapitańskie całuję. Twój Jarosław".

Trudno dziś ustalić, czy jej interwencja była skuteczna; nie wszędzie bowiem mimo znajomości i bezczelności udawało się jej spowodować zmianę decyzji, samym tylko bluffem, "powoływaniem się", hałaśliwą pewnością siebie, błazeńską zgrywą.

W tych powojennych latach, zarówno w okresie katowickim, jak i potem - w Warszawie Czajka była dość niezwykłym akcentem, budząc u jednych zgorszenie, u drugich sympatię, nie wykluczając czasem zgrozy na skutek jej wariackiego zachowania się, u innych zaś wywoływała lekceważenie, a nawet i wściekłość, szczególnie gdy te osoby bywały bohaterami jej opowieści. A reszta towarzystwa po prostu doskonale się bawiła i przekazywała sobie różne pikantne anegdoty. I było o niej głośno, a ona cieszyła się tą popularnością, nawet gdy zwano ją dla rymu, dla zabawy, nie w obraźliwym zamiarze: Czajka - czerezwyczajka.

Po przyjeździe z Katowic do Warszawy pracowała w Muzeum Narodowym jako tak zwana starsza asystentka u profesora Stanisława Lorentza, z którym, jak opowiadała, jeździła po wojnie na teren Niemiec w poszukiwaniu i dla zabezpieczenia zrabowanych w Polsce dzieł sztuki. Gdy było potrzeba, przedstawiała się jako uczona z dwoma doktoratami: filozofii i historii sztuki, co dodawało jej powagi, gdy w ramach "akcji oświatowej" wygłaszała odczyty. Znajac języki towarzyszyła jako tłumaczka różnym osobistościom ze świata, jeździła też w teren na "wieczory autorskie". Często na tych wieczorach było o wiele zabawniej niż u konkurujących z nią pod względem liczby spotkań niektórych związkowych kolegów z pokolenia "pryszczatych", prawiących zmęczonym i znudzonym ludziom o poezji węgla, o przodownikach na budowie, o wrogu - bumelancie, wrogu - kułaku, o fabryce papieru, która akurat ruszyła, o traktorach, traktorzystach i traktorzystkach... Z tych wszystkich spotkań najbardziej utkwił jej w pamięci wieczór w olsztyńskim, kiedy to, już nocą, załadowawszy się do wozu milicyjnego ścigała groźnego wiejskiego bandytę.

To wszystko jednak było dla Izabelli Czajki zbyt małym polem do działania. W "świętym szale" organizowała u siebie, dezorganizując tym ład domu i burząc spokój swego anielsko cierpliwego Czajnika, różne prywatne wernisaże, spotkania, głośne przyjęcia towarzyskie, uroczystości wręczenia własnych nagród literackich, które kolejno w formie obrazów, talerzyków, srebrnych lichtarzy, porcelanowych figurek itp. otrzymywali z jej rąk, m.in. Leopold Buczkowski za "Czarny potok" (ta nagroda: piękny porcelanowy talerzyk z jej dedykacją na odwrocie stoi do dziś na biurku w pokoju zmarłego już pisarza w Konstancinie), Leopold Tyrmand za "Złego", Adolf Rudnicki za "Żywe i martwe morze", Andrzejewski i Zagórski za "Świętego Winkelrida", Julian Strykowski za "Głosy w ciemności", Wojciech Żukrowski za "Kamienne tablice" (srebrna wazowa łyżka); Andrzej Munk za "Zezowate szczęście" otrzymał stary widelec, który ponoć był używany przez samego Napoleona w czasie jego bytności w Warszawie.

Propagowała też sztukę artystów amatorów, głównie górników. Poznała ich jeszcze, gdy mieszkała na Śląsku. Ostały się powielane maszynopisy kartek, gdzie przekonywała, że: doskonale to są rysunki - Lampki, Babuły, Kwaśnego,

Wróbla, Bonki, Rybaka, Pełki, Drahomireckiego. I co za tematyka, nie mieszczańska, nie o banalnych, mdłych smaczkach, lecz jędrna i dosadna już w samych tytułach: "Kapusta", "Siewy", "Ograbule w czasach zgniłego kapitalizmu", "Radosny hutnik", "Górnik po szychcie", "Wykonany plan"!

Autentycznie urzekał ją jednak tylko baśniowy, nierealny świat śląskiego samorodka - Teofila Ociepki, istniejący w jego niezwyklej wyobraźni, która ujawniał w całym bogactwie kolorowych obrazków. "Kapitanka" - jak ją nazywał Ociepka - lansowała śląskiego artystę, wożąc go z sobą to nad morze, to na kwitnienie wiśni do Kazimierza, to nad mazurskie jeziora. Wodziła go też na warszawskie "wernisaże" i na "salony" przyjaciół, przedstawiając Ociepkę jako swe "największe odkrycie", jako skarb kultury ludowej, aby nie rzec - narodowej. Po takich występach przyprowadzała go na Karłowicza, perswadując mężowi, że winien Teofilowi ustąpić na tę noc, lub najwyżej na trzy, swój pokój i łóżko. Historia powtarzała się: tak kiedyś postępowała z mężem drugim, z Jerzym Gelbardem, i z ich gościem - Franzem Fiszerem.

Pewnego razu wymyśliła, że Ociepka musi koniecznie namalować portret Jana Kotta. Zbliżały się imieniny profesora i chciała oprócz małej figurki świętego Antoniego zamkniętego w srebrnym futeraliku, szczypczyków do przycinania knotów palących się świec dać solenizantowi jego konterfekt wykonany przez śląskiego "samorodka".

- Namaluj mi, synku, mojego dobrego znajomego - rzekła, pokazując mu zdjęcie. - To on jest tam, ze mną i z innymi pisarzami w Zakopanem, w ogrodzie koło "Astorii"; pierwszy z lewej... Nazywa się Jan Kott. Byłoby dobrze, żebyś wydobył z jego twarzy to coś, czym działa na baby.

- Dlaczego nie? Namaluję go, kapitanko. I sam będę wiedział, co mam wydobyć, nie trzeba mi mówić...

Wkrótce przywiózł na Karłowicza kolorowy portret; na tle splątanej zieleni, poskręcanych konarów drzew, na których pousadzał pełno różnokolorowych ptaszków, fantazja artysty kazała dodać na twarzy głównego obiektu długie druciki ostrych kocich wąsów. Czajka nie posiadała się z uciechy. - Ty, Ociepka, to masz, synku, fantazję! - Nie wiadomo, czy w końcu ofiarowała go solenizantowi, w każdym razie oglądali go różni goście, których, jak to bywało w jej zwyczaju, gromadziła w mieszkaniu, przy okrągłym stole, nie bacząc, iż są często "z różnych parafii", o rozmaitych orientacjach i sympatiach politycznych lecz o jednym zgodnym kierunku: w stronę obficie zastawionego stołu z dobrym jedzeniem, 'dobrymi trunkami.

... Czajka marzyła wówczas żarliwie o dalekich podróżach, odwiedzeniu nowych, nie znanych jej dotąd lądów, jak i tych niezapomnianych, dawnych miejsc w Europie. Czuła, że tam znajdzie nowe bogate źródło dla ustnych opowieści; a kto wie - może i materiał do książek?... Więc próbowała ożywić kontakty wstępną korespondencją z przyjaciółmi z warszawskich lat, z czasów "Udziałowej" i "Ziemiańskiej". Poczowała się znów Bellą - opiekuńczą muza artystów, choć w nieco innym wydaniu. Tym, co parali się piórem, obiecywała, że jeśli się tylko zgodzą, stanie na głowie i spróbuje wydać w kraju ich wiersze, prozę i pamiętniki nawet, choć jeszcze sama, na razie bezskutecznie, oferowała maszynopis swego "Kowala" warszawskim wydawnictwom. Przed malarzami z kolei i rzeźbiarzami rozsnuwała wizje wielkich wystaw w Muzeum Narodowym. W gruncie rzeczy konkretną możliwość wernisaży miała jedynie w pokojach przy Karłowicza. Do Józefa Czapskiego (Maisons-Laffitte. Paryż) napisała tedy list z prośbą o wypożyczenie kilku

jego płócien, "aby Polska mogła ujrzeć Twe wspaniałe obrazy. Ja i Czajnik widzielibyśmy u siebie tematykę kwiatów. Wernisaż bowiem urządzimy u nas, w domu, i choć będzie to kameralna wystawa, to obejrzą ją prawdziwi znawcy sztuki i wielcy Twoi miłośnicy".

W odpowiedzi na tę propozycję otrzymała taką oto odpowiedź od adresata:

"Kochana Czajko!... Wybrałem jedno z płócien, które najwięcej sobie cenię "Dwóch gachów w Marsylii" (...). Dwa płótna dobre z kwiatami mam na wystawie i przed późną jesienią do mnie nie wróca. (...) Podpisałem się dyskretnie, żeby Twojego salonu nie obciążać nazwiskami o brzmieniu zbyt gorszącym "zaciętego i czynnego wroga Polski Ludowej" (??), jak napisał o mnie Żółkiewski.

Ale korzystam z tego listu, żeby Ci powiedzieć, że nie wiem, czem mógłbym się wywdzięczyć za to wszystko, co zrobiłaś dla moich najbliższych, więc przez to i dla mnie.

Całuję Twoje ręce i ściskam najserdeczniej

Twój Józef Czapski.

"Węgiel i tęcza", czyli męki tworzenia

W stalinowskich czasach socrealizmu przyjęto ją, acz z oporami, do Związku Literatów Polskich. W wianie wniosła tam dwie skromne książeczki; ta pierwsza o rejsie "Batorym", napisana jeszcze "za zgniłej sanacji", daleka była duchem od tradycji ruchu robotniczego i walk o wyzwolenie społeczne, druga z kolei mówiła jedynie o martyrologii Żydów w getcie. - A ta trzecia w maszynopisie, o której wciąż nam mówicie, towarzyszo, też nie przystaje do współczesnej rzeczywistości, do epoki radosnej budowy nowej, sprawiedliwej Polski; to też jest przeszłość. Włączcie się w dzieło budowy, w nurt dziejących się przemian. Produkcja, przekraczanie norm, walka klas, maskujący się wróg - sabotażysta, przodownictwo, hydra kułactwa, bumelanctwo - to są tematy... - pouczali partyjni związkowi koledzy.

Gdy wbijali jej do głowy "włączenie się w nurt", nie wydawało się to na razie takie trudne. Nie ma rzeczy trudnych i niemożliwych - myślała bez popłochu, mając za przykład niektórych kolegów, ochoczo kropiących strony powieści, ze ścisłym rozgraniczeniem barw: białe i czarne...

W dniu wyjątkowo wolnym od spotkań, od wszelkich zebrań - związkowych, partyjnych, od masówek i prasówek - zasiadła przy sekretarzyku nad kartką papieru... Mijały kwadransy, godziny, w kłębach papierosowego dymu, w haustach wypijanych czarnych kaw... Szło, jak z kamienia; zdrętwiały palce od trzymania wciąż jeszcze nie zatrudnionego pióra, zdrętwiały plecy, zdrętwiała całkiem wyobraźnia. W tej wielkiej twórczej niemożności

przypomniała sobie, że ktoś kiedyś jej mówił, że przy pisaniu, dla pobudzenia wyobraźni, bardzo pomaga wachanie czegoś ostrego... Ale co to ma być?... perfumy, zgniły ser?... A może hiacynt albo amoniak?... Nie może sobie przypomnieć. ... Nagłe olśnienie: żeby przyszło natchnienie, trzeba nogi trzymać w gorącej wodzie z dodatkiem spirytusu.

Czajnik wróciwszy po pracy (był inżynierem chemikiem), choć już nic nie mogło zaskoczyć go w postępowaniu żony, poczuł się jednak dość nieswojo, widząc Czajkę przy biurku, z obłędem w oczach, z nogami w miednicy, zajadając fermentujący ser nazywany gzikiem, w oparach ostrego zapachu rozpylonych w pokoju perfum.

- Tworzę! Piszę powieść zgodną z obecnym nurtem, z zasadami socrealizmu. Na razie mam już do niej parę tytułów.

Po kilku godzinach twórczej męki wyprodukowała rzeczywiście trzy tytuły: jeden - połączenie konkretnego z poezją "Węgiel i tęcza", drugi - sam konkretny - "O górniku z kopalni węgla", a trzeci, bardziej opisowy, mówił o sojuszu miasta ze wsią: "Henia i gołębie, czyli warszawska murarka, która chce być traktorzystką".

Utknęła na tych tytułach, nie mogąc wykrzesać ani z szarych komórek, ani z serca, dalszych dziejów węgla, losów górnika i Heni traktorzystki.

*

W aktach Związku Literatów, w grubej tece z napisem: Czajka Izabella Stachowicz, znajduje się dokument skreślony jej własną ręką, będący usprawiedliwieniem, mającym oczyścić ją z zarzutu nieoperatywności ideowej, niewłączenia się w nurt twórczości socrealistycznej. Biedna Czajka! Cóż tedy napisała, aby oddalić groźbę wykluczenia jej ze Związku? Żarty się skończyły, nie można było dłużej wykpiwać się. Cóż jej pozostało? Wiedziała na pewno, że nigdy, mimo szczerych chęci, nie uda jej się napisać żadnej papierowej powieści o papierowych ludziach, choćby byli nawet z Mirkowa, który ruszył z produkcją. Należy więc dokładnie wyłuszczyć powody niechcianej opieszałości, nieudolności. A więc - primo: mieszkam na WSM - Mokotów i podróż ze Związku do domu i odwrotnie trwa zawsze około trzech kwadransów; kradnie to w wydatny sposób czas na tworzenie. Secundo - dużo godzin zajmują różne ideowo uświadamiające zebrania, akademie, masówki.

- "Piszę tylko w te dni, kiedy nie mam zebrań" - akcentuje, dodając, że jej wielką ambicją naprawdę jest napisanie socrealistycznej książki, ale "wyznam tu całkiem szczerze, ta ambicja moja o tyle mnie dręczy, że psuję każdą rzecz, bo nie umiem sobie dać rady z problemami. Mam szereg pomysłów, chodzę z nimi jak kura z jajkiem. Męcę się, bardzo się męcę"....

Głowę ma widać tak skołowaną, mózg przemęczony, nerwy też, że na dalsze pytania, oznaczone w rubrykach: "Imię i nazwisko panięskie matki", odpowiada jak gdyby to były jeszcze lata okupacji: "Nepomucena Czajka". I dalej: "Nazwisko panięskie (dla mężatek)? - "Stefania Izabella Czajka-Stachowicz!"... - "Zawód rodziców?" - Na to ankietowana ma tylko jedną odpowiedź: "Ojciec". "Odnaczenia państwowe?" - "Żadnych, nigdy, choć ukrywałam się w lesie, potem - wojsko, partyzantka w lasach legionowskich,

później w lubelskich, a jeszcze później - MO w Katowicach".

Kilka tego typu ankiet mieści się w jej teczce; w takiej na przykład wypełnianej 27 sierpnia 1950 roku podkreśla, że urodziła się w Warszawie 5 listopada 1906 roku, aby w półtora roku później... dodać sobie dziesięć lat, podając rok urodzenia: 1896, którą to datę, zapewne uprzytomniwszy sobie, że ją zbyt postarza, anuluje, skreślając atramentową krechę i stawiając obok inną: 1906.

A z kolei już po październiku, w 1960 roku, widać na fali obnażeń i prawdy, pomaże znów to wszystko i wyzna, że nie urodziła się w Warszawie, lecz w Mińsku Mazowieckim, i nie 5 listopada, lecz 10 kwietnia, i nie w 1906 czy 1896, lecz siedem lat przed początkiem dwudziestego wieku.

"Synku!" i co z tego wynikło

Bezpłodność w dziedzinie socrealistycznej twórczości starała się nadrobić gorliwym uczestnictwem we wszelkiego rodzaju zebraniach u Literatów oraz spotkaniach tam, na Krakowskim Przedmieściu, z wysokimi dostojnikami, zaszczycającymi swą obecnością ówczesnych "inżynierów dusz". Lubiła zresztą te obowiązkowe "spędy"; zastępowały w pewnej mierze kawiarniane spotkania, była też potrzebna jej naturze, łaknącej zawsze towarzystwa ludzi, ta głośna atmosfera sali - jednego z aktualnych salonów dworskiej elity. Atmosfera głośna, ale nie tak szczerą i swobodną, jak to ongiś w środowiskach pisarzy bywało, z wyważaniem każdego słowa, analizowaniem spojrzeń i min ważnego gościa. Choć i teraz widziało się na sali wiele znajomych twarzy, jeszcze sprzed wojny, jeszcze z czasów Franza Fiszera, i słyszało życzliwy szept: Czajka, nic nie mów, nie odzywaj się, tylko słuchaj!... Więc starała się uważnie słuchać poważnych wywodów na temat zadań współczesnej polskiej prozy i poezji, obowiązków pisarzy, ich powinności wobec... poświęceń dla...

Kiedyś, w czasie mowy pewnego dostojnika ucho Czajki nie wychwytywało wszystkich słów, którymi gość raczył słuchaczy. Chciała dokładnie wiedzieć, o czym mówi - musiała wiedzieć - choćby dlatego, aby później w swoim prywatnym "salonie" zrelacjonować to gościom, dając im smaczny kasek do przyprawienia różnymi pikantnymi uwagami, wnioskami, przewidywaniami tej urzędowej wypowiedzi. Tak więc nie mogąc zrozumieć zbyt cicho dla niej wypowiedzianych słów prelegenta, w pewnej chwili głośno zawołała, przez całą, pogrążoną w nabożnym skupieniu, salę: "Synku, głośniej! Głośniej trochę, synku!..."

Trzeba było widzieć zaskoczenie, aby nie rzec - przerażenie na twarzach kolegów; gdzieś z końca sali dobiegł cichy chichot, aby zaraz zgasnąć wobec tak nieodpowiedzialnego wyskoku Czajki. Usłyszała lekkie psykanie: wariatko, na co nas narażasz! Na szczęście nikt nie zemdlał ze strachu, jak to o mało nie zdarzyło się jednemu z wybitnych prozaików podczas podobnego

spotkania z Kimś Ważnym, gdy ów zaczął coś szeptać komuś do ucha; wybitny prozaik wpadł w popłoch, nagle wyobraził sobie, że ten Ktoś mówi o nim, że to on akurat podpadł...

Opowieść o tym: "Synku, głośniej!", odpowiednio ubarwiona, poszła w świat i została do dziś w zbiorze anegdot o Czajce. Nawet Iwaszkiewicz wspominał o tym po latach w cytowanym tu już liście do Czajki, przy okazji jubileuszowych życzeń na iluś tam jej lecie urodzin. Później, gdy już było można, śmiano się z tego, ale wtedy zrobiła się afera. Co ona, ta szalona kobieta jeszcze wymyśli, w co nas wpakuje jako członek Związku?... Nie upłynęło dużo w Wiśle wody, gdy pismem z 30 marca 1954 roku Zarząd Główny ZLP na specjalnym posiedzeniu postanowił Stefanię Izabellę Czajkę Stachowiczową skreślić z ewidencji Związku Literatów "z powodu -jak zaprotokołowano - braku aktywności pisarskiej".

Prawdziwa rozpacz dla Czajki! - Odwołam się - mówiła -jedno z warszawskich wydawnictw już poważnie zainteresowało się drukiem mojej książki: "Ocalił mnie kowal", a w tę o górniku, o "Węgłu i tęczu" też się już mocno zaangażowałam, obie są zaawansowane...

Niektórzy odradzali jej na razie pisanie jakiegokolwiek odwołania. - Wszystko będzie dobrze - pocieszali ją. - "Wszystko jest dobrze - podchwytowała. - Co? Może nie? Dobrze jest, psiakrew, a kto powie, że nie, to go w mordę!" - pamiętała to zakończenie "Pożegnania jesieni" Witkacego sprzed prawie trzydziestu lat i choć nie lubiła mocnych słów, akurat teraz wydawały jej się odpowiednie, aby skwitować nimi nie tylko swoje, drobne w gruncie rzeczy, zmartwienie. A więc na razie nie słała odwołań, dopiero prawie dwa lata później, westchnawszy do świętego Mikołaja w wierszyku, który zaczynał się tak:

"Święty Mikołaju, nie chcę nic w prezencie

Niech tylko Zetelpe krzywdę mą odkręci".

Wyszykowała pismo 6 grudnia 1955 roku, gdzie wyplakała swe żale "banitki", najboleśniejszy od końca wojny cios, który jej zadano tutaj, w ukochanej stolicy - Warszawie, pod bokiem króla Zygmunta, na którego tak lubiła spoglądać przez tafle szyb konferencyjnej sali, gdzie kiedyś zawołała głośno, bez żadnej chęci obrażenia gościa z Białego Domu to nieszczęsne: "syku".

Z grubego działa do małego ptaszka

Rok 1956 przyniósł Czajce druk książki "Ocalił mnie kowal" i otworzył przed nią możliwości podróży, wyzwolił wreszcie twórcze natchnienie bez trzymania nóg w gorącej wodzie. Popłynę teraz wartko potok autobiograficznych opowieści, zarówno z okresu dzieciństwa, jak i z lat

późniejszych, aż do świeżych wspomnień z zagranicznych, z pozaoceanicznych wojaży.

Straciła swój częściowy sens dotychczasowa opinia, że "Bela była sławniejsza od wielu pisarzy, choć sama nie napisała ani jednej książki". Teraz jej sława przekroczy granice własnego środowiska i Czajka zyska wielką popularność wśród szerokich rzesz czytelników. Będą ją czytać ci, co lubią plotki, smak przygód i towarzyskiego skandalu, zaskakujące niespodzianki, intrygi, ekshibicjonistyczne, z poczuciem humoru wyznania natury osobistej, w które są wplątane przy okazji pikantne niedyskrecje o przyjaciółach i znajomych, szczególnie ocierające się o groteskę.

Ci opisywani, choć ukryci pod kryptonimami, pseudonimami oraz ludzie niechętni tego typu potoczystemu, bez selekcji, przelewaniu wszystkiego, co przychodzi do głowy na karty książek, krzywili się z niesmakiem: Co to za literatura, te historie babskie, paniusiowate o: "Małżeństwie...", o "Czarownicy na huśtawce", o "Mojej wielkiej miłości", o tym, że "Leci w świat" i że w Argentynie jest upał, i że ona śpiewa tam hymn warszawskich kwadrygantów. Niektórzy nie wahali się używać w stosunku do jej rozchwytywanych powieści określeń w rodzaju: obłudne, rozklekotane, tasiemcowe bzdury "słodkiej Beluni", inni znów zarzucali tajemnicze, kumoterskie powiązania, ułatwiające wydawanie takich dzieł. Należy drukować, tak jak to czyniły przed wojną "Wiadomości Literackie", opinie o nich w rubryce: "Książki najgorsze". To jest ogłupianie ludzi, drobnomieszczaństwo. My tego nie chcemy! - wołali niektórzy publicyści w imieniu mas. A maszy czytać chciały, i to zarówno ci nie wyrobieni czytelnicy, jak i ci bardziej elitarni.

Czytać Czajkę to była dobra zabawa także i dla tych, którzy znali "obsmarowywane" przez nią osoby.

- Mierzyć książki Czajki za pomocą arsenału nowoczesnych narzędzi krytycznych - pisali krytycy - to strzelać do ptaków z automatycznego działa! - Nie traktujmy Czajki jak Pawła Jasienicy! - trafnie zauważano. - Niewysoki ma lot ta Czajka, ale pewny - konstatowano. - Jej proza przypomina nawet Gałczyńskiego; jest tak samo barwna, groteskowa, pełna miłości do ludzi, a przy tym, równocześnie, elitarna i plebejska.

- Miłość do ludzi'? Chyba nie myli się Koźniewski, pisząc o mnie w "Polityce" - zastanawia się autorka. - Ale miłość jeszcze większa i niezmienna jest do Warszawy. Tutaj, jedynie tutaj, czuję się jak w domu i w rodzinie. A świat, podróże, które mnie teraz tak mocno ciągną, to dlatego, aby spotkać się z tymi, których się kochało, z którymi się przyjaźniłam, robiłam różne wariactwa. I pragnę też, przyznaję szczerze, przeżyć jeszcze, mimo starości, mimo schorowanego serca, jakies niezwykle, naturalnie już nie sercowe, ekscytujące przygody. A potem z tym większą tęsknotą wracać do mojego prawdziwego domu, do Czajnika, do gosposi - przyjaciółki, do mikroskopijnego ogródka z fiołkami przy ścianie, do wierzb, które zasadziłam na trawniku osiedla, do urywających się po każdym moim powrocie telefonów.

Zazwyczaj przed każdą długą podróżą wysyłała kartki i listy do przyjaciół, obwieszczające, że wyrusza, że jedzie, że udaje się w daleki rejs, że płynie..., że leci... Naturalnie - sama, Czajnik nie mógłby już znieść takich dalekich podróży, zmian klimatu, przygodowych wstrząsów. On najchętniej, przypominając jej ciągle o "anginie pectoris", trzymałby ją pod kluczem, w spokoju mokotowskiego mieszkania. Ale zdaje sobie sprawę, że

to niemożliwe: Czajka i spokój! Czajka i porządek! Czajka i bezruch! Czajka - i w pełni sensowne listy! - za duże to wymagania. A jeśli już mowa o epistolografii, to weźmy na przykład taki pierwszy po latach jej list do Feliksa Topolskiego. Ileż wspomnień budzi to nazwisko! We wstępie Czajka zaznacza, że marzy, aby poczęstować go taką rybą, jaką kiedyś razem jedli u Simona i jaką obecnie o wiele smaczniej przyrządza jej gosposia; jest to karp w cebulowej galarecie, z mnóstwem rodzynek i wiórków parzonych migdałów. Po tym kulinarnym zagajeniu tłumaczy, dlaczego dotychczas nie dawała mu o sobie znać: to proste, mógłby mieć przykrości od królowej, że pisuje do niego porucznik ludowego Wojska Polskiego. Ci Anglicy mają te swoje doskonałe wywiady... Po tej dygresji przechodzi wreszcie do konkretnej sprawy. Otóż pisze teraz książkę o Franzu Fiszerze, wydaje ją w warszawskim "Czytelniku". - Proszę Cię o zrobienie ilustracji. Na zakończenie zaklina go, aby jak najszybciej odpisał, czy robi te ilustracje i na kiedy, bo sprawa pilna. I jeszcze w postscriptum zadaje kilka pytań: Kiedy przyjedziesz do Warszawy? Poznasz Czajnika - mojego trzeciego męża i gosposię Marysię. Czy przyrządzić na Twe przyjęcie karpia, czy szczupaka? Czy nie będziesz miał nic przeciw wizycie pewnej wybitnie uzdolnionej historyczki sztuki z Warszawy; zapewne pierwszej z kraju osoby z tej branży, która pragnie odwiedzić Twe atelier?... A właściwie - dodaje jeszcze - ta historyczka już wyjechała do Londynu i chyba wkrótce pojawi się u Ciebie...

Feliks Topolski, jak przystało na dżentelmena, odpowiedział zaraz na jej list:

- "Kochana gosposia gosposią - u nas sami zawsze gotujemy i sprzątamy! - Ale Ci wybaczam ten wstęp do Twojego listu, który dla nas, ubogich demokratów, brzmi (choć nie jest) jak fafy pańskie komunistów. (...) Czytam Cię często - b. prosto i pięknie i czule piszesz - cieszę się, że robisz książkę o Fiszerze".

Dodał jednak, że nowych ilustracji o niezapomnianym i dla niego Franzu Fiszerze nic robi, teraz "łapię tylko z natury, nie z głowy, ale proponuje; Ci reprodukcje wielu Fiszerów, kiedyś przeze mnie narysowanych! A co do owej zapowiadanej historyczki to już była, powoływała się na Ciebie, mówiąc, że chce obejrzeć moje "akwarele"! - Powiem Ci, Belu, że z Polski historyków sztuki (głównie historyczek) bardzo dużo już tu przychodziło - i mi się nie podobały, bo były czelne, ironiczne i bardzo bardzo niedouczone pewnie z branży "biurokratycznej". Całuję Cię Feliks".

Złożył zapisany arkusik i sięgnął po adres Czajki; na jej przesyłce nie było żadnego adresu. Więc dopisał jeszcze na boku strony:

"Niech skonam - nic napisałaś twego adresu!!!", po czym pomyślawszy przez chwilę zaadresował: Porucznik Bella Czajka C/o "Czytelnik". Warszawa.

Wkrótce otrzymał odpowiedź. Tym razem starannie i wyraźnie wykaligrafowała czasowy adres: Madame Bella Czajka M.S. Batory. I odtąd zgodnie ze swoją naturą rozpoczęła loty i wojaże - wodą, lądem i powietrzem.

W Buenos Aires z Gombrowiczem

Uwielbiała podróże - fantazyjne i prawdziwe - bliskie i dalekie, z których najdłuższa i najbardziej ciekawa łączy się z Witoldem Gombrowiczem i z ludźmi bliskimi z warszawskich lat jej młodości. Pamiętam, było to w 1958 roku w Zakopanem, w "Astorii" - Domu Pracy Twórczej Literatów przy Bocznej do Białego. W czasie wspólnego krótkiego spaceru w towarzystwie dwóch pekińczyków-Czangusiów obwieściła mi, że jedzie wkrótce do Ameryki Południowej, i to na wiele miesięcy, i że tam w Argentynie umówiła się na spotkanie z Witoldem Gombrowiczem. Było to wiosną, bardzo wczesną chyba wiosną, bo wokół iskrzył się jeszcze śnieg. Wiedziałam o długiej znajomości dwojga, a zważywszy na wspólne zamiłowanie do mistyfikacyjnych żartów tego arcyministra w tym względzie i pojętej uczennicy, nie dziwiłam się korespondencyjnej kontynuacji przedwojennej przyjaznej znajomości. Ale tak zaraz, ni stąd, ni zowąd to Buenos Aires?... Widząc me niedowierzające spojrzenie obiecała pokazać mi ten list.

Po powrocie do pokoju zaczęła przewracać kartki rozrzuconych na stole książek, aby po chwili z triumfem podnieść w górę odnalezioną kopertę z oryginalnymi znaczkami za 13 pesos i adresem nadawcy: "RTE - W. Gombrowicz, Buenos Aires, Argentina". - No, a teraz posłuchaj, co Witek pisze właśnie w sprawie mojego przyjazdu. Nawet dokładnie, zobaczysz, określił, co mam mu przywieźć w prezencie... Cały Witold! - Wydobyła z koperty cienką bibułę, na której wystukał krótki tekst maszynowym pismem:

"Droga Belu (daleko Ci do tego, żebyś była Bellą). Jaka szkoda, że marnujesz czas w Zakopanem! Moja rada, żebyś wsiadła do pociągu Opanowanie, pojechała do miejscowości Opamiętanie i zamieszkała w pensjonacie Oprzytomnienie.

Co do prezentów, to owszem, to nawet zdrowa myśl, tylko nie naturalnie jakieś tam borówki czy sok żurawinowy, a np. aparat fotograficzny lub w ostateczności kilim (ale z tych kosztowniejszych). Zobaczysz, Belu, jak mi coś takiego ładnego przywieziesz, będę dla Ciebie dużo łaskawszy. Broń Boże nie przysyłaj niczego, bo pół dnia trzeba stracić na urzędzie celnym. Tymczasem! Uszanowanie.

Witold Gombrowicz

5.V.58".

- No i widzisz! Teraz już patrzysz na mnie inaczej. Jaka ja jestem szczęśliwa - ciągnęła. - O, bo tylko z Gombrowiczem można doskonale bawić się w udawanie, przyjmować różne narzucone role albo narzucać je samej sobie czy innym, wzajemnie się nabierać, wiedząc nawet o tym i udawać, że się nie wie.

Z właściwym sobie ożywieniem wskrzeszała wówczas przedwojenne w tym stylu obrazy: - Wyobraź sobie, pewnego razu w pewnym towarzystwie bliżej go nie znającym Witold udawał zawodowego marynarza, to znów kiedyś pokazywał swą

fotografię z jakiegoś balu w towarzystwie Arabki; a to byłam ja - w burnusie, ale on utrzymywał także i przede mną, że to nie ja, że mi się zwidziało, że to prawdziwa poznana przez niego w niezwyklej okolicznościach Arabka. Pamiętam też, jak - chyba było to z dziesięć lat przed wojną - zaprosił mnie kiedyś do swego domu przy ulicy Służewskiej. Mieszkał tam z rodziną. Wiedziałam, że oprócz matki, rodzeństwa, ojca, który lubił grywać na dostawionej do fortepianu pianoli, miał też bardzo wytwornego wuja Wacława... Usiedliśmy wtedy przy stole z nieprawdopodobnie długą, aż do podłogi, serwetą. Raptem ktoś albo coś otarło się o moją nogę. Złudzenie? Spojrzałam na Witka, siedział nieruchomo z obojętnym wyrazem twarzy. Nagle znów to coś dotknęło mnie już całkiem nie złudzeniowo, a nawet jakby pogładziło mą łydkę. Podwinęłam zniecierpliwiona brzeg obrusa; tam pod stołem siedział jakiś człowiek w indiańskim pióropuszu na głowie. Opanowałam zdziwienie, nie mogłam przecież dać satysfakcji Witoldowi. A on, wtedy, jakby od niechcienia, nieskazitelnym wytwornym ruchem ręki, machnąwszy lekceważąco nad stołem białą serwetką, wyjaśnił: To wujaszek Wacław, nie przejmuj się tym, nie zwracaj uwagi! Podjęłam grę, udałam, że wierzę: że też twemu wujaszekowi chciało się... Witold wiedział, naturalnie, że ja tylko udaję, że wierzę. Zdałam znów jakiś nowy egzamin na partnera mistyfikacyjnych żartów... Myślę, że i w Buenos Aires coś mi się wydarzy, a jeśli nie w Argentynie, to może w Brazylii - rozmarzyła się - jakieś zrodzi się "zaniepokojenie", wciągnie mnie jakaś wspaniale namotana intryga...

...Wówczas Gombrowicz przebywał już od lat w Argentynie. Wstawał późnym rankiem, najpierw golił się, potem zasiadał do śniadania; zawsze - herbata i zawsze - dwa jajka, w parzyste dni zjadane na miękko, w nieparzyste - na twardo... Praca, stuk remingtona, dopiski i poprawki - piórem, fajka Dunkiel bliżej kącika ust (tytuł: "Hermes para pipa"). Czarna kawa, świeże rogaliki i lektura gazet (zawsze "Le Razon") w narożnej kawiarni (róg Moreno i Peru). Wieczorem, a było to zawsze po godzinie dwudziestej, kolacja w restauracji o dźwięcznej nazwie "Sorrento". Nocą - czytanie; sięgał wtedy czasem po przyslaną mu z kraju prasę, m.in. "Nową Kulturę", "Życie Literackie"... (Przed półrokiem w październiku 1957 roku wydrukowano mu tam fragment "Dziennika". W 1956 roku "Przekrój" dawał dużo "kawałków" z "Transatlantyku"; wtedy i potem ukazywało się też wiele recenzji z wystawienia "Iwony, księżniczki Burgunda" i z "Ferdydurke").

...Kilka godzin snu, jeszcze trwa noc, choć budzą się już ulice. Dzień dla pisarza zaczyna się dopiero od godziny jedenastej. Skrzynka do listów pełna jest już gazet i korespondencji z kraju i ze świata.

Pewnego dnia znajduje tam list od tej zwariowanej Beli, który dobrze pamięta z trzydziestych lat w Warszawie i o której dochodzą go nieprawdopodobne wieści. Bela pisze, że wkrótce wybiera się do Buenos Aires. Myśli zapewne, że on da się nabrać, odpowie więc, jej ni tak, ni siak:

"Droga Belu, dobrze byłoby, abyś nieco opamiętała się. Tego Ci życzy szczerze życzliwy, załączając bukiet ukłonów.

Witold Gombrowicz

7.111.1958"

Wkrótce przyszedł od niej następny list, pytała, jakie ma przywieźć mu

prezenty. Odpowie jej tak, jakby wierzył i nie wierzył, ogólnie, a zarazem i szczegółowo, mgławicowo, a także i konkretnie. To był właśnie ten list z 5 maja, odczytany mi triumfalnie w zakopiańskiej "Astorii".

Po powrocie z gór do Warszawy Czajka, przygotowana już w pełni do podróży, podaje mu dokładny dzień przyjazdu i dokładny numer telefonu, pod którym można ją osiągnąć w Buenos Aires... No i zjawiła się w argentyńskiej stolicy nad La Plata "ogłuszona szumem i gwarem" - jak sama potem to opisze - oświetlona światłami, neonami, reklamami, z płaszczem na ramieniu, z neseserem i torebką w ręku oraz z... jedenastoma walizkami.

Zadzwonił telefon. "Gombrowicz chce z tobą mówić" - powiedział umęczony wielce jej ekspansywnością gospodarz, Olaf, dawny znajomy z lat Kwadrygi, z czasów Uniłowskiego, Sebyły, Gałczyńskiego... Chwyła słuchawkę. Umówili się w kawiarni na to pierwsze po tylu latach spotkanie.

W kawiarni "na pierwszym piętrze pod oszkloną ścianą czekał Witold. (...) Witek, Witek. Taki sam, wcale się nie zmieniłeś (co mu się stało z tą głową? Troszkę mu jakby zmalęła, troszkę, odrobinę wyłysiał i cały jakby się zasuszył). Patrzył na mnie. O, wiedziałam, co myśli: "Co jej się stało, taka gruba baba, a była taka zgrabna, taka młoda". On tak myślał, ja znów myślałam swoje, ale on sto razy lepiej wyszedł po tych latach, to mu trzeba przyznać. - Co mówić, od czego zacząć?... - Belu, opamiętaj się. Przede wszystkim opamiętaj się, Belu... - Witold imię moje wymawia z jakimś specyficznym akcentem, lirycznie i śpiewnie. - Ja jestem teraz Czajka. - Gombrowicz charakterystycznym ruchem poprawił krawat, z wolna podniósł głowę i przymknął powieki. Od tej chwili wypraszam sobie raz na zawsze Witold, od tej chwili prosy do mnie mówić Rodrygu. (...) Ach, Rodrygu, Rodrygu, jak groteskowe i nieoczekiwane figle-migle sprawia los. Rodrygu, największy kompleksiarzu, węzełków masz chyba więcej, niż byłabym w stanie pozliczać, a każdy węzełek ma w środku jeszcze inny supełek. A jak trudno żyć tak zasupełkowanym, i to w dodatku w Buenos Aires. Chodzić, chodzić, jeść, spać, spać, gorąc, skwar".

... Powtórnie spotkają się na kolacji w eleganckim lokalu w nie za eleganckiej dzielnicy. Będzie to "Sorrento" na Floridzie. Miał przyjść po Belę do mieszkania Zofii Chałdyńskiej, która z kolei udzieliła jej tu serdecznej gościny, gdy Czajce było już zbyt psychicznie niewygodnie u Olafa.

U Zosi jest wygodnie i dobrze. Słoneczny pokój, książki, kwiaty, obrazy, łazienka w mlecznozielonym kolorycie i piękny duży gobelin należący w... połowie do właścicielki. Druga połowa była własnością Gombrowicza.

- Zosiu, nie rozumiem - wykrzyknęła w zdumieniu Czajka.

- No, kupiliśmy razem ten gobelin, ale on jest nieprawdopodobny skąpiec, podejrzliwy skąpiec, zrobił mi kiedyś taką scenę o ten gobelin, że mu go odesłałam, ale ostatnio on go znowu odwiózł - wyjaśnia gospodyni.

Dzwoni telefon. Za chwilę pojawi się Gombrowicz... Już jest; jak on szybko przyszedł... Czeką w salonie. Czarny garnitur, czarna muszka, biała koszula, nieskazitelnie gładki i sztywny gors. W łazience Zosia pomaga przyoblec się Czajce w jedwab czarnej sukienki w drobne różowo-czerwone kwiatki. Na wciąż jeszcze zgrabne i smukłe nogi Bela zakłada czarne zamszowe pantofelki. Pani Zofia wyrzuca z siebie, w pośpiechu, gorączkowe słowa:

"Bellusiu, jedyna, musisz coś dla mnie zrobić... Chciałabym... "zaniepokoić" Witolda. - Zaniepokoić? Czym? Ja?... - Dasz mu do zrozumienia, że przez ciebie zarobiłam kupę forsy... Musisz wymyślić jakiś fikcyjny interes, transakcję, rozumiesz?". Roziskrzyła się wyobraźnia Czajki, w oczach pojawiły się płomyki. O, to winien być jakiś ekstra pomysł, mistyfikacja!

Olbrzymia, jarząca się od świateł sala, z boku - wytworne łoże; mały stolik, biel serwety, pocętkowana na czarno purpura oszałamiająco pachnących kwiatów. Czajka ostrzeżona przez Zosię, iż może zdarzyć się, że Gombrowicz nie zapłaci za nią rachunku, nieco niespokojna zaczęła badać ceny umieszczone w Spisie potraw. Langusty, moule. polędwice-lomo, wymyślne desery. Poczowała się zgubiona, a chcąc zatuszować napięcie, nagle sięgnęła po puderniczkę, po szminkę i gwałtownie zaczęła, całkiem nie jak dama, ostro poprawiać makijaż. I wtedy Gombrowicz uznał, że najwyższy czas, aby pouczyć swego gościa: "Mam nadzieję, Belu, że postarasz się opanować. Jestem tutaj przyjmowany przez najwyższe sfery - księżne, markizy, hrabiny; to mnie obowiązuje. Dlatego proszę cię usilnie, zachowuj się dystyngowanie, abym nie musiał się tłumaczyć ani uniewinniać, z kim widziano mnie w "Sorrento"..."

Jeszcze wino, jeszcze propozycja deseru, jeszcze kawa na tarasie pod ogromną kolorową markizą. I szybkie spłoszone spojrzenie Czajki na srebrny talerz z bielejącym, dyskretnie złożonym na pół - rachunkiem. I ta wielka po chwili ulga, gdy Witold niedbałym ruchem lorda sięgnął po karteczkę, a potem po pugilares i z nonszalancją położył na tacce plik banknotów. - Jak mogłam uwierzyć Zosi!...

Ach, Zosia - przypomniała sobie - i ta jej dziwna prośba, obiecałam, więc teraz kolej na "zaniepokojenie". - Chodźmy więc, Witku-Rodrygu, szeroką awenidą i zatrzymajmy się przed wspaniałą kamienicą o marmurowej fasadzie!

Przed portalem odbyło się "zaniepokojenie":

- Słuchaj, ile może kosztować ten dom?
- Ten dom? Ile może, pytasz się, kosztować ten dom?
- Tak - odpowiedziała hardo - ten dom!
- Przeszło milion dolarów.
- Milion, hm, więc nie półtora. Hm, wcale niedrogo... Chodźmy dalej...

Oto na wielkim placu szerokie schody prowadzą na wspaniałą podest wspaniałego pałacu. Posłuchajmy dialogu obojga:

- Witku, ile może kosztować ten obiekt?
- Wariatka, jak Boga kocham. Ile? Ile? Na pewno dwa miliony dolarów.
- A nie można by dostać tego pałacyku chociażby o pół miliona taniej?...

Witold milczał. Przyglądał się przez chwilę Czajce i odwrócił oczy. Po czym zakręcił się na pięcie, uderzył się w czoło: "Jasne jak dzień krzyknął jasne jak dzień! A ta Zosia to dopiero świnia. Powiedz, ile ona zarobiła na

tym?... Potrząsał moim ramieniem. - Dla mnie nie ma tajemnic, przede mną niczego nie ukryjesz... Wszystko jasne. Więc oni mieli tyle pieniędzy. No, tak, wiadomo. Cały naród w nędzy, a garstka głupich, nieudolnych pismaków dławi się po prostu milionami. Postanowili kupić tu w Buenos Aires domy. Na wszelki wypadek, co? Ciebie wysłali, naturalnie że ciebie, bo kto by ciebie podejrzewał... Ha, ha... Wspaniałe! Stara Bela, dowcipne. No i Zosia pośredniczyła..."

Udało się! "zaniepokoiła" Gombrowicza, a na domiar ona sama jeszcze dodatkowo wzbogaciła tę zabawę informacją: "To ja przewiozłam przez granicę miliony dolarów (majątek Związku Literatów), żeby kupić dom i pałac na domy twórcze dla naszych pisarzy. To ci dopiero opera!"

- Opamiętaj się, Witku - mówiła tym samym tonem i takimi słowami jak on przedtem do niej - proszę cię, opamiętaj się...

Od tego momentu ogniwa "łańcucha przyczyn" i mistyfikacji zaczęły kolejno iskrzyć się wyładowaniami - reakcjami, akcjami. Jedno z nich nastąpiło już w mieszkaniu Chałdyńskiej w postaci gwałtownego dialogu Gombrowicza z panią Zofią.

On wołał: - Podstęp, intryga, chciwość, chciwość...

Ona: - Nie wiem, dlaczego krzyczysz i o co ci chodzi...

On: - Nie wiesz? Ale pośredniczyć przy sprzedaży i zarabiać na tym grube hopy, to wiesz?...

Czajka była wniebowzięta. - Opamiętaj się, Witku, proszę, opamiętaj się - powtarzała. Następne dni zrodziły liczne wątpliwości Czajki: - Kto tu kogo nabiera? Kto z kogo kpi? Kto się najlepiej bawi? Kto najumiejtniej umie ciągnąć rzuconą nić intrygi? Przed wyruszeniem z Buenos Aires w dalszy rejs rzuciła od niechcienia: Wysłałam do Krakowa do druku korespondencję. Jest tam dużo, Witku, o tobie, o naszych tutaj spotkaniach. Nie dam ci tego do czytania przed drukiem. Mogę cię tylko zapewnić, że w moim opisie jesteś jak żywy.

Wkrótce doręczono jej nadany z Santiago del Astero list pisarza:

"Byłoby lepiej, Belu, gdybyś konwulsyjnie nie ukrywała przede mną Twojego arcydzieła, dając mi jedynie do zrozumienia, że jestem "jak żywy" - bo sama wiesz, że ukryć się nie da i prędzej czy później do tego się dobiore. Co do twojej imaginacyjnej Anginy Pectoris, to nic nie jest w porównaniu z moimi imaginacyjnymi chorobami, które są stokroć potworniejsze. Na ogół biorąc, jednak widzę, iż nieco opanowałaś się, a to, wierz mi, najważniejsze.

Bardzo rozumnie i umiejętnie postąpiłaś dając karykaturę do "Świata"; zobacz, Belutko, czy nie mogłabyś jeszcze jednej gdzie wrzepić, ale w jakąś bardziej artystyczną i plastyczną revue. Zobaczy się, co tam naskrobałaś pod karykaturą, pewnie same głupstwa. Powinno być, że Mariano Betelu, młody i utalentowany rysownik argentyński, uzyskał ode mnie zezwolenie na studiowanie mojej głowy w czasie pobytu w Randilu (Argentyna) i że zrobił serię karykatur i rysunków, z których jedną zamieszcza się.

Czy znasz Elę Banach w Krakowie? Chyba żona Andrzeja Banacha, tego co

napisał książkę o modach. Poślij jej jedną karykaturę z listem, że proszę, żeby gdzieś zamieściła ze stosownym podpisem i nie zapomnij nadmienić, że nie piszę do niej i nie dziękuję za nowe prezenty, bo od kilku miesięcy jestem poza B.A., a adres jej zostawiłem - i że napiszę po powrocie. Naturalnie w tych tekstach pod karykaturami można wprowadzić warianty, np. że to oblicze Największego Pisarza etc.

Wyjątkowo, rzeczywiście, dorzeczny list napisałaś, tj. nieogólnikowy, a opisując spotkanie z moim bratem, co dość mnie ubawiło. Belu, Ty może niezbyt opanowana jesteś, ale dosyć sprytna, zobacz czy byś nie mogła wymyślić jakiejś pracy dla pasierbicy (??, córka żony z I małżeństwa) mojego brata Stasi Cichowskiej, która jest jego finansowym filarem, a obecnie bez posady. Pisałem w tej sprawie do Iwaszkiewicza i Słonimskiego, a zapomniałem, że Ty więcej tutaj możesz zdziałać w świętym szale.

A więc już się wykręcasz z kosztownego prezentu? Trudno, przyzwyczajony jestem do wielbicielek z tzw. presupuesto economico. Ano, trudno! Niech i tak będzie! Czy to prawda, że Zosi Chądzyńskiej nie chcą wypuścić? A to byłaby ładna heca! Uszanowanie 23.VII.58

Adres: Roca Sus 1274 Santiago de Astero. Argentyna".

Nie minęło wiele dni, gdy przysłano Gombrowiczowi z kraju numery "Przekroju" z reportażami Czajki zatytułowanymi "Buenos Aires. Korespondencja własna". Przeczytał i natychmiast zareagował listem:

"Droga Belu, przeczytałem. Głupstwo zrobiłaś, Belu, zamieszczając to w prasie, raz dlatego iż, rzecz jasna, nie umiałaś odtworzyć mego stylu towarzyskiego (takie wyrażenie jak np. "ci powiadam", albo "jak Boga kocham" zupełnie są nie moje), a po wtóre i co gorzej parce que ca manque de grandeur. Piszesz o mnie, jakbyś pisała o byle chłystku. Zważywszy, że "Przekrój" jest poczytnym pismem, że Polacy mają, niestety, mentalność trywializującą i że mnie jednak zależy na tym, aby w kraju zdano sobie sprawę z mojej rangi i formatu, kiepską oddałaś mi przysługę. Ja sam z siebie robię pajaca - to wystarczy - inni niech się do tego nie biorą.

Ale obcowanie z ludźmi wybitnymi jest trudne i wymaga pewnego taktu, którego Opatrzność w niezbadanych wyrokach swoich Ci odmówiła. Zresztą, Belu, trudno wymagać, żebyś nie pisała głupstw. W każdym razie wybij sobie z głowy, że ja wymawiam "bellu" lirycznie i śpiewnie i w dodatku "ze specyficznym akcentem": nie, ja to wymawiam raczej z pewną świętą grozą. I uprzedzam, że jeśli Ci się jeszcze raz zachciało pisać o mnie, bez mego zezwolenia, zniszczę Cię w prasie w sposób stuprocentowo okrutny. Nie ja jeden mam na Ciebie chrapkę, bo otrzymałem z kraju z 10 listów z wyrazami oburzenia i dyszących zemstą. Lepiej, Belu, zajmij się tymi karykaturami i tą sprawą mojej kuzynki, o której pisałem.

Ten list jest prywatny. Ale jeśli byś chciała zamieścić go w "Przekroju", nie mam nic przeciw temu. Załączam wyrazy prawdziwego poważania.

Witold Gombrowicz.

Buenos Aires, 17.VIII.58".

"... - Nie mam nic przeciwko temu" - napisał - i to dużymi literami, a więc jak najszybciej - myśli Czajka - trzeba zrobić odpis i nadać lotniczą pocztą do "Przekroju". A do Gombrowicza wysłać kolorową pocztówkę ze słowami: "Zgodnie z Twoją sugestią, list Twój będzie wydrukowany w "Przekroju"".

Na tę kartkę zareagował długim listem, cofając z kolei poprzednią zgodę na publikację:

"Droga Belu, właśnie otrzymałem nakulfony przez Ciebie pocztówkę. Z najwyższym zdziwieniem dowiaduję się, że dałaś do "Przekroju" mój list. Dziwię Ci się mocno, gdyż oczywiście pozwolenie, jakiego Ci udzieliłem, nie może tu być żadnym argumentem i doradzam Ci i szczerze, abyś zaniechała tych harców i co szybciej ten list wycofała, bo konsekwencje mogą być miażdżące. Co do Twojej przemowy, że od setek lat Polska etc. etc., to chciałbym wiedzieć, co znaczy "publicznie" i jak mam rozumieć "nie licząc się z konsekwencjami".

Co do mojej kuzynki Stasi Cichowskiej, to oczywiście nie jest żadną Marią, ale jeśli coś wynalazłaś dla niej, to ostatecznie wszystko jedno. Przychodzi mi do głowy, Belu, że mogłabyś w ogóle zająć się nieco moją rodziną, i tak np. moja siostra Irena, bardzo dystyngowana osoba, ma nader męczącą i dręczącą astmę i powinna przynajmniej raz na rok wyjeżdżać na kurację (ostatnio do Ciechocinka pojechała), a z tym kłopot, bo koń finansów mego w kraju nieco zdychawicznie. Otóż byłoby zdrowe, gdyby się udało wkręcić ją jakoś powolutku do Związku Literatów, żeby mogła korzystać z tych domów wypoczynkowych. Literaturą dotąd nie parała się, ale ostatecznie może dałoby się szkopuł przewyciężyć. Ona była przed wojną prezeską arystokratycznego Stowarzyszenia Młodych Ziemianek oraz członkinią Akcji Katolickiej, ale nigdy polityką nie zajmowała się, jest osobą wielkich cnót i postępowych zasad oraz głębokiego, w dobrym stylu, katolicyzmu, a od wojny zawiaduje w Kielcach księgarenką, siedząc cicho i mając na utrzymaniu moją matkę. Zastanów się, Belu, czyby nie można było wymyślić czegoś w tym sensie, żeby siostra wielkiego pisarza korzystała z tych waszych "wczasów" (okropne słowo!), ale nic nie działaj, póki nie udzielę zezwolenia. Dowiedz się, ile trzeba nagryzmościć, żeby stać się członkinią Związku Lit. A więc Zosia, ha, ha, stanie się moją koleżanką, ha, ha. Daj jej do zrozumienia, że w tej nowej sytuacji byłoby sprytne z jej strony przywieźć mi prezent, np. aparat fotograficzny. Kłaniam.

Witold Gombrowicz

23.IX.58".

Pisząc ten list, nie wiedział, że dwa dni wcześniej ukazał się w "Przekroju" ów zakwestionowany fragment. A na domiar Czajka z właściwą sobie dezynwolturą wystrzygła z owego sierpniowego listu mały fragment i dorzucając dwa inne z wcześniejszej gombrowiczowskiej epistoły, połączyła w jeden twór, każąc w redakcji ozdobić to wszystko rysunkiem autorstwa Beletu przedstawiającym Gombrowicza z przymkniętymi oczami.

A nie był to jeszcze koniec "łańcuchowej reakcji", przypuszczać bowiem można, że nieprawdopodobna grudniowa przygoda Czajki, która wystrzeliła fajerwerkowo pod koniec jej wojażu, nie mogła być wynikiem czystego tylko zbiegu okoliczności. A więc zemsta Gombrowicza, w jego stylu?...

A było to tak: Gdy Czajka ruszyła w dalszy objazd egzotycznych portów polskim statkiem "Mickiewicz", niespodziewanie została zatrzymana przez Policję Morską i Interpol jako... szpieg i złodziejka. Stało się to w brazylijskim porcie Santos. Co za pyszna, mimo upału afera! Czajka nieco przestraszona, ale bardziej jeszcze radośnie podniecona, z "navio"- "Mickiewicz" zostaje "desembarcada" i poprowadzona do siedziby Policji Morskiej. Prasa brazylijska zaczyna prześcigać się w doniesieniach o "poetce polskiej, intelektualistce - jak sama podaje - mówiącej wieloma językami". Kierownik Interpolu z S??a??o Paulo delegat Joao Amoroso Neto informuje dziennikarzy, że: "poetka polska Czajka-Stachowicz jest posadzona o kradzież dwóch pierścionków u swej umysłowo chorej przyjaciółki" i oświadcza w wywiadzie dla "Diario da Comercio e Industria", że "Czajka nie jest uciekinierką, lecz przybyła do Brazylii w celu odwiedzenia facendy-farmy, którą posiada w S??a??o Paulo". Z kolei "Folha da Tarde" i "O Diario" donoszą, że poetka-złodziejka posiada nie jedną, lecz wiele nieruchomości w Brazylii, że "utrzymuje kontakty z czerwonymi leaderami amerykańskimi", że "posiada 800 tys. w biżuterii i że skradła pierścionki o wartości 15 tys. szylingów każdy". Inny dziennik centrowy - dyskretnie suponuje, iż ktoś niezadowolony z poczynań "poetki i malarki polskiej" zawiadomił policję, a "A Tribuna" i "Diario da Noite" oburzają się, że "pani Czajka zatrzymana od rana do wieczora w biurze Policji Morskiej w ogóle nie była przesłuchiwana", a więc tym samym "obywatelka polska została wystawiona na pośmiewisko i został popełniony oczywisty gwałt na osobie w podeszłym wieku".

Co za przeżycie, co za temat, że "Estefanię Czajkę-Stachowicz" więzi Interpol na prośbę policyjnych władz w Santos, że jest przesłuchiwana przez delegata Interpolu pana Joao Amoroso Neto ("mówił do mnie po portugalsku, ale i tak go nie słuchałam, bo z powodu upału zasnęłam" - powie później Czajka). Wkrótce udowodni, w czym pomoże jej bogata gestykulacja, że jest niewinna, że "podróżuje po Ameryce Południowej w celach kulturalnych, że paszport ma w zupełnym porządku i że oprócz ślubnej obrączki nie posiada żadnej biżuterii". Gdy zostanie wypuszczona na wolność, to mimo potwornego upału weźmie zaraz pióro do ręki i napisze o wszystkim, o aresztowaniu, o przygodach w porcie Santos do "Przekroju".

"Przekrój" wydrukuje to wszystko, opatrując jednak tę korespondencję dopiskiem, że "Czajka czasem koloryzuje". Ten numer dotarł do jej rąk, gdy zjawiła się ponownie w Buenos Aires. Był przy tym - Witoldo. Patrzył na Czajkę z pewnym - rzec można - zaciekawieniem, gdy dusiła się z wściekłości: - Akurat gdy piszę prawdę krzyczała - gdy nic nie koloryzuję, nic nie zmyślam, to oni, ci wągrowaci, ci kretyni, dają taki dopisek. Wyślę im zaraz te wszystkie gazety, gdzie o mnie piszą. - Belu - mówi uspokajająco Gombrowicz - uspokój się, proszę, opamiętaj się!... Mimo wieczoru upał był nadal nie do zniesienia, 42 stopnie w cieniu, a do tego 95 procent wilgoci w powietrzu, ale Gombrowicz mimo to nie rozluźnił krawatu, nie rozpiął marynarki. Spokój i powaga! Wytworność i salonowość! Jak lord. jak prawdziwy lord!...

...Żegnaj, lordzie, żegnaj. Witoldo-Rodrygu! Żegnaj, Buenos Aires! Czajka wstępuje już na trap statku witana przez kapitana Mrozowickiego i chiefa

Mościckiego. Koniec podróży, koniec zimy 1958/59.

Biskaje, kanał La Manche, zupa z płetw rekina na postoju w Rotterdamie, od Hamburga - 36 godzin do Gdyni.

Witaj, kraju! Witaj, Warszawo, ulico Karłowicza, witaj, kochany, cierpliwy Czajniczku! Znów jest w pokoju ze znanymi obrazami, lustrami, sekreterą. Siada przy mahoniowym blacie i opisuje Gombrowiczowi wspaniałe wrażenia z podróży na statku, czyniąc mu przy okazji wyrzuty, że nie odpowiadał na jej kartki wysyłane z portów. Nie czeka długo na odpowiedź, listonosz przynosi jej w końcu maja list datowany: 7 V 59.

"Droga Belu, jaka szkoda, że jednak nie umiesz trochę opamiętać się, trudno, żebym odpisywał, jak nie wiedziałem dokąd ani kiedy, w ogóle nic nie mogłem zrozumieć i myślałem, że to gryps. Tutaj wszystkie osoby bardzo na Ciebie cięte, sam nie wiem, co takiego mogłaś powypisywać, ale delektuję się, bo mówią, że "wyłaś z rozpacz" samotnie na statku i "skręcałaś się z nudów". Naturalnie nomina sunt odiosa. Niezmierną rozkosz to im sprawiło i do dzisiaj komentują. Co do W., to on niby to neutralnie, lecz też właściwie negatywnie, na mnie też wsiadł o to, że napisałem, że "od szczypania pomników palce boła". Bardzo go to zezłościło, potem obraził się, bo ja nie wiedząc, że mu żona umarła, prosiłem, aby jej się kłaniał; myślał, że to z mej strony okrucieństwo intelektualne.

Proszę Cię, Belu, nie dręcz mnie, przyznaję, że nie jestem a la hauteur tego konfliktu i w ogóle sytuacji, ale jak mnie znasz, jestem prosty człowiek, nie znam się na tych waszych finezjach i wzdycham jedynie do spokoju, w ogóle nie umiem zrozumieć, o co, jak i dlaczego oraz kto w tym maczał palce. W ogóle uważam, że trochę jest mętnie, w razie czego napisz do mnie przy sposobności, ale klarownie, bo b. kulfonisz i z biedą można wyczytać. Kłaniam i nie widzę powodu do przesad i egzaltacji.

Zawsze Ci przyjazny

Witoldo Gombrowicz"

Podróże - prawdziwe... urojone...?

Nie wiadomo, czy jeszcze potem, do ostatnich lat swego życia pisywał do niej listy. Należy przypuszczać, że tak, choć chyba się już nigdy nie odnajdą. Bałaganiarska natura adresatki nie pozwalała zbierać skrzętnie korespondencji, nawet i od znaczących osób, porządnie jej przechowywać, zabezpieczać. Bywało nawet, że Bella kreśliła na odwrocie kartek nie związane z nadawcą notatki, jakieś cyfry, terminy, konkluzje i prawidła, na przykład na temat sztuki, w rodzaju: "Tableau pochodzi od stołu. to jest powierzchni. Dlatego obraz dobry musi wypełniać prawa powierzchni" albo "Warszawskie wystawy obrazów ludzi pochodzących z klasy

robotniczo-chłopskiej, konkluduję, muszą przemawiać głębiej niż zawodowców, którzy dają chłopów i robotników przez pryzmat maniery albo zaprawiają ich fałszem, sentymentalnym sosem". Tego typu "twórczość" wypełniła między innymi puste strony w powojennych listach Iwaszkiewicza (jeden dotychczas nie publikowany, oryginał, jest w prywatnym posiadaniu). Istnieje także nieznan list Gombrowicza, napisany 14 III 1962 roku. W owym czasie, jakby w przeczuciu, że zostaje mu już tylko kilka lat życia, pisarz zabiega usilnie u wydawców o możliwie szybkie wydanie dzieł, choć czyni to w sposób nie uniżony, z dumą artysty, przyprawioną momentami specjalnie megalomańskim błazeństwem. W tych suplikach nie ma proszalnego tonu, niepewności zależnego petenta, jest natomiast niezachwiana wiara, że jego talentowi, książkom należy się miejsce w panteonie światowej literatury. Tak na przykład list do paryskiego wydawcy Rene Julliarda, wysłany z Buenos Aires wiosną 1960 roku, oprócz uwag o własnych utworach zawiera konkretny wniosek: "Trzeba nalegać, należy wydać "Pornografię", a zaraz potem "Dziennik". Są też takie zdania: "Ma pan tu literaturę, która klasyfikuje się (od 20-tu lat) jako pierwszej kategorii i która jest w pewnym sensie prowokacyjna, nawet skandaliczna. (...) Nie jestem pisarzem trudniejszym do czytania niż wielu innych pisarzy współczesnych. Jestem bardziej zabawny. Jedyna rzecz, której mi brakuje, to uznanie".

We wspomnianym wyżej liście Gombrowicza do Czajki są echa o tej "korespondencji ze światem", rysuje się też w nich cień zbliżającej się choroby: "Miewam się tak sobie..." Przytoczyć warto całość tej interesującej epistoły:

"Droga Belu, co tam porabiasz, Belu, jak się miewasz, otrzymałem Twój liścik, ale mnie dziwi, że tak mało masz konsekwencji i powagi, a nawet rozsądku, fe, wariatko, jak możesz pisać takie rozsądne listy, jakbyś nie była wariatką, przecież to najlepszy dowód, że zwariowałaś, idź do szpitala i lecz się, to wstyd po prostu. Nie widzę, co więcej mógłbym Ci donieść poza tym, że miewam się tak sobie i piszę powieść "Kosmos" nader genialną. "Dziennik" ukazał się po niemiecku i kropią o nim artykuły, a "Porno" ukaże się we Francji w maju (podobnie), a we Włoszech też w tym czasie mniej więcej. A Giedroyć ma wydać drugi tom "Dziennika". Wszystko to możesz obwieścić narodowi, który, jak się zdaje, nic o mnie nie wie z powodu systematycznego milczenia prasy na mój temat. Ty stałaś się tutaj nader modna, wszyscy Cię czytają i nieraz jesteś tematem rozmów acz, trzeba przyznać - nie raz, nie dwa dosyć surowych, ze względu na ilość obsmarowanych osób. No, Bóg z Tobą, Belu, kończę, bo możesz wyobrazić sobie moją korespondencję ze światem, leż nadal u moich stóp, to zdaniem moim najwłaściwsze, kórz się i podziwiaj i głoś moją wielkość, mówię to bez żenady, ale też bez zarozumiałości, po prostu taka wytworzyła się sytuacja. Dziwnym, Belu, jesteś tworem natury, ale trzeba przyznać nieźle wkomponowanym w rzeczywistość polską.

Nisko kłaniam - W.G.

14.III.62

Pozdrowienia dla Tadzia K."

W książce żony pisarza - Rity Gombrowicz pt. "Gombrowicz en Europe" jest

zacytowanych wiele listów autora "Ferdydurki" do licznych znajomych, wydawców i niewydawców. Tego i innych poprzednio przytoczonych listów Gombrowicza do Czajki tam nie ma, choć adresatka opowiadała (niestety, nie można znaleźć żadnych dokumentalnych potwierdzeń) różne historie na temat swoich wizyt u Witolda i Rity Gombrowiczów na południu Francji, w Vence.

Rozpływała się przy tym w zachwytach nad żoną pisarza - jej urodą, kulturą; nad poświęceniem się tej młodej, niespełna trzydziestoletniej Kanadyjki, podkreślającej zawsze, że jej uczucie do niego było "nieuniknione". A wspólny los z tym, który żył "w świętości swojej sztuki" - przeznaczeniem, choć "nie było to łatwe, czasami wręcz nie do zniesienia" - jak wyznawała w swojej książce.

Czajka opowiadając o spotkaniach z nimi, o wspólnych samochodowych wycieczkach w okolice Vence, przytaczała przy tym ponoć prawdziwe powiedzonka, zabawne paradoksy, którymi raczył ją Witold Gombrowicz.

- Razu pewnego, gdy przyjechałam do nich ubrana w nieco przezroczystą, bardzo elegancką suknię z powiewnymi falbanami - był wtedy upał - wspominała - Witold wykrzyknął na mój widok: Belu, jesteś kobietą prawdziwie dystygowaną! I dodał po chwili: bo kobieta dystygowana to kobieta źle ubrana... Pamiętam też, jak kiedyś w obecności Witolda zachwycałam się sypialnią i niezwykle pięknymi łózkami u Fredka, mojego brata (Czajka często modyfikowała tę opowieść; jeden raz były to piękne łóżka u Fredka, drugi raz u siostry, a trzeci - nawet gdzieś na południu Francji - u Zamoyskiego). I wtedy - ciągnęła - Witold przerwał me zachwyty: Belu, zapamiętaj to sobie, jeśli łóżko jest ładne i do tego jeszcze podobne do łóżka, to świadczy o bardzo złym guście... A przy tym nie wyjaśnił, czy mówiąc o złym guście, miał na myśli właściciela, czy samo łóżko...

W powojennych opowieściach Czajki opisy niezwykle pięknego łóżka o rzeźbionym wezglowiu pojawiały się nie tylko w związku z Gombrowiczowskim powiedzeniem, ale i wtedy, gdy wspominała swój pobyt u Gustawa Zamoyskiego, w St. Clar de Riviere (telefon: 85-53-55) w pokoju wygodnym, choć wąskim i także z "niezwykle pięknym" łóżkiem, z dalekim widokiem przez okno na Pireneje, a z bliskim - na staw pełen nenufarów i błysków pływających złotych rybek.

Zamoyski (notabene współtwórca pomnika na Westerplatte ku czci poległych obrońców) był już dawno po rozwodzie ze swoją drugą żoną - Marią Manetta Radwan i z trzecią: Izabellą Paes-Leme, poślubioną w Rio de Janeiro, i mieszkał tutaj z inteligentną, o interesującej urodzie, trzecią towarzyszką - Francuzką, sławistką z wykształcenia - Helene Peltier. Pobrali się 25 marca 1959 roku. Był to udany związek, choć pani Helene, znacznie zresztą młodsza, często wyjeżdżała z domu, angażując się w sprawy prześladowanych rosyjskich pisarzy. Wyjechawszy kiedyś do Kraju Rad, jako rusycystka, wywiozła, ryzykując wiele, nie publikowane, zakazane wiersze tamtejszych poetów, które zostały potem opublikowane na Zachodzie.

Byli szczęśliwą, rozumiejącą się parą, lubiącą rozmawiać nie tylko o sztuce, polityce, ale i o dobrym jedzeniu. Gotowali sobie zawsze sami, bo to - jak pisał - "smaczniej i zdrowiej, droga Belu". "Femme de menage" zajmowała się jedynie praniem i sprzątaniami, przyjeżdżając dwa razy w tygodniu, z ogromnym warkotem, na wysłużonym motocyklu.

Czajka umiała barwnym słowem i ekspresyjnymi ruchami rąk, balansami całego ciała, opowiadać o tym wszystkim, co widziała w St. Clar, a

szczególnie o ogromnych posągach dłuta gospodarza. Niektóre były już ukończone i stały na polu pod lasem na zewnątrz pracowni (25 metrów na 12), którą sam zaadaptował z dawnej chłopskiej zagrody, zbudowanej przed przeszło dwustu laty z kamienia.

- A niedaleko w starej oborze zrobił kuźnię, gdzie kuł i hartował jakieś blachy, jakieś druty. Te dwa gotowe posągi z marmuru, które tam oglądałam, były dosyć duże, naturalnej wielkości. Guccio nazwał je "Warszawska Venus" i "Polska Ceres". Kując w marmurze tę Venus, miał przed oczami mnie, z naszych dawnych lat młodości; zapewniał o tym... i rzeczywiście było pewne podobieństwo. Owa Venus była dokładnie mojego wzrostu, dość smukła, drobnej raczej kości, w przeciwieństwie do Ceres, która jak przystoi bogini płodności, odznaczała się potężną budową ciała; jej duże piersi, grube łydki, łydy raczej, z kolei były może dla Guccia przypomnieniem jego pierwszych seksualnych wtajemniczeń, inicjacji, obrazem jakichś dziewczuch, cielesnych podniet, gdzieś na folwarkach. Z jakimś sentymentem, będąc po wojnie w Warszawie, Guccio odwiedzał miejsca w jakiejś oficynie, na zapleczu rodzinnego domu i przy Wiejskiej... Wiadomo przecież, co każdy artysta zdolny jest przenieść ze swoich różnego rodzaju doświadczeń i przeżyć w kształt dzieła.

...I tak słuchając opowieści Czajki o powojennych wędrówkach po Francji, po Paryżu, szlakiem dawnych wspomnień z przystankami na Montparnasse (opisała to m.in. w Dubo... Dubon... Dubonnet) oraz jej szczegółowych relacji z rozmów w St. Clar de Riviere z Zamoyskimi, a w Maisons-Laffitte z Czapskim i jego siostrą, prawie nie wątpiło się, że odbywały się one naprawdę przy "witkacówkach", przy kawie, przy kieliszku wina, przy rosyjskim szampanie w "białogwardyjskiej" restauracji, gdzie udawała dawna księżną z Kaukazu. Czasem tylko dziwić mogły daty, jeśli nie było się zdolnym uwierzyć w cud przebywania Czajki w kilku bardzo odległych od siebie miejscach naraz. Bywało, że i listy jakimś dziwnym sposobem wysyłała w tym samym czasie z różnych miejsc: z Warszawy do Paryża, z Paryża do Warszawy, z portów polskich i obcych o nazwach pachnących egzotyką. Nic więc dziwnego, że Józef Czapski ozdabiał swe do niej listy rysunkiem ptaka - czajki z czubkiem na głowie, fruwającej pod błękitem.

Wiele kart z reprodukcjami polskiego malarstwa wysyłała do St. Clar de Riviere, a Zamoyski szczerze odpłacał jej się długimi listami, załączając czasem różne fotografie. Na niektórych widniały - jego dom, pracownia, rzeźby na wolnej przestrzeni wśród drzew, albo umieszczone w muzealnych salach, daleko poza Francją; na przykład głowa Jana Kasprowicza - w Muzeum de Arte Moderna w Sao Paulo, znajdująca się w nie byle jakim towarzystwie, a mianowicie, dwóch dużych portretów pędzla Modiglianiego, przedstawiających sławnego "Kunsthndlera" Leopolda Zborowskiego i jego żonę. Na innych znów zdjęciach znacznie starszych metryką, z umieszczoną tu datą: 1923, 1924 i uwagą: "To z naszych czasów" był on sam - Guccio Z. (tak podpisywał się w listach do Czajki) na tle warszawskich ulic, przystojny, z uwodzicielskim czarnym wąsikiem, elegancki (habig i bobrowy kołnierz). Jedna z fotografii przedstawia hrabiego Guccia w stroju myśliwego, w lesie, w głębokim śniegu. Stoi zwycięski, z kordelasem w ręku, nad zwalistymi bryłami martwych dzików. W dopisku pobrzmiwa nieco nostalgiczna nutka: "Tak polowałem! Kordelasem i psami (bez strzelby) na dziki w starej Polsce (około 1937)... Tak polowałem?... Guccio Z."

Korespondencja była wysyłana nie tylko na warszawski adres; na kilku kopertach kreślił i inne miejsca doręczenia: "Madame Bella Czajka. M.S. Batory in transit" lub: "Bella Czajka. Maison Polonaise. 74 rue Lauriston".

Może więc we Francji istotnie odwiedziła go w St. Clar de Riviere, a może tylko czerpała z tego epistolograficznego źródła wspomnieniowy materiał? Może rzeczywiście spała na tym "wąskim łóżku" w pokoju z łazienką, gdzie rozkoszowała się prysznicem z zimną i gorącą wodą, a może tylko malowała wyobraźnią te seledynowe kafelki, te "witkacówki" wychylane z Guciem za swoje "zachwiane zdrowie" i za starych przyjaciół z dawnego Montparnasse'u, który już dawno odszedł, wraz z nimi - tak wtedy młodymi - w daleką przeszłość? - choć na Boulevard Montparnasse 165, wraz z panią Zborowską. kołatało się jeszcze echo tamtych lat młodości.

Młodość! Kiedy właściwie człowiek czuje się młody? Gdy kocha, gdy spala się w twórczym procesie?... Zamoyski w jednym z listów do Czajki (wszystkie pisane były między 1961 a 1966 rokiem) akcentuje:

"Teraz dopiero stałem się młodym, teraz dopiero dojrzewam, zaczynam widzieć, o co w sztuce chodzi. Czuję się w fantastycznej formie, jestem zdrow i mocny, jak Zawisza! Przyjedź miła, cudna Belo, urocza i niezapomniana, a przekonasz się. Czekam z rozkoszą w sercu". Może więc ta "urocza i niezapomniana" nie oparła się temu wezwaniu, tym bardziej, że w liście z 27 maja 1966 roku grubą linią podkreślił słowo: "niewymownie", w zdaniu: "List Twój i Twoja myśl zobaczenia się ze mną niewymownie mnie uradowała". Nie przyjedzie, aby się z nią zobaczyć, do Paryża, bo chce ją wraz z żoną ugościć tutaj, w St. Clar, gdzie "Pireneje widać jak Tatry w Zakopanem, gdzie do granicy hiszpańskiej jak do Pięciu Stawów i skąd tam, gdzie mieszka, na wsi, w polu pod lasem, do najbliższego domostwa jest tyle kilometrów, ile z dalekiej, prawobrzeżnej Pragi nad Wisłą do "Ziemiańskiej"."

Pięknie jest w tym domu, opartym o dębowy las, okrażonym winnicami, na pograniczu Katalonii Francuskiej i Hiszpanii, gdzie do granicy - 60 kilometrów, do Morza Śródziemnego - 120, a do Paryża - aż kilkaset. Nic dziwnego, że jeździ tam bardzo rzadko, o czym informuje adresatkę:

"...Ja do Paryżów nigdy nie jeżdżę - nie mam tam co robić, lecę częściej do New Yorku (skąd niedawno wróciłem) - autem do Lizbony, gdzie mam najwspanialszy na świecie marmur, a w USA moich klientów. Z Paryżami dzieli mnie 700 km autostrady usianej trupami (...) Żona moja jedzie dziś do Paryżów i zostaje tam do środy, telefon jej AUT. 3831, ale jest potwornie zajęta sprawą więzionych w Rosji pisarzy. tj. Siniawskiego i Daniela, z którymi jest wspólnie oskarżona, może polecą na kilka godzin do Londynu, na zebranie Pen-Clubu w tej sprawie.

Ściskam czule. Gucio Z."

Czytając te wszystkie listy do Czajki, trudno podzielić opinię Jarosława Iwaszkiewicza, który określał Zamoyskiego w owym powojennym okresie jako mistyka. Artysta rzeźbił co prawda wówczas wiele sakralnych dzieł, z których jedno - z granitu - nazwane: "W niebo wstąpienie", zamówiono dla nowo budującego się kościoła w Michigan i z uniesieniem opisywał Belli atmosferę krajobrazu sprzyjającego tego typu natchnieniom: "...Przepiękne są tu opactwa, klasztory, chłopskie zagrody z pirenejskiego granitu. Żyję wśród cudów romańskich z VIII i X wieku, żyję tu w sercu wspaniałych

zabytków sztuki, niczym w Paryżu czy Florencji...".

Ona z kolei z całą plastyką szczegółów rewanżowała mu się wrażeniami z podróży po Kanadzie, po Indiach, to znów z zachwytem opisywała Boże Narodzenie w Afryce Południowej: tak jest tam wtedy ciepło, że można chodzić w letniej sukience i na bosaka po plaży.

Nigdy tam nie była, ale czy to ważne, jeśli te dalekie, egzotyczne części świata stawały się obrazami ciekawymi, kolorowymi i przestawało się mieć wątpliwości: czy snując te opowieści albo opisując w listach swe kanadyjsko-afrykańskie przygody nie zmyśla tego wszystkiego?...

"Droga, niezrównana Bello! Skąd tyle sił w Tobie na takie wojaże? Zbliża się Boże Narodzenie, myślę więc, w medytacji nabożnej tego pięknego święta, że to ono daje nam wszystkim, a więc i Tobie, tyle odwagi i ufności... Czy otrzymałaś list, który ci pisałem, gdy byłaś w Kanadzie? Czemu nie odpowiadasz na moje istotne pytanie!!! Daj szybko o sobie wiadomość! Tu praca wre, serca śpiewają. Na świecie jednak grzmia burze; oby burza i deszcz! bo wtedy pod jednym będziemy parasolem.

Ściskam czule i prawdziwie, Twój Zamoyski Gucio".

Jubileusz z krzyżem

- Zmyślałam i łągałam, nawet i wtedy, gdy nie było potrzeby, lecz z czystej bezinteresownej miłości do łągarstwa. Kochałam świat i może też dlatego lubiłam go dodatkowo ubarwiać. Kochałam podróże do miejsc, które znałam z lat młodości, były to jakby moje pogonie za tym, co bezpowrotnie minęło lub całkiem się przekształcało. Roznamiętniała mnie myśl o wyjazdach do krajów jeszcze mi nie znanych; chciałam z nich przywieźć dużo nowych wrażeń, wspomnień o przygodach - prawdziwych, wyolbrzymionych lub wręcz wymyślonych. Ja zresztą wierzyłam w to, co wymyślałam. A bywało często i tak, że historia zarysowana fantazją stawała się często potem, dzięki jakiemś niesamowitemu zbiegowi okoliczności - prawdą. Zdarzało mi się to szczególnie, gdy przebywałam z Gombrowiczem. Było prawdziwą rozkoszą zaczynać z nim po aktorsku różne gry, niby-tak i niby-nie, na pozór niewinne, od niechcenia: kto kogo... i tak dalej; takie prowokacyjki, demaskacje, maski... robienie gęby. Uwielbiałam też taki stan, gdy niebotycznie nosiła mnie fantazja. Podniecały mnie wtedy patrzące na mnie z zaciekawieniem oczy słuchaczy, czasem nie dowierzających, czasem zgorszonych, ale chyba nigdy nie znudzonych...

Czajka zdobywała się czasem, na takie inteligentne wyznania. Nie była już młoda i nie zdawała sobie sprawy, że niektórych jednak nudziła, ciągnąc zbyt mocno poplątane, zbyt chaotyczne wątki, po wielekroć powtarzanych już historii, anegdot. Ci, którzy ją lubili, mogli bez grymasu nudy, a nawet i z pewnym rozbawieniem wysłuchiwać jej opowieści najwyżej trzy, cztery razy

w roku. Gdyby jednak nawet wtedy dostrzegała cień zniecierpliwienia na ich twarzach, i tak nie powstrzymałoby to potoku jej mowy; sama bowiem dobrze się bawiła potokiem słów, groteskowymi skojarzeniami, autokpiarskimi anegdotami.

Bawiła się także myślą o swoim jubileuszu. Kiedyś powiedziano jej w Związku: Chcemy urządzić ci jubileusz, nie tyle pracy twórczej, ile urodzin. Zdecyduj się: czy ma być to sześćdziesięciolecie, czy siedemdziesięciolecie i czy urodziłaś się w listopadzie, czy w kwietniu?...

Zdecydowała się w końcu na siedemdziesięciolecie; według jednej z wypełnianych przez nią w okresie ostatnich dwudziestu lat ankiet to święto urodzin wypadło 5 listopada 1966 roku... Już prezes ZLP Jarosław Iwaszkiewicz podpisuje urzędowe zaproszenie do ministra Lucjana Motyki, aby zaszczycił swą obecnością tę uroczystość, już sekretarz generalny tegoż Związku Jan Maria Gisges składa wniosek o Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, że Izabella Stachowiczowa o pseudonimie Stefania Czajka, poetka, prozaiczka i autorka wspomnień, jest zasłużona także i dla nauki jako historyczka sztuki z tytułem doktora filozofii.

I tak wtłoczona w poważny gorset zasłużonej uczonej, z wesołymi iskierkami w lekko skośnych oczach pojawiła się, sunąc dostojnym krokiem jubilatki na jakby już pomnikowe miejsce za prezydialnym stolikiem, ukwieconym obficie i różnokolorowo na tę niezwykłą dla niej okoliczność. - To jest pierwsze państwowe odznaczenie w moim życiu - mówiła jakby z dumą, że otrzymuje je dopiero teraz, a nie w tamtych latach. Wygłosiła też mowę, nadszpodziewanie, jak na nią - lakoniczną, oszczędną w słowach: "Jestem szczęśliwa, że żyję w Warszawie i że tutaj mogę obchodzić swój jubileusz, bo tutaj, jedynie tutaj, czuję się jak u siebie, jak w prawdziwym domu".

*

W pozostałych zaledwie trzech latach życia Czajka wciąż zapisywała nowe strony powieści i choć niechętnie opuszczała już teraz parterowe mieszkanie, to jednak nieustannie przygotowywała się do podróży, załatwiając wizy, paszporty. Jeszcze na kilka godzin przed niespodziewaną dla wszystkich śmiercią opowiadała, kogo odwiedzi znów w Argentynie. - Niech tylko wreszcie przestaną mi utrudniać wyjazd, odwlekać wydanie paszportu! Nie zdążyła wyruszyć już w świat na połów wrażeń i po nowy materiał do książek.

Powrót Czajki

"Jakże to wszystko szybko przeleciało, te wszystkie lata! Co ja zrobiłam ze swoim życiem? Ale ono się jeszcze nie kończy, więc..." - po jej śmierci

Władysław Stachowicz znalazł na biurku, wśród kartek z korespondencją, ten nie dokończony fragment, wkręcony w wałek maszyny do pisania. Co to miało być? Nowa powieść? Elegijny rozrachunek ze sobą?...

Żegnały ją nekrologi w "Trybunie Ludu" i w "Życiu Warszawy": "Świętej pamięci nasza ukochana Izabella (...) Mąż i rodzina"... POP przy ZLP zawiadamiał o pogrzebie Towarzyszki Stefani Izabelli Czajki-Stachowicz, aktywnego członka PZPR", a sam Związek Literatów Polskich podkreślił, że zawsze pozostanie w pamięci: "Izabella Czajka Stachowiczowa, wybitna pisarka, wieloletni członek ZLP, związana całym swoim życiem i całą twórczością z Warszawą. Cześć".

W dzień dość ponury i dżdżysty odprowadzał Czajkę na Powązkowski Cmentarz nie za liczny tłum. Było trochę kolegów, przyjaciół, przemawiał Lewin; byli i nie znający jej osobiście czytelnicy jej książek...

W mieszkaniu przy Karłowicza zapanowała niezwykajna tu cisza, choć przyplýwał (i przyplýwa do dziś) jej cień, wspomnienie o niej - szalonej, pięknej, porywającej, to znów zmienionej biegiem lat; grubej, starej, ale wciąż o młodym, choć tak schorowanym sercu.

Siedząc w pokoju, tam, gdzie przed laty Czajka czekała na gości tego ostatniego wieczoru swego życia, oglądam ją na wielu fotografiach jako dziewczynkę z warszawskiej pensji pani Werekkiej (a może pani Kochanowskiej?), słuchaczkę warszawskiego uniwersytetu o nie ukończonych studiach filozoficznych (a może była rzeczywiście absolwentką o ukończonej "historii sztuki na UW ze stopniem doktora i specjalizacją w Berlinie" - jak podaje Lesław Bartelski w swoim "Informatorze" o polskich pisarzach współczesnych?). Biorę do ręki zdjęcia Wilhelma Schwartz, Witkacego, Franza Fiszera i jej już jako żony (a może jeszcze narzeczonej?). Następne fotografie to czasy powojenne. Bela jako porucznik (a może już kapitan?), Bela jako aresztant Policji Morskiej i Interpolu w Santos (a może było to gdzie indziej, może w Pernambuco?)...

Ileż pozostało po niej tych fotografii! I listów ludzi, którzy swoim życiem także przed wojną byli silnie związani z jej miastem - Warszawą! I nie publikowanych wierszy na poszarpanych bibułkach, które upchała kiedyś do jednej szarej teki, z wykaligrafowanym na okładce poleceniem: Przekazać Siostróm do Lasek.

Jeszcze na długo przed śmiercią czyniła na różnych teczkach i kopertach takie testamentowe zapisy. I można się zastanowić, czy kreśląc na jednej z kopert: "To dla Janka" (mieszczącej wewnątrz, jak zapewniała - drogocenne guziki z kontusza samego króla Jana Sobieskiego), chciała w przyszłości, gdy już jej nie będzie na świecie, wywołać trwające do dziś dnia zamieszanie, "zaniepokojenie" wśród aż trzech Janków; Czajnik bowiem, chcąc wypełnić jej wolę, myślał, że te guzy przeznaczyła dla Janka Cybisa i jemu zaniósł do mieszkania na Karowej ten znak przyjaznej pamięci - kafnale z końca... XVIII wieku jak stwierdził artysta.

...Nie ma już Janka Cybisa, nie ma już i Czajnika, który spoczął także na warszawskich Powązkach. Ale Czajka powraca! Ciągłe przychodzi w anegdocie, w zaczytanych po bibliotekach książkach, w życzliwym albo kpiarskim uśmiechu ludzi, gdy zaczynają wspominać jej kawały, bujdy i łgarstwa. I wybacza zapewne lekceważące wzruszenie ramion i zjadliwe syknięcie: blagierka, wariatka - pewnego starszego pana, gdy pojawia się jej imię przy kawiarnianym stoliku u Literatów, pod kominkiem. - Przed laty był

nieśmiałym "dziewicem", ja uczyniłam go mężczyzną. Więc dlaczego taka niechęć?... Ale niech pamięta, jak tak będzie o mnie źle mówił, to powrócę, nawet i z zaświatów, wejdę nocą przez komin do jego mieszkania. Bo ja jestem czarownica, szatańska księżniczka i potrafię nie tylko wchodzić przez kominy, ale i...

Nie kończmy strasznej groźby; ale że u Czajki wszystko jest możliwe, na wszelki wypadek mówimy o niej dobrze. Bo sama była "dobrą, choć wielce narwaną kobietą".

11)

21)

31)

41.

11.1.1.1.1.1

rI.A.1.a

o

raniaDDDDDDDDDD